

STEPHENIE MEYER

MEG CABOT

KIM HARRISON

MICHELE JAFFE

LAUREN MYRACLE

BALE MATURALNE Z PIEKŁA

SPIS TREŚCI:

<u>Bale maturalne z piekła.....</u>	<u>1</u>
<u>Piekło na ziemi.....</u>	<u>3</u>
<u>Córka likwidatora.....</u>	<u>31</u>
<u>Madison Avery zniwiarz ciemności.....</u>	<u>55</u>
<u>Bukiecik.....</u>	<u>88</u>
<u>Superdziewczyny nie płaczą.....</u>	<u>111</u>

STEPHENIE MEYER

PIEKŁO NA ZIEMI

Gabe patrzył na parkiet, marszcząc brwi. Nie bardzo wiedział, dlaczego zaprosił Celeste na bal maturalny. To, że się zgodziła, było kolejną tajemnicą. Teraz rozumiał jeszcze mniej, gdy patrzył, jak Celeste ściska za szyję Heatha McKenziego tak mocno, że chłopak musiał mieć problemy z oddychaniem. Ich ciała zlały się w jedno; kołysali się we własnym rytmie, nie zważając na tempo muzyki dudniącej w sali. Dłonie Heatha błędziły bezwstydnie po połyskującej białej sukni Celeste.

- Masz pecha.

Gabe odwrócił się od widowiska, które zafundowała wszystkim jego partnerka, i spojrzał na przyjaciela.

- Cześć, Bry. Dobrze się bawisz?

- Lepiej niż ty, stary, lepiej niż ty - odparł Bryan, szczerząc zęby. Uniósł kubek wypełniony zjadliwie zielonym ponczem, jak do toastu. Gabe stuknął butelką wody w kubek kumpla i westchnął.

- Nie miałem pojęcia, że Celeste leci na Heatha. To jakiś jej były czy co? Bryan wypił łyk podejrzanego drinka, skrzywił się i pokręcił głową.

- O ile wiem, to nie. Nie widziałem nawet, żeby wcześniej w ogóle ze sobą rozmawiali. Obaj popatrzyli na Celeste, bardzo zajęta całowaniem się z Heathem.

- Hm - mruknął Gabe.

- To pewnie przez ten poncz - powiedział Bryan, próbując go pocieszyć. - Nie wiem, ile to diabelstwo ma procentów, ale... Ona nawet nie kojarzy, że to nie ty. Napił się i znów zrobił minę.

- To dlaczego to pijesz? - zdziwił się Gabe. Bryan wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może po paru głębszych ta muza nie będzie tak beznadziejna? Gabe przytaknął skinieniem głowy.

- Moje uszy dłużej tego nie zniosą. Trzeba było zabrać iPoda.

- Ciekawe gdzie jest Clara. Czy istnieje jakiś przepis, który każe dziewczynom spędzać tyle czasu w łazience podczas każdej imprezy?

- Tak. I surowe kary dla tych, które nie wyrobiją normy. Bryan zaśmiał się, ale zaraz spoważniał. Przez chwilę bawił się muszką.

- A tak wracając do Clary... - zaczął.

- Nie musisz nic mówić - zapewnił go Gabe. - To niesamowita dziewczyna. I jesteście dla siebie stworzeni, byłbym ślepy, gdybym tego nie zauważył.

- Naprawdę ci to nie przeszkadza?

- Przecież sam cię namówiłem, żebyś ją zaprosił na bal, nie?

- Tak. Sir Galahad ma na koncie kolejną parę. Ale serio, stary, czy ty w ogóle myślisz o sobie?

- Jasne, o każdej porze dnia. A co do Clary... lepiej, żeby się dobrze bawiła, bo inaczej złamię ci nos. - Gabe uśmiechnął się szeroko - Ciagle jest moją przyjaciółką. Nie myśl, że do niej nie zadzwonię i cię nie sprawdzę.

Bryan przewrócił oczami, ale nagle ścisnęło go w gardle. Gdyby Gabe Christensen chciał mu złamać nos, nie miałby z tym najmniejszego problemu. Nie obchodziło go, że *zszarga* sobie opinię lub posiniaczy pięści, jeśli uważał, że komuś dzieje się krzywda.

- Będę dbał o Clare - powiedział Bryan, niezbyt zachwycony, że zabrzmiało to jak przyrzeczenie. W przenikliwym spojrzeniu Gabe'a było coś, co sprawiało, że człowiek właśnie tak się czuł. Chciał wypaść zawsze jak najlepiej. Czasami było to irytujące. Krzywiąc się, Bryan podlał resztką ponczu uschnięty mech w donicy ze sztucznym fikusem. - Jeśli w końcu wyjdzie z łazienki.

- Tak trzymaj, stary - rzucił z aprobatą przyjaciel, ale jego uśmiech był raczej kwaśny. Celeste i Heath zniknęli w tłumie.

Gabe nie bardzo wiedział, co powinno się zrobić, kiedy zostało się porzuconym na balu maturalnym. Jak miał dopilnować, żeby bezpiecznie dotarła do domu? A może teraz to zadanie Heatha?

Znów zadał sobie pytanie, dlaczego w ogóle zaprosił Celeste na tę zabawę. Była bardzo ładna. Mogła nawet startować w konkursach piękności. Doskonałe jasne włosy, gęste i puszyste; szeroko rozstawione brązowe oczy i pełne usta, zawsze pomalowane na delikatny odcień różu. Zresztą nie tylko jej wargi były kuszące. Niemal go zamroczyło, kiedy zobaczył ją w tej cienkiej obcisłej sukience, w którą się dziś ubrała.

Ale to nie uroda sprawiła, że ją zauważył. To było coś zupełnie innego. Gabe nigdy, przenigdy by się do tego nie przyznał. Ale prawda była taka, że od czasu do czasu ogarniało go dziwne przeczucie, że ktoś potrzebuje pomocy. Potrzebuje jego. I właśnie to niewyjaśnione wrażenie przyciągnęło go do Celeste. Czuł, że pod tym nienagannym makiżajem kryła się zwykła zakompleksiona dziewczyna.

Idiotyczne. I kompletnie bez sensu. W tej chwili Celeste na pewno nie chciała, by Gabe jej pomagał. Znów rozejrzał się po sali, ale nie dostrzegł w tłumie jej jasnych włosów. Westchnął.

- Cześć, Bry, tęskniłeś za mną? - Clara, z szopą ciemnych kręconych włosów błyszczących od brokatu, oderwała się od grupki dziewczyn i dołączyła do chłopaków pod ścianą. Reszta stadka się rozproszyła. - Cześć, Gabe. A gdzie Celeste? Bryan otoczył ją

ramieniem.

- Myślałem, że sobie poszłaś. Chyba będę musiał odwołać gorącą randkę z... Łokieć Clary trafił go w splot słoneczny.

- ...panią Finkle - wysapał Bryan, wskazując wicedyrektorę. Kobieta spoglądała groźnie z kąta sali najbardziej oddalonego od głośników - Mieliśmy pisać przy świecach wezwania dla rodziców.

- Oj, nie chciałabym, żebyś stracił taką okazję! Chyba widziałam trenera Laudera przy stole z ciastkami. Może podciągnie się dla mnie kilka razy na drążku.

- A może po prostu zatańczymy - zaproponował Bryan.

- jasne, to też jakiś pomysł.

Ze śmiechem przepychali się na parkiet; ręka Bryana objęta talię Clary. Gabe odetchnął. Dobrze, że Clara nie czekała na odpowiedź. Zresztą sam jej nie znał.

- Hej! Gdzie podziałeś Celeste?

Gabe skrzywił się i odwrócił, słysząc głos Logana. Chłopak chwilowo był solo. Może jego dziewczyna również zaszyta się z koleżankami w toalecie.

- Nie mam pojęcia - przyznał Gabe. - Widziałeś ją może? Logan zacisnął usta, jakby się zastanawiał, czy coś powiedzieć. Nerwowo przyglądał sterczące czarne włosy.

- No, tak mi się zdawało. Nie jestem pewien... Ma białą sukienkę, tak?

- Tak... więc gdzie jest?

- Zdaje się, że widziałem ją w holu. Właściwie nie było widać jej twarzy... bo była przylepiona do Davida Alvarada.

- Davida Alvarada? - powtórzył zaskoczony Gabe. - Nie Heatha McKenziego?

- Heatha? Nie. To z całą pewnością był David.

Heath był liniowym, blondynem o jasnej karnacji. A David miał jakiś metr pięćdziesiąt, oliwkową cerę i czarne włosy. Nie sposób było ich pomylić. Logan ze smutkiem pokręcił głową.

- Przykro mi, Gabe. To świństwo.

- Nie przejmuj się.

- Nie tylko ty zostałeś na lodzie - odparł Logan smętnie.

- Naprawdę? A co się stało z twoją panną? Logan wzruszył ramionami.

- Gdzieś się tu kręci, wściekła na cały świat. Nie chce tańczyć, rozmawiać i pić. Nie chce robić sobie zdjęć i nie chce mojego towarzystwa. - Wyliczał na palcach. - Nie wiem, dlaczego mnie zaprosiła. Może chciała się popisać kiecką... Jest niezła, przyznaję. Ale w tej chwili nie ma na nic ochoty. Żałuję, że nie przyszedłem z kimś innym. - Spojrzał tęsknie na

grupkę dziewczyn tańczących w kółku. Gabe miał wrażenie, że kumpel patrzy tylko na jedną dziewczynę.

- Dlaczego nie zaprosiłeś Libby? Logan westchnął.

- Nie wiem. Chociaż... Zdaje mi się, że tego chciała. No trudno.

- Z kim przyszedłeś?

- Z tą nową Shebą. Jest trochę dziwna, ale naprawdę niezła. Taka egzotyczna. Kompletnie mnie zatkało, kiedy mnie zaprosiła, więc się zgodziłem. Pomyślałem, że może... No wiesz, będzie... Miła... - dokończył żałośnie Logan. Nie miał ochoty przyznawać się, co tak naprawdę pomyślał, kiedy Sheba oznajmiła, że zabiera ją na bal. Jakoś nie wypadało mówić o tym Gabe'owi. Przy nim całe mnóstwo rzeczy wydawało się nie na miejscu. W przeciwieństwie do Sheby. Kiedy Logan zobaczył ją dzisiaj w obłędnej czerwonej sukni ze skóry, przez głowę przemknęło mu tysiąc myśli, co zrobiłby z nią sam na sam. Zwłaszcza gdy spojrzała na niego tymi swoimi ciemnymi oczami.

- Chyba jej nie znam - powiedział Gabe, wrywając go z zadumy.

- Pamiętałbyś, gdybyś ją poznał. - Choć Sheba zapomniała o Loganie błyskawicznie, kiedy tylko tu weszli. - Ale co tam. Myślisz, że Libby przyszła sama? Nie słyszałem, żeby ktoś ją zapraszał...

- Przyszła z Dylanem.

- Aha - odparł Logan załamany do reszty. Ale nagle się uśmiechnął. - Ten wieczór i tak jest fatalny, więc po co się torturować. Może powinni byli wynająć jakiś zespół? Ten didżej...

- Wiem. To kara za grzechy - przyznał Gabe ze śmiechem.

- Grzechy? To ty grzeszysz, Galahadzie Cnotliwy?

- Żartujesz? Przecież mnie zawiesili. To cud, że w ogóle pozwolili mi tutaj przyjść. - Chociaż w tej chwili Gabe trochę żałował, że nie trwało to dłużej. - Mam szczęście, że nie wyleciałem ze szkoły.

- Pan Reese sam się o to prosił. Wszyscy to wiedzą.

- Tak, to prawda - przyznał Gabe; jego głos stał się ostrzejszy. Wszyscy w szkole wiedzieli o panie Reesie, ale niewiele mogli zrobić. Dopóki nauczyciel matematyki nie przekroczył granicy, której nie powinien był przekraczać. Gabe nie zamierzał stać bezczynnie, kiedy facet prześladował tę pierwszoklasistkę...

Mimo wszystko pobicie nauczyciela to nie było najlepsze wyjście. Na szczęście jego rodzice, jak zwykle, go poparli.

Logan przerwał jego rozmyślenia.

- Może powinniśmy się stąd zmyć - rzucił.

- Czuję się głupio. Gdyby Celeste potrzebowała podwózki do domu...

- Ta dziewczyna nie jest w twoim typie - odparł Logan. Mógłby dodać, że to wcielenie zła i zwykła dziwka, ale takich rzeczy nie mówiło się o dziewczynach, kiedy Gabe był w pobliżu. - Niech jedzie do domu z tym gościem, który wtyka jej język do gardła. Gabe westchnął i pokręcił głową.

- Poczekam i upewnię się, że nie jestem jej potrzebny. Logan jęknął.

- Nie wierzę, że ją zaprosiłeś. No więc może urwiemy się chociaż na chwilę? Przywieziemy parę płyt. I wykradniemy ten szit, który puszcza didżej...

- Podoba mi się twój sposób myślenia. Ciekawe, czy kierowca limuzyny zgodzi się na małą przejażdżkę...

Logan i Gabe zaczęli klócić się na żarty o to, jakie płyty wezmą - pięć najlepszych, to oczywiste, ale dalej lista była bardziej subiektywna - obydwaj bawili się lepiej niż przez cały ten wieczór.

Kiedy tak się przekomarzali, Gabe odniósł wrażenie, że tylko oni dobrze się bawią. Wszyscy pozostali nie mieli dobrego humoru. A w kącie, przy stole z ciastkami, które pamiętały lepsze czasy, jakaś dziewczyna nawet płakała. Czy to nie Evie Hess? Ursula Tatum też miała czerwone oczy i rozmazany tusz. Może muzyka i poncz to niejedyne niewypały na tym balu. Tylko Clara i Bryan wyglądali na szczęśliwych. Nie licząc Gabe'a i Logana, choć zostali upokorzeni i porzuceni. Bawili się znośnie, w odróżnieniu od całej reszty towarzystwa. Logan, mniej spostrzegawczy niż kolega, nie wyczuł tej fatalnej atmosfery, dopóki Libby i Dylan nie zaczęli się klócić; nagle dziewczyna zeszła wściekła z parkietu. Dopiero to przyciągnęło jego uwagę. Logan przestąpił z nogi na nogę, patrząc za znikającą Libby.

- *Gabe*, obrazisz się, jeśli cię zostawię?

- No coś ty. Startuj za nią. Logan ruszył niemal biegiem.

Gabe nie bardzo wiedział, co ma teraz ze sobą zrobić. Powinien poszukać Celeste i spytać ją, czy się nie pogniewa, jeśli on wyjdzie. Ale nie bardzo miał ochotę na wyrywanie jej z czyichś objęć.

Wziął jeszcze jedną butelkę wody. Szukał jakiegoś cichego kąta, żeby przeczekać do końca imprezy.

Nagle znów poczuł to dziwne wrażenie, silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Zupełnie jakby ktoś tonął i wzywał pomocy. Gabe rozejrzał się gorączkowo, zastanawiając się, skąd dochodzi to wołanie. Nie rozumiał, dlaczego ten zew jest tak żaloszny niczym skomlenie. Nigdy jeszcze nie czuł czegoś takiego.

Jego wzrok skupił się na jakiejś dziewczynie - a właściwie na jej plecach, bo właśnie oddalała się od niego. Miała czarne i błyszczące włosy. Lśniły jak lustro. Była ubrana w długą efektowną suknię w kolorze płomiennej czerwieni. Jej kolczyki iskrzyły jak zimne ognie. Ruszył za nią niemal bezwiednie. Przyciągała go do siebie. Gdy odwróciła głowę, dostrzegł nieznajomą, bladą twarz o orlim profilu - pełne wargi i czarne skośne brwi - w następnej chwili zniknęła za drzwiami damskiej toalety.

Gabe aż westchnął z wysiłku. Powstrzymywał się, żeby nie wejść na zakazaną ziemię. Zatracił się całkowicie w myślach o niej. Oparty o ścianę naprzeciw łazienki, skrzyżował ręce na piersi i próbował przekonać samego siebie, że nie ma sensu czekać tu na tę nową. Przecież już raz instynkt go zawiódł. Czy Celeste nie była najlepszym dowodem? To wszystko tkwiło tylko w jego głowie. Może powinien już iść. Ale nie potrafił zmusić nóg, by zrobiły choćby krok.

Choć dziewczyna miała ledwie metr sześćdziesiąt w szpilkach, coś w jej drobnej figurze - smukłej i wyprostowanej - sprawiało, że wydawała się wysoka.

W ogóle była chodzącą sprzecznością. Miała atramentowoczarne włosy i kredowobiałą cerę. Ostre rysy wydawały się jednocześnie delikatne i twarde. A ponętne ciało przyciągało, choć wrogi wyraz twarzy odpychał.

Tylko jedna rzecz była idealna: jej sukienka, prawdziwe dzieło sztuki. Jaskrawoczerwone jęzory skórzanych płomieni odsłaniały ramiona i spływały w dół po jej smukłych krągłościach, aż do podłogi. Gdy szła przez parkiet, dziewczyny patrzyły za nią z zazdrością, a chłopcy z pożądaniem.

Wokół dziewczyny działo się coś dziwnego. Towarzyszyły jej zaskakujące zdarzenia. Gdy przemykała między tańczącymi parami, rozlegały się ciche okrzyki strachu, bólu i wstydu. To nie był zbieg okoliczności. Złamany obcas, wykręcona kostka. Szew satynowej sukienki pęknięty od pasa aż do uda. Komuś wypadło szkło kontaktowe na brudną podłogę, a komuś innemu rozpiął się pasek stanika. Ktoś zgubił portfel. Kogoś złapał bolesny skurcz. Pożyczony naszyjnik z pereł rozerwał się i rozsypał po podłodze. I tak bez końca - małe katastrofy rozchodziły się wokół niej jak zmarszczki na wodzie. Błada dziewczyna uśmiechała się do siebie, jakby jakimś sposobem wyczuwała tę atmosferę nieszczęścia i napawała się nią - a może nawet czuła jej smak, bo z zadowoleniem zwilżała usta.

Nagle nieznajoma zmarszczyła brwi, intensywnie skupiona. Chłopak, który obserwował jej twarz, dostrzegł dziwną czerwoną poświatę w pobliżu jej uszu, jakby strzelały z nich iskry. W tej samej chwili wszyscy odwrócili się i spojrzeli na Brody'ego Farrowa; tańcząc, wywichnął bark ze stawu.

Dziewczyna w czerwonej sukni uśmiechnęła się złośliwie.

Stukając obcasami o płytki, weszła do damskiej toalety. A za nią podążały ciche jęki bólu i złości.

W łazience, przed ścianą pokrytą lustrami, sterczał tłumek dziewczyn. Miały tylko chwilę, by przyjrzeć się oszałamiającej sukience i zauważyć, że jej smukła właścicielka zadrżała w tym dusznym przegrzanym pomieszczeniu. W następnym momencie zapanował chaos. Zaczęło się od Emmy Roland, która włożyła do oka szczoteczkę do tuszu. Z bólu machnęła ręką i wytrąciła z dłoni Bethany Crandall pełną szklanę ponczu, który z kolei oblał Betharty od stóp do głów i zaplałił jeszcze trzy sukienki w wyjątkowo niezręcznych miejscach. Atmosfera w toalecie zrobiła się gorąca, i to nie tylko ze względu na temperaturę. Gdy jedna z dziewcząt dostrzegła ohydny płamę na dekolcie, oskarżyła Bethany, że ta oblała ją celowo. Błada dziewczyna uśmiechnęła się krzywo, słysząc narastającą kłótnię, po czym weszła do najdalszej kabiny, zamykając za sobą drzwi na zamek.

Ale nie skorzystała z odosobnienia tak, jak można by się spodziewać. Zamiast tego - lekceważąc niezbyt higieniczne warunki - oparła czoło o stalową ściankę i zacisnęła powieki. Jej dłonie zwinęły się w pięści. Wyglądała tak, jakby trudno było jej ustać. Gdyby któraś z dziewczyn w łazience w tej chwili się odwróciła, zobaczyłaby, że przez szparę w drzwiach prześwituje czerwony blask. Ale nikt nie patrzył w tamtą stronę. Dziewczyna w czerwonej sukience zacisnęła zęby. Spomiędzy jej warg wystrzelił jaskrawy płomień i wypalił czarne ślady w cienkiej warstwie brązowej farby na ścianie. Nieznajoma zaczęła dyszeć, jakby zmagając się z niewidzialnym ciężarem, i ogień zapłonął jaśniej; grube, szkarłatne jęzory zaiskrzyły w zetknięciu z zimnym metalem. Ogień sięgnął jej włosów, ale nawet nie osmalił gładkich, kruczych pukli. Z jej nosa i uszu zaczęły się sączyć smużki dymu. Z uszu strzeliły snopy iskier, kiedy wyszeptała przez zęby jedno słowo: - Melissa.

Na zatłoczonym parkiecie Melissa Harris uniosła głowę. *Czy ktoś zawołał ją po imieniu? Nikt nie był dość blisko, żeby to zrobić. Widocznie jej się zdawało.* Melissa spojrzała na swojego partnera, próbując się skupić na tym, co mówi.

Nie miała pojęcia, dlaczego zgodziła się pójść na bal z Cooperem Silverdalem. Nie był w jej typie. Niski chłopak o wysokim mniemaniu o sobie, jakby chciał udowodnić, ile jest wart. Był dziwnie nakręcony przez cały wieczór, non stop chwalił się swoją rodziną. Melissa miała już tego dość.

Kolejny cichy szept przykuł jej uwagę; odwróciła się. Kawalek dalej - zbyt daleko, by mógł pochodzić stamtąd - Tyson Bell patrzył wprost na nią nad głową dziewczyny, z którą tańczył.

Melissa natychmiast spuściła wzrok, wmawiając sobie, że nie obchodzi jej, z kim dziś przyszedł. Zmusiła się, by nie zwracać na niego uwagi.

Przysunęła się do Coopera. Może i był nudny i płytki, ale lepszy niż Tyson. Każdy był lepszy niż Tyson.

Naprawdę? Czy Cooper naprawdę jest lepszy? Pytania cisnęły się do jej głowy, jakby pochodziły od kogoś innego. Bezwiednie spojrzała w ciemne oczy Tysona, ocienione gęstymi rzęsami.

Wciąż na nią patrzył.

Oczywiście że Cooper był lepszy od Tysona. Choć ten drugi przewyższał go urodą. Ale to była pułapka.

Cooper paplał dalej, wyrzucał słowa jak z karabinu, usiłując wzbudzić jej zainteresowanie.

Jesteś o wiele za dobra dla Coopera, coś szepnęło jej w głowie. Melissa zawstydziała się, że myśli w ten sposób. Nie chciała być próżna. Cooper był równie dobry jak ona, równie dobry jak każdy inny chłopak.

Nie tak dobry jak Tyson. Przypomnij sobie, jak było...

Melissa próbowała odepchnąć od siebie te obrazy: ciepłe oczy Tysona, pełne tęsknoty... jego dłonie, zarazem szorstkie i miękkie na jej skórze... jego dźwięczny głos, który sprawiał, że nawet najzwyklejsze słowa brzmiały jak poezja... Dotyk warg na jej palcach przyspieszał jej puls...

Serce załomotało boleśnie.

Z rozmysłem przywołała inne wspomnienie, które przeciwstawiło się tamtym niechcianym obrazom. Żelazna pięść Tysona uderza ją w szczękę bez ostrzeżenia - czarne plamy przed oczami - dłonie oparte o podłogę - łyzy dławiące w gardle - ból wstrząsający całym jej ciałem...

Przecież przepraszał. Było mu tak strasznie przykro. Obiecał. Nigdy więcej.

Nieproszony obraz kawowych oczu Tysona, rozplywających się we łzach, przesłonił jej widok.

Oczy Melissy odruchowo poszukały Tysona. Wciąż się w nią wpatrywał. Jego czoło było zmarszczone, brwi ściągnięte w rozpacz... Melissa znów zadrzała.

- Zimno ci? Chcesz moją...? - Cooper zaczął zsuwać z ramion marynarkę od smokingu, ale nagle powstrzymał się i zaczerwienił. - Raczej nie jest ci zimno. Tu jest strasznie gorąco - powiedział niezręcznie, wycofując ofertę i zapinając marynarkę.

- Wszystko w porządku - zapewniła go Melissa. Zmusiła się, by patrzeć tylko na jego

chłopięcą ziemistą twarz.

- Tu jest do kitu - stwierdził Cooper. Melissa ucieszyła się, że może się z nim choć raz zgodzić. - Moglibyśmy pójść do klubu mojego ojca. Mają tam niesamowitą restaurację, jeśli masz ochotę na deser. I nie będziemy musieli czekać na stolik. Kiedy tylko powiem, jak się nazywam... Melissa znów przestała go słuchać.

Dlaczego jestem tutaj z tym małym snobem? - zapytał ktoś, tak dziwnie obcy w jej głowie, choć to był jej własny głos. - *To słabeusz. I co z tego, że nie skrzywdziłby nawet muchy? Czy w miłości nie chodzi o coś więcej niż bezpieczeństwo? Nie czuję tego samego pragnienia, kiedy patrzę na Coopera... Kiedy patrzę na kogokolwiek, kto nie jest Tysonem... Nie mogę się okłamywać. Wciąż go pragnę. Tak bardzo. Czy to pragnienie to nie miłość?*

Melissa żałowała, że wypła tyle tego ohydneho, palącego ponczu. Nie była w stanie jasno myśleć.

Zobaczyła, że Tyson zostawił partnerkę i ruszył przez parkiet. Stał tuż przed nią - doskonały, potężny gracz w futbol. Cooper, znajdujący się między nimi, zupełnie nie istniał.

- Melissa? - odezwał się Tyson słodkim głosem, z twarzą wykrzywioną smutkiem. - Melisso, proszę cię? - Wyciągnął do niej rękę, ignorując Coopera gotującego się do ataku. *Tak, tak, tak, tak, tak, tak*, śpiewało coś w jej głowie.

Wstrząsnęły nią tysiące wspomnień pożądania. Jej zaćmiony umysł się poddał. Melissa z wahaniem przytaknęła.

Tyson uśmiechnął się z ulgą, z radością. Ominął Coopera i pociągnął ją w swoje ramiona. Tak łatwo było z nim pójść. Krew płynęła szybciej w jej żyłach, gorąca jak ogień.

- Tak! - syknęła blada czarnowłosa dziewczyna schowana w kabinie toalety, a rozdwojony jęzor ognia oświetlił jej twarz czerwienią. Płomień strzelił tak głośno, że ktoś mógłby to usłyszeć, gdyby łazienka nie była pełna piskliwych zirytowanych krzyków. Ogień cofnął się i dziewczyna wzięła głęboki oddech, jej powieki otworzyły się i znów zamknęły. Pięści zacisnęły się, miało się wrażenie, że jasna skóra na kostkach teraz pęknie. Jej smukłe ciało zaczęło drżeć, jakby podnosiła ogromny ciężar. Napięcie, determinacja i oczekiwanie były od niej. Były niemal namacalne. Za wszelką cenę chciała wykonać zadanie.

- Cooper - wysyczała i ogień wypłynął z jej ust, nosa i uszu. Płomienie omiotły jej twarz.

Jesteś totalnym zerem. Jesteś niewidzialny. W ogóle nie istniejesz! Cooper trząsł się z wściekłości, ale słowa w jego głowie podsycaly tylko furie. Doprowadzały go do wrzenia. *Spraw, żeby cię zauważyła. Pokaż Tysonowi, kto tu naprawdę jest mężczyzną.*

Jego ręka sięgnęła odruchowo w stronę ciężkiego przedmiotu, ukrytego pod

marynarką, za paskiem. Szok - nagle przypomniał sobie o pistolecie - przebił się przez jego gniew. Cooper zamrugał gwałtownie, jakby obudził się ze snu.

Włosy zjeżyły mu się na karku. Co on robi z pistoletem na szkolnym balu? Odbiło mu czy co?

To była kompletna głupota, ale z drugiej strony, co miał zrobić, kiedy Warren Beeds go podpuścił?

Owszem, to prawda, że szkolna ochrona jest beznadziejna i że każdy może wnieść wszystko do budynku.

Udowodnił to, nie? Ale czy warto było łączyć z pistoletem za paskiem tylko po to, żeby popisać się przed Warrenem Beedsem?

Widział Melissę z głową na ramieniu tego głupiego osiłka, z zamkniętymi oczami. Czy już kompletnie zapomniała o Cooperze?

Wściekłość znów wezbrała, ręka Coopera drgnęła, przesuwając się w stronę pistoletu.

Chłopak pokręcił głową, tym razem bardziej energicznie. *To szaleństwo. Przecież nie po to przyniósł broń... To miał być tylko żart, szczeniackie wygłupy.*

Spójrz na Tysona. Spójrz na ten uśmiezek wyższości na jego twarzy! Za kogo on się uważa?

Jego ojciec to zwykły ogrodnik, tyle że zdolny! Ma w nosie, że ukradł mi dziewczynę, wcale się nie boi, że coś z tym zrobię.

Nawet nie pamięta, że to ja z nią przyszedłem. A Melissa zapomniała o moim istnieniu.

Cooper zazgrzytał zębami przepelniony złością. Wyobrażał sobie, jak ten uśmiezek znika z twarzy Tysona, a zamiast niego pojawia się przerażenie na widok pistoletu.

Lodowaty strach sprowadził Coopera na ziemię.

Poncz. Potrzebuję więcej ponczu. Jest tani i obrzydliwi, ale przynajmniej mocny. Jeszcze parę kubków i będę wiedział, co robić.

Cooper wziął głęboki oddech i ruszył do stołu z przekąskami.

Ciemnowłosa dziewczyna w łazience zmarszczyła czoło i zirytowana pokręciła głową. Odetchnęła i zamruczała uspokajająco do samej siebie:

- Jest mnóstwo czasu. Jeszcze trochę alkoholu zamroczy jego umysł, osłabi jego wolę... Cierpliwości. Jeszcze tyle spraw do załatwienia, tyle szczegółów do dopilnowania... - Zagryzła wargi. Jej powieki drgnęły.

- Najpierw Matt i Louisa, potem Bryan i Clara - powiedziała sobie, jakby przeglądała listę sprawunków. - Uff, i ten wścibski Gabe! Dlaczego on jeszcze nie jest nieszczęśliwy? -

Jeszcze raz zaczerpnęła powietrza, by się uspokoić - Pora, żeby moja mała pomocnica wzięła się do pracy. Przycisnęła pięści do skroni i zamknęła oczy.

- Celeste - warknęła.

Głos w myślach Celeste był znajomy, a nawet mile widziany. Ostatnio w ten sposób wpadała na najlepsze pomysły.

Czy Matt i Louisa nie za czule się przytulają?

Celeste wyszczerzyła zęby, spoglądając na ta parkę. *Ktoś się dobrze bawi? Czy można na to pozwolić?*

- Musze lecieć.. - Celeste spojrzała w twarz partnera, szukając w głowie jego imienia - ... Derek. Palce chłopaka, skradające się w górę po jej żebrach, znieruchomiały.

- Było całkiem miło - zapewniła go, ocierając usta grzbietem dłoni, jakby chciała zetrzeć jego smak. Uwolniła się z jego objęć.

- Ale.. Myślałem..

- Cześć, na razie.

Uśmiech Celeste był ostry jak brzytwa, gdy ruszyła w stronę Matta Franklina i jego dziewczyny, Louisy, małej szarej myszki. Przypomniała sobie chłopaka, z którym przyszła - tego porządnego do bólu Gabe'a Christensena - i chciało jej się śmiać. Ależ cudownie musi się dzisiaj bawić. Upokorzyła go. To było wspaniałe uczucie. Chociaż nie miała pojęcia, co jej strzeliło do głowy, żeby przyjąć jego zaproszenie. Pokręciła głową na to irytujące wspomnienie. Gabe spojrzał na nią tymi swoimi niewinnymi, niebieskimi oczami i - przez pół minuty - naprawdę pragnęła pójść z nim na bal. Chciała się do niego zbliżyć. Przez jedną krótką chwilę miała ochotę i po prostu miło spędzić czas z miłym facetem. Rany, jak dobrze, że ta zachcianka już minęła. Celeste w życiu nie bawiła się lepiej niż teraz. Zepsuła bal połowie dziewczyn w sali, a chłopcy bili się o nią. Oni wszyscy byli tacy sami. Mogła sobie wziąć każdego. To był naprawdę genialny plan - zdominować całą zabawę!

- Hej Matt - rzuciła słodko, stukając go w ramię.

- O, hej - odparł Matt, odrywając wzrok od swojej dziewczyny ze zdezorientowaną miną.

- Mogę cię pożyczyć na chwilę? - Zapytała Celeste, wachlując rzesami i prostując ramiona, żeby jej dekolt był lepiej widoczny - Chciałam ci coś... pokazać. - Oblizła wargi.

- Ehm... - Matt głośno przełknął ślinę.

Celeste poczuła, że jej ostatni partner gapi się na nią, jakby chciał wypalić jej dziurę w plecach. Przypomniała sobie, że Matt to jego najlepszy kumpel. Stłumiła śmiech. Idealnie.

- Matt? - rzuciła jego dziewczyna urażonym tonem, gdy jego ręka zsunęła się z jej

talii.

- Zaraz wracam , Loiuso. Celeste posłała mu olśniewający uśmiech.

- Matt? - zawołała jeszcze raz Louisa zdumiona i zraniona, gdy Matt wziął Celeste za rękę i poszedł za nią na środek parkietu.

W ostatniej kabinie w toalecie panował mrok. Dziewczyna w środku osunęła się, oparta o ścianę. Czekwała, aż jej oddech zwolni. Mimo nieznośnego gorąca w pomieszczeniu dygotała.

Kłótnia w łazience się zakończyła. Teraz inna grupka dziewczyn tłoczyła się przy lustrze, poprawiając makijaż.

Ognista dziewczyna wzięła się w garść. Z jej uszu trysnął kolejny snop czerwonych iskier; wszystkie dziewczyny w łazience odwróciły się i spojrzały wyczekująco na drzwi łazienki.

Tymczasem nieznajoma w czerwonej sukni wymknęła się z kabiny i otworzyła okno znajdujące się nisko nad ziemią. Nikt nie zauważył, kiedy się przez nie prześliznęła.

Dziewczyny wciąż gapiły się na drzwi, sprowokowane dźwiękiem, który kazał im odwrócić głowy.

Lepkie, wilgotne powietrze Miami było tak nagrzane, jakby aura postanowiła rywalizować z samym piekłem. Dziewczyna, mimo ciężkiej skórzanej sukienki, uśmiechnęła się z ulgą i roztarta dłońmi nagie ramiona.

Oparła się o najbliższy ohydny pojemnik na śmieci. Nachyliła się nad gnijącym jedzeniem.

Zamknęła oczy, odetchnęła głęboko i się uśmiechnęła.

W parnym powietrzu rozszedł się nowy, jeszcze bardziej obrzydliwy smród - coś jak zapach palonego ciała, tylko gorszy. Uśmiech dziewczyny poszerzył się, gdy zaczęła zaciągać się tym koszmarnym odorem, jakby to były najcenniejsze perfumy.

Nagle jej oczy otworzyły się, a ciało wyprężyło jak struna.

W aksamitnej ciemności rozległ się cichy śmiech.

- Tęsknisz za domem, Sheeb? - zamruczał kobiecy głos.

Dziewczyna wyszczerzyła zęby jak pies, kiedy właścicielka tego głosu zmaterializowała się przed jej oczami.

Oszalamiająco piękną czarnowłosą kobietę spowijała jedynie wirująca czarna mgła. Jej nogi były niewidoczne, a może w ogóle ich nie było. Wysoko na jej czole sterczały dwa małe rogi z wypolerowanego onyksu.

- Chex Jezebel aut Baal - Malphus - warknęła dziewczyna w czerwonej sukni. - Co ty

tu robisz?

- Czemu tak formalnie, siostrzyczko?

- Siostra nie siostra, nie musimy się spoufalać.

- Też racja. I przyznaję, że nasza najbliższa rodzina idzie w tysiące... Ale po co łamać sobie język. Może po prostu mów mi Jez. Ja też odpuszczę sobie Chex Sheba aut Baal - Malphus i zostanę przy Sheeb. Sheba prychnęła pogardliwie.

- Myślałam, że jesteś oddelegowana do Nowego Jorku.

- Po prostu zrobiłam sobie przerwę... Tak jak i ty, z tego, co widzę. - Jezebel spojrzała znacząco na śmietnik, o który opierała się dziewczyna. - Nowy Jork jest bajeczny, niemal tak zły jak piekło, ale nawet mordercy muszą czasem spać. Znudziłam się i wpadłam zobaczyć, jak się bawisz na balu. - Jezebel się roześmiała. Ciemna mgła zatańczyła wokół niej. Sheba zmarszczyła brwi, ale nie odpowiedziała.

Jej umysł znów był w pełnej gotowości. Skupiła myśli na niczego niepodejrzewających nastolatkach w hotelowej sali balowej, szukając oznak sabotażu. Czy Jezebel przyszła tutaj, by pokrzyżować jej plany? Bo po cóż innego? Większość demonów średniego szczebla była skłonna zadać sobie wiele trudu, by załatwić kogoś niższej rangi - posuwając się nawet do czynienia dobra. Balan Lilith Hadad aut Hamon przebrała się nawet za śmiertelniczkę w jednym z liceów przydzielonych Shebie; to było jakieś dziesięć lat temu. Sheba nie rozumiała, dlaczego wszystkie jej knowania kończą się fiaskiem. A kiedy się w końcu domyśliła, nie mogła uwierzyć w tupet Lilith - ta wredna demonica zaaranżowała aż trzy przypadki prawdziwej miłości, byle tylko ją zdegradować! Na szczęście Shebie udało się w ostatniej chwili doprowadzić do zdrady. Dwa związki się rozpadły. Sheba odetchnęła głęboko. Wtedy niewiele brakowało. Mogli ją cofnąć nawet do gimnazjum!

Skrzywiła się, patrząc na zadowoloną demonicę unoszącą się przed nią. Gdyby miała taką pracę jak Jezebel - wymarzoną posadę demona w wydziale zabójstw - trzymałaby się własnego poletka i nie bawiłaby się w żalosne sztuczki.

Jej myśli wiły się jak niewidzialny dym między tańczącymi w budynku, szukając wszelkich śladów zdrady. Ale wszystko toczyło się tak jak powinno. Niezadowolenie w sali osiągało coraz wyższy pułap. Umysł Sheby wypełniał smak ludzkiego nieszczęścia. Przepysznie. Jezebel się roześmiała. Wiedziała, co robi Sheba.

- Spokojnie - powiedziała. - Nie przyszłam tutaj, żeby przysparzać ci kłopotów. Sheba parsknęła. Oczywiście że Jezebel była tutaj, żeby pokrzyżować jej plany. Takie już są demony.

- Świetna sukienka - zauważyła Jezebel. - Skóra z piekielnego ogara. Doskonała, by

wzbudzać pożądanie i zazdrość.

- Znam się na swojej robocie.

Jezebel znów się roześmiała i Sheba instynktownie pochyliła się ku niej, by móc wdychać zapach siarki bijący z jej ust.

- Biedna Sheeb, wciąż uwięziona w półludzkiej postaci - zażartowała Jezebel. - Pamiętam, jak pięknie wszystko wtedy pachnie. Uch. A ta temperatura! Czy ludzie muszą zamrażać wszystko tą swoją przeklętą klimatyzacją? Twarz Sheby była opanowana.

- Jakoś sobie radzę. Wokół jest mnóstwo nieszczęścia, którym można się sycić.

- I tak trzymaj! Jeszcze tylko paręset lat i będziesz na szczycie, jak ja. Sheba pozwoliła sobie na uśmiezek.

- A może prędzej. Krucza brew uniosła się na czole Jezebel, niemal pod sam czarny róg.

- Doprawdy? Masz w rękawie coś wyjątkowo podłego, siostrzyczko? Sheba nie odpowiedziała; znów zeszywniała, gdy Jezebel badała myślami pary tańczące w sali balowej. Sheba zacisnęła zęby gotowa na kontratak, gdyby Jezebel spróbowała popsuć którąś z jej intryg. Ale diablica tylko patrzyła, nie dotykając niczego.

- Hm - mruzczała do siebie. - Hm...

Pięści Sheby zacisnęły się, kiedy myśli Jezebel dotknęły Coopera Silverdale'a, ale rogata demonica tylko obserwowała.

- Proszę, proszę - mruknęła. - Pięknie, Sheeb, muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Masz w sali broń. I zmotywowanego właściciela napompowanego alkoholem, który osłabił jego wolną wolę! - Jezebel uśmiechnęła się i ten uśmiech wyglądał na podejrzenie szczerzy. - To naprawdę złe. Owszem, demon średniego szczebla zajmujący się zabójstwami, wojną czy zamieszkami mógłby zaaranżować coś takiego na szkolnym balu, ale dziecko w ludzkiej postaci, na tak żałosnej placówce? Ile ty masz, ze dwieście lat?

- Niedługo skończę sto osiemdziesiąt sześć - odparła szorstko Sheba, wciąż nieufna. Jezebel gwizdnęła i jęzor ognia wysunął się spomiędzy jej warg.

- Jestem pod wrażeniem. I widzę, że nie zaniedbujesz także przydzielonego zadania. To naprawdę nieszczęśliwy tłumek. - Jezebel się roześmiała. - Rozbiłaś niemal wszystkie obiecujące związki. Zniszczyłaś kilkadziesiąt dozgonnych przyjaźni. Sprowokowałaś nowych wrogów... trzy, cztery... pięć bójek wisi na włosku - liczyła Jezebel, myślami wciąż krążąc wśród istot ludzkich.

- Nawet didżej cię słucha! Cóż za dbałość o szczegóły. Mogę policzyć na palcach jednej ręki tych, którzy nie są jeszcze kompletnie załamani. Sheba uśmiechnęła się ponuro.

- Dobiorę się do nich.

- To okropne, Sheeb. Naprawdę wredne. Przynosisz dumę naszemu nazwisku. Gdyby na każdym szkolnym balu była taka demonica jak ty, władalibyśmy tym światem.

- Oj, Jez, zaraz się przez ciebie zarumienię. - Ton Sheby ociekał sarkazmem. Jezebel znów się roześmiała.

- Oczywiście miałaś trochę pomocy.

Jej myśli dotknęły Celeste, która właśnie owinęła się wokół kolejnego chłopaka. Porzucone dziewczyny plakaty, a chłopcy, których rzuciła, zaciskali pięści i posyłali wściekłe spojrzenia konkurentom; każdy z nich płonął pożądaniem, obiecując sobie, że Celeste zakończy ten wieczór właśnie z nim.

Celeste odwaliła dzisiaj kawał roboty.

- Używam narzędzi, jakie mam do dyspozycji - stwierdziła Sheba.

- Cóż za ironia losu, Celeste*! Cóż za podły umysł! Czy na pewno jest w pełni człowiekiem?

- Minęłam ją w korytarzu, żeby sprawdzić - przyznała Sheba. - Czysty, całkowicie ludzki zapach. Odrażający.

- Hm. Przysięgłabym, że miała wśród przodków jakiegoś demona. Świetne znalezisko. Ale zapraszać chłopaka na randkę? Takie fizyczne zaangażowanie się to amatorszczyzna.

Sheba wojowniczo wysunęła podbródek, ale nie odpowiedziała. Jezebel miała rację, używanie człowieka zamiast umysłu demona było prymitywne i czasochłonne. Ale liczyły się wyniki. Sheba zainterweniowała w samą porę, nim Logan odkrył prawdziwą miłość.

- Cóż, to absolutnie nie umniejsza twoich osiągnięć tego wieczoru - powiedziała pojednawczym tonem Jezebel. - Jeśli ci się to uda, znajdziesz się w naszych podręcznikach.

- Dzięki - odpaliła Sheba. Czy Jezebel naprawdę sądziła, że pochlebstwami uspi jej czujność?

Jezebel uśmiechnęła się, a otaczająca ją mgła podwinęła się na brzegach, imitując wyraz jej twarzy.

- Drobną radą. Podtrzymuj to zamieszanie, niech nie wiedzą, co się dzieje. Jeśli uda ci się skłonić Coopera, żeby pociągnął za spust, może któryś z tych niedoszłych gangsterów pomyśli, że to porachunki gangów. - Jezebel pokręciła głową zdumiona. - Masz tu ogromny potencjał. Sprowokuj strzelaninę. Jeśli zrobi się gorąco, przyślą demona od zamieszek... Ale i tak zdobędziesz sporo uznania za wywołanie rozróby.

Sheba skrzywiła się, wokół jej uszu rozjarzyła się czerwona poświata. *O co chodzi tej*

* Celeste - Niebiańska (przyp. tłum.).

Jezebel? Gdzie tkwi haczyk? Jej myśli wciąż krążyły wokół ludzi, których dręczyła, ale nie wyczuwała w sali charakterystycznego siarkowego zapachu Jezebel. Nie było tu nic prócz nieszczęść, które ona sama sprowokowała, i kilku bąbli odrażającego szczęścia, którymi zamierzała zająć się jak najszybciej.

- Jesteś dzisiaj wyjątkowo pomocna - powiedziała Sheba, celowo przybierając obraźliwy ton.

Jezebel westchnęła, a jej mgła podwinęła się tak, że wyglądała na... zawstydzoną. Shebę po raz pierwszy ogarnęły wątpliwości, czy jej założenia są słuszne. Ale motywy Jezebel po prostu musiały być podłe. Demony nie bywają życzliwe. Jezebel z żalną miną zapytała cicho:

- Tak trudno ci uwierzyć, że mogę chcieć twojego awansu?

- Tak.

Jezebel znów westchnęła. I znów wymowne zawijasy jej mgły sprawiły, że Sheba zaczęła tracić pewność.

- Dlaczego? - zapytała aspirantka na demona. - Co ty z tego masz?

- Wiem, że to źle... czy raczej dobrze... że daję ci użyteczne rady. Niezbyt podle z mojej strony. Sheba ostrożnie skinęła głową.

- To leży w naszej naturze, by kopać dołki pod każdym; demonami, ludźmi... Nawet aniołami, jeśli mamy okazję. Jesteśmy sługami zła. Odruchowo wbijamy każdemu nóż w plecy. Nie byłybyśmy demonami, gdyby nie rządziły nami zazdrość, chciwość, pożądanie i gniew. - Jezebel roześmiała się. - Pamiętam... Ile to już lat minęło? Jak Lilith to doprowadziła do twojej degradacji o parę klas, prawda? Krwawy ogień zapłonął w oczach Sheby na to wspomnienie.

- O mało.

- Poradziłaś sobie z tym lepiej niż większość. W tej chwili jesteś jedną z najniebezpieczniejszych piekielnych pracownic.

Znów pochlebstwo? Sheba zeszywniała. Jezebel nawinęła skrawek mgły na palec, po czym zakręciła palcem i posłała mglisty pierścień w niebo.

- Ale istnieje nadrzędny cel, Shebo. Demony takie jak Lilith nie potrafią dostrzec nic więcej prócz zła przed własnym nosem. Ale przecież cały świat jest pełny istot ludzkich, podejmujących miliony decyzji w każdej minucie dnia i nocy. Możemy negatywnie wpłynąć tylko na ułamek tych decyzji. I czasami, przynajmniej z mojego punktu widzenia, wydaje się, że anioły zyskują przewagę...

- Ależ Jezebel! - krzyknęła Sheba, szok rozwiązał jej podejrzliwość. - Przecież

wygrywamy. Wystarczy pooglądać wiadomości... To oczywiste, że wyrywamy.

- Wiem, wiem. Ale mimo tych wszystkich wojen i zniszczeń... Na świecie wciąż jest mnóstwo szczęścia. Na każdy napad, który zmienię w zabójstwo, przypada jedno ocalone życie. To na drugim końcu miasta jakiś anioł popycha niewinnego przechodnia, by rzucił się na pomoc napadniętemu, i bilans wychodzi na zero. Albo przekonuje rabusia, by porzucił ścieżkę zbrodni! Jesteśmy w defensywie.

- Ale anioły są słabe, Jezebel. Wszyscy to wiedzą. Są tak przepelnione miłością, że nie mogą się skupić. Te ptasie mózdzki co chwilę zakochują się w jakimś człowieku i sprzedają skrzydła w zamian za ludzkie ciało. Choć nie rozumiem, jakim cudem nawet największy anielski idiota może tego chcieć! - Sheba ze złością spojrzała na swoje ludzkie ciało. Tak ograniczające. - Nie rozumiem, jaki sens ma noszenie takiej powłoki przez pięćset lat. Domyślam się, że to ma być tortura, tak? Mroczni władcy pewnie lubią patrzeć, jak się męczymy.

- Chodzi o coś więcej. To po to, żebyś naprawdę ich zniecierzyła. Ludzi, oczywiście. Sheba wybałuszyła na nią oczy.

- Dlaczego miałabym potrzebować powodu? Nienawiść to moja natura.

- To się zdarza, wiesz - powiedziała powoli Jezebel. - Nie tylko anioły rzucają to wszystko. Zdarzają się i demony, które wolą przehandlować rogi za człowieka.

- Nie! - Sheba otworzyła szeroko oczy, po czym zmrużyła je z niedowierzaniem. - Przesadzasz. Od czasu do czasu jakiś demon nawiedza człowieka, ale tylko po to, żeby go dręczyć. To tylko podła zabawa.

Jezebel skrzywiła się, zwijając mgłę w ósemkę, ale nie zaprzeczyła. To przekonało Shebę, że demonica mówi poważnie. Sheba przełknęła ślinę.

- No coś ty.

Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Jak można wyrzucić to całe przepyszne zło. Oddać ciężko zapracowaną parę rogów - rogów, dla których Sheba była skłonna zniszczyć dosłownie wszystko - i w zamian utknąć w słabym śmiertelnym ciele. Sheba zerknęła na połyskujące onyksowe rogi Jezebel i zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, jak ktoś mógłby to zrobić.

- Pamiętasz, co powiedziałaś o aniołach? Że miłość maści im umysł? - zapytała Jezebel. - No więc nienawiść też potrafi zaćmić umysł. Popatrz na Lilith i jej złośliwe dobre uczynki. Może zaczyna się od dokuczania młodszym demonom, ale kto wie, do czego to może doprowadzić? Cnota deprawuje.

- Nie wierzę, by kilka numerów wyciętych innemu demonowi mogło coś zmienić -

mruknęła Sheba pod nosem.

- Shebo, nie lekceważ aniołów - zbesztala ją Jezebel. - Nie zadzieraj z nimi, słyszysz? Nawet silny demon średniego szczebla, jak ja, ma dość rozumu, by nie zadawać się z pierzakami. One trzymają się z daleka od nas, a my z daleka od nich. Od porachunków z aniołami są Władcy Piekieł.

- Wiem, Jezebel. Nie mam dziesięciu lat.

- Przepraszam. Znów jestem pomocna. - Jezebel zadrżała. - Ale czasami czuję się taka sfrustrowana! Gdziekolwiek spojrzeć, dobro i światło! Sheba pokręciła głową.

- Ja tego nie widzę. Nieszczęście jest wszędzie.

- Szczęście też, siostró. Jest wszędzie dookoła - odparła smutno Jezebel. Jej słowa zawisły w powietrzu; przez długą chwilę panowało milczenie. Lepki wiatr owiewał skórę Jezebel. Miami nie było piekłem, ale przynajmniej było w miarę komfortowe.

- Nie na moim balu! - oznajmiła Sheba z zjadłością. Jezebel uśmiechnęła się szeroko; jej zęby były czarne jak nocne niebo.

- Właśnie o to mi chodzi. Dlatego jestem tak niezdolnie pomocna. Bo potrzebujemy takich demonie jak ty. Potrzebujemy na froncie najgorszych żołnierzy, na jakich nas stać. Niech takie jak Lilith bawią się żalonymi sztuczkami. Ja chcę mieć przy boku Shebę. Tysiące takich jak ty. Wtedy wygramy tę wojnę raz na zawsze.

Sheba zastanawiała się nad tym przez chwilę. Ważyła w duchu żarliwy zdecydowany ton Jezebel.

- To zło, ale w dziwnej postaci. Wygląda niemal jak dobro.

- Pokręcone, wiem. Po raz pierwszy roześmiały się obydwie.

- No dobrze, wracaj tam i zniszcz ten bal.

- Biorę się do dzieła. Idź do diabła, Jezebel.

- Dzięki, Sheeb. Nawzajem.

Jezebel puściła do niej oko i uśmiechała się coraz szerzej, aż czerń jej zębów przesłoniła całą twarz. Wyparowała w nocną ciemność.

Sheba została w mrocznej alejce, dopóki kuszący zapach siarki nie zniknął zupełnie. Wreszcie uznała, że koniec przerwy. Podbudowana wizją walki na pierwszej linii, pospieszyła z powrotem, pilnować swoich nieszczęść.

Bal rozkręcił się na dobre i wszystkie elementy zaczynały wskakiwać na miejsce.

Celeste osiągała wyniki w swojej podłej grze, przyznawała sobie punkt za każdą dziewczynę płaczącą w ciemnym kącie. Dwa punkty za każdego chłopaka, który rzucił się z pięściami na rywala.

W całej sali nasiona zasadzone przez Shebę wydawały owoce. Nienawiść rozkwitała wraz z pożądaniem, złością i rozpaczą. Istny piekielny ogród.

Stała za donicą z palmą i obserwowała to wszystko z zadowoleniem.

Nie, nie mogła zmusić ludzi do niczego. Mieli swoją wrodzoną wolną wolę, mogła więc tylko kusić, sugerować. Drobnymi rzeczami - wysokimi obcasami, szwami sukienek – mogła manipulować fizycznie, ale nie mogła do niczego przymuszać umysłów. Oni wszyscy musieli chcieć jej słuchać. I dziś słuchali aż miło.

Sheba była na fali i chciała dopilnować wszystkich drobiazgów, dlatego zanim zajęła się swoją najbardziej ambitną intrygą - Cooper był już pijany i całkowicie podatny na jej sugestie, gotów, by nim pokierować - wysłała myśli w tłum, szukając tych małych irytujących baniek szczęścia.

Nikt nie wyjdzie z tego balu nietknięty, dopóki ona ma w sobie choćby iskrę żaru.

Tam - co to ma być? Bryan Walker i Clara Hurst patrzą sobie w oczy, kompletnie obojętni na ból, rozpacz i fatalną muzykę wokół nich, po prostu ciesząc się swoim towarzystwem.

Sheba rozważyła możliwości i postanowiła posłać tam Celeste. Będzie zadowolona - trudno o podlejszą zabawę niż objawić całą swoją moc w obliczu czystej miłości. Poza tym Celeste posłusznie wypełniała każdą propozycję podsuwaną przez Shebę, zawsze chętna, by przeprowadzić kolejną demoniczną intrygę.

Ale nim zaczęła działać, Sheba musiała dokończyć swój rekonesans.

Niedaleko znalazła dowód, że w niewybaczalny sposób zaniedbała to, co miała pod samym nosem. Czy jej partner, Logan, naprawdę dobrze się bawi? Niemożliwe. Więc jednak odnalazł swoją Libby i teraz oboje byli szczęśliwi. Ale naprawienie tego nie powinno być zbyt trudne.

Po prostu pójdzie po swojego chłopaka, a Libby ucieknie we łzach. To prymitywne i amatorskie, tak interweniować cieleśnie... Ale i tak lepsze niż pozwolić, by miłość wygrała choć jedną matą bitwę.

Rekonesans był prawie zakończony. Został tylko jeszcze jeden małeńki zarodek szczęścia - samotny chłopak na drugim końcu sali. Ten denerwujący Gabe Christensen.

Sheba posłała mu złe spojrzenie. A ten z czego się tak cieszy? Został porzucony, jest sam.

Jego partnerka jest plagą całego balu. Normalny chłopak byłby w tej chwili przepełniony gniewem i bólem. Ale ten uparł się, że przysporzy jej roboty!

Sheba uważniej przyjrzała się umysłowi Gabe'a. Hm. Właściwie nie był szczęśliwy. W

tej chwili był raczej zaniepokojony i najwyraźniej kogoś szukał. Celeste była tuż przed jego nosem. Wiła się lubieżnie, tańcząc wolny kawałek z Robem Carltonem (Pamela Green obserwowała ten popis zszokowana, przesycając powietrze wokół siebie smakowitą rozpaczą), ale to nie Celeste była źródłem niepokoju Gabe'a. On szukał kogoś innego.

To nie szczęście zakłócało atmosferę cierpienia wypielegnowaną przez Shebę. Od tego chłopaka biła dobroć. A może nawet coś gorszego.

Sheba schowała się za palmą i sięgnęła myślami głębiej. Z jej nosa zaczął się sączyć dym.

- Gabe.

Gabe, zamyślony, pokręcił głową i kontynuował swoje poszukiwania.

Czekał pół godziny, patrząc, jak kolejne grupy dziewczyn wychodzą z łazienki, fala za falą.

Tu czy tam czuł słabe wołanie, ale nic tak silnego, jak rozszalała dławiąca tęsknota tamtej jednej dziewczyny.

Kiedy trzy kolejne grupki weszły i wyszły z łazienki, Gabe zatrzymał Jill Stein, by zapytać o tamtą.

- Czarne włosy i czerwona sukienka? Nie, nie widziałam w środku nikogo takiego. Łazienka jest pusta. Dziewczyna musiała jakoś się wymknąć.

Gabe wrócił do sali, rozmyślając o tajemniczej nieznanym. Przynajmniej Bryan i Clara, Logan i Libby miło spędzali czas. To dobrze. Bo reszta klasy najwyraźniej przeżywała wyjątkowo paskudny wieczór. I nagle znów to poczuł. Poderwał głowę, słysząc wołanie, którego szukał. *Gdzie ona jest?*

Sheba zasyczała sfrustrowana. Gabe był całkowicie trzeźwy i wyjątkowo odporny na jej podstępne podszepty. Cóż, to nie mogło jej powstrzymać. Miała inne narzędzia.

- Celeste.

Pora, by ta zła dziewczyna podręczyła swojego partnera.

Sheba zaczęła delikatnie sugerować, by Celeste się tym zajęła. Ostatecznie Gabe był atrakcyjny według ludzkich kryteriów. A już z pewnością wystarczająco dobry dla Celeste, która nie miała zbyt wygórowanych oczekiwań. Gabe był wysoki i muskularny, choć bez przesady, miał ciemne włosy i regularne rysy. Miał też niebieskie oczy, które Sheba uważała za dość odrażające - były tak zdecydowanie dobre, niemal niebiańsko, brr! - ale to się podobało śmiertelnym dziewczynom. To właśnie jego spojrzenie sprawiło, że Celeste przyjęła zaproszenie od tej chodzącej dobroci.

Sheba zmrużyła oczy. Gabe już dawno był na jej czarnej liście, jeszcze zanim zaczął

bruździć jej na tym balu.

To był ten sam chłopak, który zniweczył jej intrygę z lubieżnym nauczycielem matematyki - małą, zabawną rozgrzewkę, którą Sheba urządziła sobie przed balem, w tym samym czasie, kiedy pilnowała, by każdy zaprosił nieodpowiednią osobę. Gdyby Gabe nie postawił się panu Reese'owi...

Sheba zazgrzytała zębami, a z jej uszu sypnęły się iskry. Zniszczyłyby tego człowieka, razem z tą nieznośnie niewinną panienką. Nie żeby panu Reese'owi wiele brakowało do upadku, ale byłby to fantastyczny skandal. A teraz matematyk był wyjątkowo ostrożny. Bał się tych niebiańskobłękitnych oczu. Czuł się winny. A może zastanawiał się, czy nie iść do psychologa ze swoim problemem. Fuj!

Gabe Christensen był winny Shebie trochę nieszczęścia. I zamierzała wyegzekwować to, co jej się należy.

Spojrzała ze złością na Celeste, zastanawiając się, dlaczego dziewczyna nie ruszyła jeszcze w jego stronę. Ale ta wciąż wisiała na Robie, rozkoszując się bólem Pamelii. Dość tej zabawy! Pora siać zamęt. Sheba szepnęła w jej umyśle, popychając ją w kierunku Gabe'a. Celeste uwolniła się od chłopaka i spojrzała na Gabe'a, który wciąż się rozglądał. Przez sekundę na niego patrzyła i nagle uciekła z powrotem w ramiona Roba. Dziwne. Te niebieskie jasne oczy były dla niej niemal równie odrażające, jak dla samej Sheby.

Sheba znów napała, ale Celeste - chyba po raz pierwszy - odepchnęła ją i przyssała się do chętnych ust Roba, by nie myśleć o tamtym.

Oślupiała Sheba zaczęła szukać innego sposobu zniszczenia tego irytującego chłopaka, ale przerwało jej coś o wiele ważniejszego niż jeden dobry człowiek.

Na brzegu parkietu Cooper Silverdale aż trząśił się z furii, patrząc na Melisę i Tysona. Jego partnerka tańczyła z głową na ramieniu Tysona, zupełnie nieświadoma uśmiezków samozadowolenia, które Tyson posyłał Cooperowi.

Pora działać. Cooper zastanawiał się nad kolejnym kubkiem ponczu, by utopić swój ból; Sheba nie mogła pozwolić, żeby upił się do nieprzytomności, a niewiele mu już brakowało.

Skupiła się na nim i Cooper nagle stwierdził tępo, że ten zielony syrop jest ohydny. Nie wmusi w siebie ani odrobiny więcej. Rzucił niedopity kubek na podłogę i odwrócił się, by spojrzeć na rywala.

Ona uważa, że jestem żaloszny, powiedział głos w jego głowie. Nie, w ogóle o mnie nie myśli. *Ale mogę zrobić coś takiego, że nigdy mnie nie zapomni...*

Zamoczony alkoholem Cooper sięgnął do paska i pogładził lufę pistoletu pod

marynarką.

Sheba wstrzymała oddech. Iskry wytrysnęły z jej uszu.

I nagle poczuła, że ktoś się w nią wpatruje.

Do Gabe'a znów wróciło to nieznośne pragnienie - kogoś tonącego, krzyczącego o pomoc. To musiała być ta sama dziewczyna. Nigdy w życiu tak się nie czuł.

Jego wzrok błędził desperacko po tańczących parach, ale wciąż jej nie widział. Zaczął obchodzić parkiet, wpatrując się w twarze ludzi stojących pod ścianami. Tu też jej nie było.

Zobaczył Celeste z kolejnym chłopakiem, ale to go nie obchodziło. Wiedział, że jeśli dziewczyna nie poprosi go o odwiezienie do domu w ciągu kilku najbliższych chwil, to niewiele będzie mógł na to poradzić. Ktoś inny bardziej go potrzebował.

Znów to poczuł, jakby ktoś ciągnął za smycz, i Gabe zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wariuje. Może dziewczyna w płomienistej sukience była tylko wytworem jego wyobraźni.

Może to gorączkowe błaganie było tylko obłąkanym złudzeniem.

Ale w tej chwili znalazł to, czego szukał.

Gdy wyrzwał zza potężnych pleców nadaśanego Heatha McKenziego, dostrzegł mały, ale jaskrawy błysk czerwieni. Była tam - schowana za sztuczną palmą - dziewczyna w płomienistej sukience i kolczykach błyszczących jak iskry. Jej ciemne oczy, głębokie jak czarna woda, w której tonęła w jego wyobraźni, spojrzały na niego. To ona wołała o pomoc.

Nie musiał się zastanawiać, by ruszyć w jej stronę. Zresztą pewnie nie zdołałby się powstrzymać, choćby nawet chciał.

Był pewien, że nigdy wcześniej nie widział tej dziewczyny; jej twarz była obca.

Jej ciemne oczy w kształcie migdałów były spokojne, ale to w nich kumulował się jednocześnie krzyk pełny rozpacz. To one go przyciągały. Nie mógł się im oprzeć, tak jak nie mógł nakazać swojemu sercu, żeby przestało bić. Ona go potrzebowała.

Sheba patrzyła z niedowierzaniem, jak Gabe Christensen idzie prosto do niej. Zobaczyła w jego myślach swoją twarz i zrozumiała, że osobą, której szukał, była... ona.

Pozwoliła sobie na to krótkie rozproszenie uwagi - wiedząc, że Cooper jest do jej dyspozycji, i że kilka minut zwłoki i tak go nie ocali. Co za ironia losu. Więc Gabe chciał, żeby Sheba go zniszczyła? Proszę bardzo, spełni jego życzenie. Jego cierpienie będzie tym słodsze, że sam je sobie wybrał. Wyprostowała się w swojej piekielnej sukni, która pieściła jej krągłości.

Wiedziała, co czuje każdy samiec ludzkiego rodzaju, patrząc na jej strój.

Ale ten denerwujący chłopak gapił się w jej oczy.

Nikt nie powinien tego robić. Demony są niebezpieczne. Ludzie, którzy nie odwrócili w porę wzroku, mogli utknąć jak w pułapce. A wtedy byli skazani na tęsknotę za nią, na palące pożądanie...

Tłumiąc uśmiech, Sheba spojrzała głęboko w jego oczy koloru nieba. Idiotycznie ludzkie.

Gabe zatrzymał się kilka kroków od dziewczyny, na tyle blisko, żeby nie musieć przekrzykiwać głośnej muzyki. Wpatrywał się w nią intensywnie. Pewnie pomyśli, że jest niewychowany albo że mu odbiło. Ale ona odwzajemniła jego spojrzenie. Otworzył usta, żeby się przedstawić, ale nagle na opanowanej twarzy dziewczyny odmalował się szok. Szok? Czy przerażenie? Jej blade wargi rozchyliły się i usłyszał, że wymknął się z nich zduszony okrzyk. Jej wyprostowane, sztywne ciało nagle zmiękło i zaczęło osuwać się na podłogę.

Gabe skoczył do niej i złapał ją w ramiona, zanim upadła.

Pod Shebą ugięły się kolana, kiedy jej ogień zgasi. Wewnętrzny płomień zniknął, wyspany, zduszony jak ognik świecy w próżni.

W sali nie było już tak zimno i nie czuła żadnego zapachu prócz potu, wody kolońskiej i stęchłego powietrza przepuszczonego przez klimatyzator. Nie czuła już cudownego smaku nieszczęścia, nad którym tak się napracowała. Nie czuła smaku, niczego prócz własnych spierzchniętych ust.

Czuła za to silne ramiona Gabe'a Christensena.

Sukienka dziewczyny była miękka i ciepła. Może właśnie w tym problem, pomyślał Gabe, przyciągając ją do siebie. Może duchota w zatłoczonej sali i ta ciężka sukienka to było za wiele. Niespokojnie odgarnął jedwabiste włosy z jej twarzy. Ale jej czoło było chłodne, a skóra nie była lepka od potu. Przez cały czas patrzyła na niego.

- Wszystko w porządku? Możesz stać? Przepraszam, nie wiem, jak masz na imię.

- Nic mi nie jest - wydusiła dziewczyna niskim, chrapliwym głosem, pełnym zdumienia. - Tak... mogę stać.

Wyprostowała się, ale Gabe jej nie puścił. Nie miał ochoty. A ona się nie odsuwała. Jej drobne dłonie powędrowały w górę i spoczęły na jego ramionach, jakby tańczyli ze sobą.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Gabe. Gabriel Michael Christensen - przedstawił się wyczerpująco, szczerząc się w uśmiechu. - A ty?

- Sheba. - Zawahała się. - Sheba... Smith.

- W takim razie może zatańczysz, Shebo Smith? Jeśli dobrze się czujesz.

- Tak - szepnęła, jakby do siebie. - Tak, czemu nie. Wciąż nie odrywała od niego oczu.

Zaczęli kołysać się w rytm kolejnej koszmarniej piosenki. Ale tym razem ta niezdolna muzyka nie przeszkadzała już Gabe'owi.

Nagle skojarzył. Nowa dziewczyna. Niesamowita sukienka. Sheba. To była partnerka Logana, ta, którą zaprosił, i która potem nie życzyła sobie jego towarzystwa. Gabe zaniepokoił się, czy to w porządku odbijać dziewczynę przyjacielowi. Ale po sekundzie przestał się martwić. Logan był szczęśliwy z Libby. Nie było sensu przeciwstawiać się przeznaczeniu. Ponadto Sheba i Logan nie byli sobie pisani.

Gabe zawsze miał wycucie w tych sprawach - dostrzegał osobowości, które do siebie pasowały, mogły zgodnie funkcjonować w parze. Przez to swatanie był obiektem niezliczonych żartów, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Lubił patrzeć na szczęśliwych ludzi. A ta poważna dziewczyna z oczami jak czarne jeziora - Sheba - nie pasowała do Logana. To rozpaczliwe wołanie o pomoc ucichło, kiedy jej dotknął. On również czuł się o wiele lepiej, trzymając ją w ramionach, nie słyszał już tego dziwnego błagania. Była bezpieczna w jego objęciach, nie tonęła już, nie była zagubiona. Gabe bał się ją wypuścić. Nie chciał, żeby ten krzyk rozpacz powrócił.

Z początku wydawało mu się dziwne, że znalazł się we właściwym miejscu i że jest jedynym człowiekiem, który powinien tu być. Nie chodziło o to, że nigdy przedtem nie miał dziewczyny - podobał się im i zaliczył niejednego przelotny związek. Ale zawsze w pobliżu był jakiś chłopak, który bardziej pasował do dziewczyny, z którą Gabe się spotykał. On mógł liczyć tylko na przyjaźń. I na tym poprzestawał.

Czy to było przeznaczenie? Opiekowanie się tą smukłą dziewczyną, trzymanie jej w ramionach? Gabe bardzo się starał zachowywać normalnie.

- Jesteś nowa w Reed River, prawda? - zapytał ją.

- Chodzę tu dopiero od paru tygodni - przyznała.

- Zdaje się, że nie mieliśmy razem żadnych zajęć.

- Nie, pamiętałabym, gdybym kiedykolwiek znalazła się blisko ciebie. Dziwnie to ujęła. Patrzyła w jego oczy, jej dłonie delikatnie ścisnęły jego ramiona. Odruchowo przyciągnął ją odrobinę bliżej.

- Dobrze się dzisiaj bawisz? - zapytał. Westchnęła głęboko.

- Teraz już tak - odparła z dziwnym żalem. - Bardzo dobrze.

Dała się złapać w pułapkę! Jak idiotka, jak świeżo narodzony osesek, jak nowicjuszka, żółtodziób!

Oparła się o Gabe'a, nie mogąc się powstrzymać. Nie była w stanie się powstrzymać.

Patrzyła w jego niebiańskie oczy i czuła, że ma ochotę westchnąć. *Żalosne.*

Jak mogła nie zauważyć znaków ostrzegawczych?

Tego, jak czysta dobroć otaczała go niczym tarcza. Jak jej sugestie odbijały się od niego bezsilnie. Jedynymi ludźmi, bezpiecznymi przed jej niszczycielskimi siłami, byli jego przyjaciele, których dotykał i z którymi rozmawiał.

Już same jego oczy powinny ją ostrzec!

Celeste była mądrzejsza od Sheby. A przynajmniej miała instynkt, który trzymał ją z dala od tego niebezpiecznego chłopaka. Kiedy uwolniła się już od jego przeszywającego spojrzenia, zachowywała bezpieczny dystans. Dlaczego ona, Sheba, tego nie dostrzegła? Dlaczego Gabe w ogóle wybrał Celeste? Oczywiście, że go do niej ciągnęło! Teraz wszystko było jasne.

Sheba kołysała się w rytmie muzyki dudniącej w sali; czuła się bezpieczna w jego objęciach, czuła się chroniona. Szczęście zakradało się do jej pustego serca.

Nie - tylko nie to!

Jeśli już była szczęśliwa, to za chwilę zdarzy się coś straszniejszego. Miłość!

W końcu tkwiła w objęciach anioła.

Nieprawdziwego anioła. Gabe nigdy nie miał skrzydeł - nie był jednym z tych cikliwych ptasich mózdków, którzy przehandlowali pióra i wieczność za śmiertelną miłość. Ale któreś z jego rodziców musiało zrobić coś takiego.

Gabe był półaniołem - choć nie miał pojęcia o własnej naturze. Gdyby o tym wiedział, Sheba zobaczyłaby to w jego myślach i umknęła przed tym boskim koszmarem. Teraz prawda była dla niej aż nazbyt oczywista - z tak bliska czuła zapach asfodeli, który wydzielala jego skóra.

I oczywiście odziedziczył oczy po swoim anielskim rodzicu. Te niebiańskie oczy, które powinny ją ostrzec, gdyby Sheba nie była tak pochłonięta swoimi podłymi intrygami.

Istniał ważny powód, dla którego nawet doświadczone diablice jak Jezebel uważały na anioły.

Jeśli dla człowieka niebezpieczne było patrzenie w oczy demona, to demon nie powinien dać się uwięzić w spojrzeniu anioła. Jeśli to zrobił, gasł w nim piekielny ogień i był uwięziony, dopóki go nie zbawiono. Bo właśnie tym zajmowały się anioły. Zbawianiem.

Sheba była zniewolona.

Prawdziwy anioł od razu wiedziałby, czym jest Sheba, i wygnałby ją, gdyby był dość silny, albo trzymałby się z daleka. Ale Sheba potrafiła sobie wyobrazić, jakie odczucia musiała budzić jej obecność w kimś takim jak Gabe, obdarzonym instynktem zbawiania. Nie

wiedział z kim ma do czynienia, a mimo wszystko czuł jej potępioną duszę, której wołanie było dla niego jak syreni śpiew.

Przepełniona szczęściem patrzyła bezradnie na piękną twarz Gabe'a i zastanawiała się, jak długo potrwa ta tortura.

Z pewnością za długo, by uratować jej doskonały szkolny bal.

Pozbawiona ognia piekielnego Sheba nie miała wpływu na śmiertelników. Ale wciąż widziała, co się dzieje - i obserwowała, bezradna i obrzydliwie rozanielona, jak wszystko się rozsypuje.

Cooper Silverdale zachłysnął się z przerażenia na widok pistoletu połyskującego w jego drżącej dłoni. Co mu odbiło? Wepchnął broń z powrotem za pasek i pobiegł do łazienki, gdzie gwałtownie zwymiotował poncz do umywalki.

Problemy żołądkowe Coopera przerwały bójkę Matta i Dereka, która właśnie nabierała tempa w męskiej toalecie. Dwaj przyjaciele spojrzeli na siebie spod spuchniętych powiek. Dlaczego się biją? Przez dziewczynę, której żaden z nich nawet nie lubił? Co za głupota! Nagle zaczęli się przeproszać, przerywając sobie nawzajem.

Z uśmiechami na rozbitych wargach, obejmując się, wrócili do sali balowej.

David Alvarado zrezygnował ze swoich planów, by napaść na Heatha po balu, bo Evie przebaczyła mu, że zniknął z Celeste. Teraz, dotykając jej miękkiego i ciepłego policzka, kołysał się z nią w rytm powolnej muzyki. Nie miał najmniejszego zamiaru jej zranić. Za nic w świecie.

I nie tylko David to czuł. Jakby ta nowa piosenka była magiczna. Wszyscy na sali odruchowo zaczęli szukać tych, z którymi powinni tu przyjść, żeby koszmar zmienić w szczęśliwy wieczór.

Trener Lauder, samotny i przygnębiony, spojrział znad nieapetycznych ciastek prosto w oczy wicedyrektorki Finkle. Ona też wyglądała na samotną. Podszedł do niej, uśmiechając się niepewnie.

Kręcąc głową i mrugając, jakby się właśnie obudziła z koszmarne snu, Melissa Harris wyrwała się Tysonowi i pobiegła do wyjścia. Zamierzała złapać jak najszybciej taksówkę...

Atmosfera na balu w szkole Reed River wróciła do normy. Gdyby Sheba była sobą, dalej by knuła. Ale teraz rozpacz, gniew i nienawiść zniknęły. Umysły ludzi zbyt długo były pod jej władaniem. Wszyscy odwrócili się ku szczęściu i kurczowo uchwycili się miłości.

Nawet Celeste miała dość tej jatki. Została w ramionach Roba, drżąc na wspomnienie tych doskonałych błękitnych oczu.

Sheba i Gabe przytulali się do siebie. Nie zauważyli nawet zmiany piosenki.

Cały ten przepyszny ból, całe to nieszczęście - wszystko przepadło! Teraz na pewno wróci do gimnazjum.

Gdzie tu jest niesprawiedliwość?!

A Jezebel! Czy to zaplanowała? Czy próbowała odwrócić uwagę Sheby od faktu, że na balu jest niebezpieczny półanioł? A może byłaby zawiedziona? Czy naprawdę przyszła tu, by zagrzać ją do walki? Teraz Sheba nie mogła się tego dowiedzieć. Teraz, kiedy zgasł jej ogień, nie zobaczyłaby Jezebel - śmiejącej się czy też zasmuconej.

Zgorszona Sheba westchnęła ze szczęścia. Gabe był taki dobry. A w jego ramionach i ona czuła się dobrze. Czuła się cudownie.

Wiedziała, że musi się uwolnić, zanim szczęście i miłość zniszczą ją całkowicie! Czy już na zawsze utknęła z tym niebiańskim dzieciakiem jakiegoś pierzaka?

Gabe uśmiechnął się do niej i znów westchnęła.

Wiedziała, co czuje w tej chwili Gabe. Anioły były najszczęśliwsze, kiedy uszczęśliwiała kogoś innego, a im większe wrażenie wywoływały, tym bardziej były zachwycone. Gabe musiał być w siódmym niebie - fruwał, jakby naprawdę miał skrzydła. Nigdy jej nie puści.

Demonica miała tylko jedną szansę na powrót do swojego znenawidzonego, nieszczęśliwego i płonącego domu.

Gabe musiałby ją tam odesłać.

Myśląc o swojej szansie, Sheba poczuła się o wiele gorzej, ogarnęła ją cudowna fala dawnego smutku. Gabe objął ją mocniej, czując, że mu się wymyka, i smutek utonął w zadowoleniu.

Ale dziewczyna nie traciła nadziei.

Spojrzała w jego przepełnione miłością, anielskie oczy i uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

Jesteś wcielonym złem, pomyślała. Masz prawdziwy talent do wywoływania nieszczęść. Znasz cierpienie na wylot. Możesz się wydostać z tej pułapki i wszystko będzie jak dawniej.

Przecież potrafiła wywołać tyle bólu i chaosu - ileż to roboty, sprowokować tego anielskiego chłopaka, żeby posłał ją do diabła?

MEG CABOT

CÓRKA LIKWIDATORA

Mary

Muzyka gra w rytm mojego serca. Czuję, jak wibruje w klatce piersiowej. Trudno dostrzec cokolwiek w sali pełnej wijących się ciał; sprawę dodatkowo utrudniają sztuczny dym, światła i lasery błyskające pod przemysłowym stropem klubu.

Ale ja wiem, że on tu jest. Czuję go.

I dlatego jestem wdzięczna za te postaci, które kłębią się wokół mnie. Ukrywam się przed jego wzrokiem i resztą jego zmysłów. Inaczej już dawno by mnie wywęszył. Oni potrafią wyczuć strach z dużych odległości.

Nie żebym się bała.

No, może trochę.

Ale mam swoją kuszę Excalibur Vixen, model 285 FPS, naciągniętą i załadowaną bełtem Easton XX75 (grot, pierwotnie złoty, został wymieniony na ręcznie rzeźbiony z jesionu).

Mogę zwolnić spust szybkim ruchem palca.

On nawet się nie zorientuje, co go trafiło.

Miejmy nadzieję, że ona też nie.

Najważniejsze to znaleźć dogodną pozycję do strzału, - co w tych warunkach nie będzie łatwe. Mam tylko jedną szansę. Albo ja trafię w cel... albo on mnie dopadnie.

- Zawsze celuj w klatkę piersiową - mówiła mi mama. - To największa część ciała i najmniejsze ryzyko, że chybisz. Celując w nogę czy rękę, ryzykujesz, że tylko ich zranisz... A przecież nie o to chodzi, prawda? Musimy ich wyeliminować.

I właśnie po to tu dziś przyszedłam. Żeby go zabić.

Lila mnie znienawidzi, jeśli się domyśli, co zamierzam zrobić... I że to moja sprawa. Ale czego się spodziewa? Nie może oczekiwać, że będę siedziała beczynn timer i patrzyła, jak marnuje swoje życie.

- Poznałam jednego chłopaka - zachwycała się dzisiaj w przerwie na lunch, kiedy stałyśmy w kolejce do baru sałatkowego. - Boże, Mary, nie masz pojęcia, jaki jest śliczny. Ma na imię Sebastian i najbardziej niebieskie oczy na świecie.

Lila pod powłoką pustej laluni - czego wiele osób nie rozumie - skrywa serce naprawdę lojalnej przyjaciółki. W odróżnieniu od reszty dziewczyn z Saint Eligius, nigdy nie patrzyła na mnie krzywo. I tylko dlatego że mój ojciec nie jest dyrektorem czy chirurgiem plastycznym.

Wprawdzie puszczałam mimo uszu trzy czwarte z tego, co mówi. Bo zwykle są to rzeczy, które mnie po prostu nie interesują. Na przykład ile zapłaciła za torebkę Prady na posezonowej wyprzedaży u Saksa. Czy jaki tatuaż chce sobie zrobić na tyłku, kiedy pojedzie następnym ranem do Kankun. Ale to zwróciło moją uwagę.

- A co z Tedem? - zapytałam.

Przez ostatni rok, od kiedy chłopak wreszcie zebrał się na odwagę i zaprosił ją na randkę, Lila gadała wyłącznie o nim. Oczywiście, nie licząc torebek Prady i tatuży.

- Och, to już przeszłość - odparła, sięgając po szczyptę do sałaty. - Idziemy dzisiaj z Sebastianem potańczyć. Do Swig. Sebastian mówi, że nas wprowadzi. Jest na liście VIP - ów.

Nie chodziło o to, że ten facet, kimkolwiek był, twierdził, że może wejść do najnowszego i najbardziej ekskluzywnego klubu na Manhattanie. Nie dlatego włosy zjeżyły mi się na karku. Nie zrozumcie mnie źle - Lila jest piękna. Jeśli już ktoś zasługiwał na zaproszenie od nieznajomego, to właśnie ona.

Ale trafiła mnie ta historia z Tedem. Bo Lila go uwielbia. Są idealną licealną parą. Ona jest boska, a on to wschodząca gwiazda boiska... Takie związki kojarzy samo niebo. I dlatego to, co mi mówiła, było bez sensu.

- Jak możesz mówić, że z wami koniec? - zapytałam gniewnie. - Chodźcie ze sobą od zawsze... - A przynajmniej od kiedy zjawiłam się we wrześniu w Prywatnym Liceum Saint Eligius, gdzie Lila była pierwszą (i jak na razie jedyną) dziewczyną z mojej klasy, która się do mnie i odzywała. - A w ten weekend jest bal maturalny.

- Wiem - odparła Lila z błogim westchnieniem. - Idę z Sebastianem.

- Z Seb... Wtedy do mnie dotarło.

- Spójrz na mnie - szepnęłam.

Popatrzyła w dół (jestem niska, ale za to szybka, jak mawiała mama) i natychmiast to dostrzegłam. To, co powinnam zauważyć od pierwszej chwili: te lekko szkliste oczy, półprzysłone spojrzenie, lekko uchylone wargi - wszystkie objawy, które tak dobrze poznałam przez lata.

Nie mogłam w to uwierzyć. Dobrał się do mojej najlepszej przyjaciółki. Do mojej jedynej przyjaciółki.

No i co ja miałam zrobić? Stać beczynną i pozwolić mu ją zabrać? Nie tym razem.

Można by pomyśleć, że widok dziewczyny z kuszą na parkiecie najmodniejszego klubu na Manhattanie powinien wywołać jakieś poruszenie. Ale ostatecznie to Manhattan. Poza tym wszyscy za dobrze się bawią, żeby mnie zauważyć. Nawet... O Boże. To on. Nie wierzę, że wreszcie go widzę... A przynajmniej jego syna.

Jest przystojniejszy, niż sobie wyobrażałam. Złotowłosy i niebieskooki, z idealnymi ustami gwiazdora filmowego i ramionami szerokimi na kilometr. I jest wysoki - chociaż w porównaniu ze mną większość facetów jest wysoka.

Tak czy inaczej, jeśli jest choć trochę podobny do ojca, to już rozumiem. Wreszcie rozumiem. Chyba. Bo ciągle nie...

O Boże. Wyczuł moje spojrzenie. Odwraca się w moją stronę... Teraz albo nigdy. Unoszę kuszę:

- Żegnaj, Sebastianie Drake, Żegnaj na zawsze.

Ale kiedy mam już w celowniku optycznym biały trójkąt jego koszuli, zdarza się coś niewiarygodnego: dokładnie w miejscu, w które celuję, zakwita jaskrawa plama czerwieni. Tylko że ja nie pociągnęłam za spust.

I tacy jak on nie krwawią.

- Co to? - pyta Lila, która z nim tańczy.

- Do diabła! Ktoś mnie... - Widzę, jak Sebastian przenosi osłupiałe spojrzenie ze szkarłatnej plamy na twarz Lili - ...ustrzelił. To prawda. Ktoś go trafił. Tylko że to nie byłam ja. A najdziwniejsze jest to, że on krwawi. Niemożliwe.

Chowam się za najbliższy filar, przyciskając kuszę do piersi. Muszę zmienić taktykę, zaplanować swój kolejny ruch. Bo to, co się dzieje, nie jest prawdziwe. Nie mogłam się pomylić. Dokładnie wszystko sprawdziłam. Wszystko się zgadzało: to, że był na Manhattanie... że uczepił się mojej najbliższej przyjaciółki, jakby nie miał już kogo... jej półprzyciemne oczy... wszystko.

Wszystko, z wyjątkiem tego, co się właśnie stało.

A ja stałam i patrzyłam. Miałam idealną pozycję do strzału i zawałam.

A może jednak nie? Jeśli krwawi, to znaczy, że jest człowiekiem. Prawda?

Tylko że jeśli jest człowiekiem i właśnie ktoś do niego strzelił, to jakim cudem jeszcze stoi?

O Boże.

Najgorsze jest to, że mnie zobaczył. Jestem niemal pewna, że czułam, jak prześlizguje się po mnie jego gadzie spojrzenie. Co robi teraz? Zacznie mnie ścigać? Jeśli tak, to wyłącznie moja wina. Mama mówiła, żeby nigdy tego nie robić. Zawsze mi powtarzała, że łowca nigdy nie wychodzi na polowanie sam. Dlaczego jej nie posłuchałam? Co ja sobie myślałam? Oczywiście, właśnie w tym problem. W ogóle nie myślałam. Pozwoliłam, żeby emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Nie mogłam pozwolić, żeby to, co zdarzyło się mamie, spotkało też Lile.

I teraz za to zapłacę. Tak jak mama.

Kucając za filarem z sercem ściśniętym bólem, staram się nie myśleć, co zrobi tata. Kiedy nowojorska policja zadzwoni do drzwi o czwartej nad ranem i poprosi, żeby pojechał z nimi do kostnicy zidentyfikować ciało jedynej córki. W moim gardle będzie ziała wielka rana i kto wie, jakich jeszcze okropieństw dozna moje biedna ciało. A wszystko przez to, że nie zostałam dzisiaj w domu, żeby pisać referat dla pani Gregory z historii USA (temat: „Ruch antyalkoholowy w Ameryce przed wojną secesyjną”. Dwa tysiące słów, z podwójną interlinią, na poniedziałek), tak jak planowałam. Muzyka się zmienia. Słyszę pisk Liii:

- Dokąd idziesz?

O Boże. Idzie tu.

I chce, żebym wiedziała, że idzie. Teraz się mną bawi... tak jak jego ojciec bawił się mamą, zanim... hm, jej to zrobił.

Nagle słyszę dziwny dźwięk - coś w rodzaju pffff - a po nim kolejne. Do diabła! Co się dzieje?

- Sebastianie - mówi osłupiała Liii. - Ktoś strzela do ciebie keczupem! *Co? Czy ona powiedziała... keczupem?*

I w tej chwili, gdy ostrożnie odwracam się, by zerknąć za filar i przekonać się, o czym mówi Lila, widzę go. Nie Sebastiana. Strzelca. I ledwie mogę uwierzyć własnym oczom. A ten co tutaj robi?

Adam

To wszystko wina Teda. To on powiedział, że powinniśmy śledzić ich, kiedy razem wyjdą.

- Dlaczego?

- Bo ten koleś jest zły - powiedział Ted.

Tylko skąd to wiedział? Drake zjawił się pod domem Liii na Park Avenue zaledwie wczoraj wieczorem. Ted nie zamienił z nim ani słowa. Skąd go znał? Ale kiedy mu to wytknąłem, Ted powiedział:

- Stary, nie widziałeś go?

Muszę przyznać, że Ted ma trochę racji. Znaczący, koleś wygląda, jakby wyszedł prosto z katalogu Abercrombie & Fitch. Nie można ufać facetowi, który jest... tak doskonały.

Mimo to jakoś mi nie pasi śledzenie ludzi. To nie jest cool. Ale Ted chciał się upewnić, że Lila nie wpakuje się w kłopoty. Bo to jego laska - a właściwie ekslaska, dzięki

temu Drake'owi.

I zgodzę się, że nigdy nie była najbystrzejsza.

Ale żeby śledzić ją, kiedy jest na randce z facetem, który ją wyrwał? To wydawało mi się jeszcze większą stratą czasu niż pisanie referatu dla pani Gregory na historię USA. Dwa tysiące słów, z podwójną interlinią, na poniedziałek.

I wtedy Ted z tym wyskoczył, i zasugerował, żebym zabrał beretę, kaliber 9 milimetrów.

Rzecz w tym, że chociaż to pistolet na wodę, to tak realistycznie wyglądające zabawki są nielegalne na Manhattanie.

Więc tak naprawdę nie miałem wielu okazji, żeby jej użyć. O czym Ted wiedział.

I pewnie dlatego nie przestawał nawijać, jaka to będzie beka, jeśli zlejemy tego gościa wodą.

Bo wiedział, że nie będę mógł się oprzeć.

Keczup to był mój pomysł.

Przyznaję, dosyć szczeniacki.

Ale co innego mam robić w piątek wieczorem? To bije na głowę pisanie referatu z historii.

Tak czy inaczej, zgodziłem się. Pod warunkiem że to ja będę strzelał. Co nie przeszkadzało Tedowi.

- Po prostu muszę wiedzieć, stary - powiedział, kręcąc głową.

- Co wiedzieć?

- Co takiego ma ten Sebastian - wyjaśnił. - Czego nie mam ja. Mógłbym mu powiedzieć. No bo to dość oczywiste dla każdego, kto ma oczy. Wprawdzie Ted wygląda całkiem przyzwoicie, nie przeczę, ale modelem nie jest. Ale nie powiedziałem mu tego. Bo T - Man naprawdę cierpiął. I poniekąd nawet rozumiałem, dlaczego. Lila to jedna z tych dziewczyn... Wicie. Duże brązowe oczy i duże, hm, inne części ciała.

Ale nie będę się w to zagłębiał ze względu na moją siostrę Veronikę, która uważa, że powinienem przestać myśleć o kobietach jako o obiektach seksualnych. I zacząć traktować je jako przyszłe partnerki w nieuniknionej walce o przetrwanie w postapokaliptycznej Ameryce. Veronika pisze pracę maturalną na ten temat. Uważa, że apokalipsa nastąpi w ciągu najbliższych dziesięciu lat. A wszystko przez fanatyzm religijny i brak dbałości o środowisko naturalne. Podobne zjawiska wystąpiły w momencie upadku starożytnego Rzymu. Dotknęły także inne społeczeństwa, które już nie istnieją.

Więc takim to sposobem ja i T - Man wylądowaliśmy w Swig - tak się sprytnie składa,

że wujek Teda, Vinie, jest ich dostawcą alkoholu i dzięki temu nie musieliśmy przechodzić przez wykrywacz metalu jak wszyscy inni. A następnie ostrzelaliśmy keczupem Sebastiana Drake'a z mojej beretty. Wiem, że powinienem siedzieć w domu. I pisać ten referat dla pani Gregory, ale człowiek musi się czasem zabawić, nie?

I przyznam, że fajnie było patrzeć, jak czerwone plamy rozlewają się na jego kłacie. T - Man śmiał się do rozpuku, chyba po raz pierwszy, od kiedy Lila przysłała mu w przerwie na lunch tego SMS - a. Zawiadomiła go, że na bal maturalny idzie z Drakiem.

Wszystko szło smętnie, dopóki nie zobaczyłem, że Drake gapi się na filar. Co było kompletnie niezrozumiałe. Bo powinien raczej patrzeć w stronę stolika dla VIP - ów (dzięki, wujku Vinie), z którego nadlatywał keczup.

I wtedy zauważyłem, że kto się za nim chowa. Za filarem, znaczy. I to nie byle kto, ale Mary, ta nowa dziewczyna która chodzi ze mną na historię i nigdy nie gada z nikim oprócz Lili. I że trzyma w rękach kuszę. Kuszę.

Jakim cudem, do diabła, wniosła broń przez wykrywacz metalu! Przecież nie mogła znać wujka Vinniego.

Ale nieważne. Drake patrzy na filar za którym chowa się Mary, jakby widział na wylot. Coś w jego wzroku sprawia, że... Wiem tylko tyle, że nie chce żeby to robił.

- Kretyn - mruczę. Głównie pod adresem Drake'a. Ale też trochę i pod swoim. A potem wstaje i strzelam jeszcze raz.

- O kurde - wyje radośnie Ted - Widziałeś to? Prosto w dupę! To ściąga uwagę Drake'a. Odwraca się.

Nagle rozumiem, o co chodzi, kiedy ktoś mówi o płonących oczach. Wiecie, jak w książkach Stephena Kinga! Nigdy me myślałem, że zobaczę takie oczy. Ale właśnie takie oczy ma Drake. I z całą pewnością płoną.

No chodź, wyzywam go w myślach. *O tak, chodź tutaj, Drake. Chcesz się bić? Mam w zanadrzu coś więcej niż keczup, śmieciu.*

Co nie jest do końca prawdą. Ale ostatecznie to nie ma znaczenia, bo Drake do nas nie podchodzi. Znika.

Nie mówię o tym, że się odwraca i wychodzi z klubu.

Mam na myśli to, że w jednej chwili tam stoi, a w następnej... już go nie ma. Sztuczny dym jakby zagęszcza się na sekundę - a kiedy się przerzedza, Lila tańczy sama.

- Trzymaj - mówię, wciskając berettę w dłoń Teda.

- Co jest, do... - Ted rozgląda się po parkiecie. - Gdzie on się podział? Ale mnie już nie ma.

- Bierz Lilę - krzyczę do niego przez ramię. - Spotkamy się przed wejściem. Ted wyrzuca z siebie kilka całkiem soczystych przekleństw, ale nikt nie reaguje. Muzyka jest zbyt głośna i wszyscy zbyt dobrze się bawią. No bo jeśli nie zauważyli, że strzelamy do faceta keczupem z pistoletu na wodę - czy że kilka sekund później ten facet rozpływa się w powietrzu - to trudno, żeby zauważyli, jak Ted rzuca pod adresem gościa kilka słów na K. Docieram do filaru i patrzę w dół.

Siedzi tam i dyszy, jakby właśnie przebiegła maraton czy coś. Przyciska kuszę do piersi, jakby tuliła pluszową zabawkę. Jej twarz jest biała jak kreda.

- Hej - zwracam się do niej łagodnie. Nie chcę jej wystraszyć.

Ale mi się nie udaje. Omal nie wyskakuje ze skóry na dźwięk mojego głosu i spogląda na mnie wielkimi, wystraszonymi oczami.

- Hej, spokojnie - mówię. - Jego już nie ma.

- Nie ma? - Jej oczy, zielone jak wielki trawnik w Central Parku w maju, spoglądają na mnie. I trudno w nich nie zauważyć przerażenia. - Jak... Co?

- Po prostu zniknął - mówię, wzruszając ramionami. - Zobaczyłem, że na ciebie patrzy. Więc do niego strzeliłem.

- Co zrobiłeś?

Widzę, że przerażenie zniknęło równie szybko, jak Drake. Ale zastąpił je gniew. Mary jest wściekła.

- Jezu - mówi. - Odbiło ci? Czy ty w ogóle wiesz, kim jest ten facet?

- Tak - przytakuje. Prawda jest taka, że Mary jest całkiem ładna, kiedy się złości. Nie wiem, jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć. Cóż, pewnie nigdy nie widziałem, jak się złości. Lekcje pani Gregory nie były ekscytujące. - To nowy facet Lili. I totalny lamer. Widziałaś jego spodnie? Mary tylko kręci głową.

- Co ty tu robisz? - pyta lekko osłupiałym tonem.

- Wygląda na to, że to samo co ty - mówię, zerkając na kuszę. - Tyle że ty masz o wiele większą siłę rażenia. Skąd wzięłaś coś takiego? Czy to w ogóle legalne?

- I kto to mówi. - Ma na myśli berettę. Unoszę ręce, jakbym się poddawał.

- Sorry, to był tylko keczup. Ale to coś na końcu z pewnością nie jest przysawką. Mogłabyś zrobić sporą krzywdę...

- I takie jest założenie - odpowiada Mary.

W jej głosie jest tyle wrogości (mama ciągle zachęca nas, żebyśmy używali opisowego języka dla wyrażania myśli), że już wiem. Po prostu wiem. Drake jest jej byłym.

Muszę przyznać, że robi mi się trochę dziwnie, kiedy to sobie myślę. Lubię Mary. To

oczywiste, że jest bystra - zawsze ma odrobioną pracę domową, kiedy pani Gregory wywołuje ją do odpowiedzi - a fakt, że zadaje się z Lila, która delikatnie mówiąc, nie jest geniuszem, dowodzi, że nie jest snobką. Większość dziewczyn z Saint Eligius unika Lili... Od czasu, kiedy po szkole rozeszły się zdjęcia jej i Teda, którzy figlowali w łazience na jednej z imprez w mieście.

Nie żeby w tym, co robili, było cokolwiek złego, jeśli chcecie znać moje zdanie. Mimo to jestem trochę rozczarowany. Sądziłem, że taka laska jak Mary powinna mieć trochę lepszy gust, jeśli chodzi o facetów.

Co tylko potwierdza słuszność stwierdzenia Veroniki na mój temat: to, czego nie wiem o kobietach, mogłoby wypełnić East River.

Mary

Nie wierzę. Stoję w uliczce koło Swig i gadam z Adamem Blumem, który chodzi ze mną na historię USA. Nie wspominając już o Tedzie Hancocku, jego przyjacielu i byłym Lili.

W tym momencie dziewczyna uparcie go ignoruje.

Wyjęłam belt z jesionowym grotem z kuszy i schowałam do futerału. Wiedziałam, że dziś już nikogo nie zlikwiduję.

Choć być może powinnam być wdzięczna, że to ja nie zostałam zlikwidowana. Gdyby nie Adam, nie stałabym tu teraz, próbując wytłumaczyć coś, co jest... właściwie niewytłumaczalne.

- Mary, serio. - Adam patrzy na mnie poważnymi brązowymi oczami. Zabawne, że do tej pory nie zauważyłam, jaki jest przystojny. Och, oczywiście nie jest Sebastianem Drakiem. Włosy Adama są równie ciemne jak moje, a jego tęczęwki brązowe jak syrop, nie błękitne jak morze.

Ale prezentuje się całkiem nieźle - trenuje pływanie i dwa lata z rzędu doprowadził Saint Eligius do finałów w stylu motylkowym - ma metr osiemdziesiąt wzrostu (muszę mocno zadzierać głowę, żeby przy moim metrze pięćdziesiąt w kapeluszu móc patrzeć mu w oczy). Nie jest przeciętniakiem. Wszystkie pierwszoklasistki mdleją, kiedy mija je na korytarzu (choć on tego chyba nie zauważa). Ale teraz patrzy na mnie bardzo uważnie.

- O co tu chodzi? - Chce wiedzieć. Przygląda mi się podejrzliwie. - Wiem, dlaczego Ted nie cierpi Drake'a. Facet ukradł mu pannę. Ale co ty masz do niego?

- To osobista sprawa - odpowiadam. Boże, to takie nieprofesjonalne. Mama mnie zabije, jak się dowie.

Jeśli się kiedykolwiek dowie.

Z drugiej strony... Adam chyba naprawdę uratował mi życie. Nawet jeśli o tym nie wie. Drake starłby mnie z powierzchni ziemi na oczach wszystkich, nawet się nie zastanawiając. Chyba że najpierw by się ze mną zabawił. A znając jego ojca, zapewne właśnie tak by zrobił. Dużo zawdzięczam Adamowi. Ale nie zamierzam pozwolić, żeby się o tym dowiedział.

- Jak tam weszłaś? - pyta Adam. - Tylko mi nie mów, że przeszłaś z tym czymś przez wykrywacz metalu.

- Oczywiście, że nie - mówię. Serio, chłopcy czasem są tacy głupi. - Weszłam przez świetlik.

- Na dachu?

- Zwykle tam umieszcza się świetliki.

- Jesteś taki niedojrzały - wyrzuca Lila Tedowi. Jej głos jest miękki i seksowny, nawet jeśli jej słowa nie są. Ale cum nic nie może na to poradzić. Po prostu jest opętana przez Drake'a. - Co chciałaś osiągnąć, na litość boską?

- Znasz tego gościa jeden dzień. - Ted stoi z rękami wbitymi głęboko w kieszenie. Wygląda na zawstydzonego, ale jednocześnie zbuntowanego. - Przecież mogłem cię wprowadzić do Swig, jeśli chciałaś tutaj przyjść. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Przecież wiesz o moim wujku.

- Nie chodzi o to, do jakich klubów może mnie wprowadzić Sebastian - mówi Lila.

- Chodzi o niego. On jest... doskonały. Muszę przełknąć ślinę, bo mdłości podchodzą mi do gardła.

- Nikt nie jest doskonały, Li - zaprzecza Ted, zanim ja mam okazję się odezwać.

- Sebastian jest... - zapala się Lila; jej oczy połyskują w blasku pojedynczej żarówki, oświetlającej boczne wyjście klubu. - Jest taki piękny, i inteligentny. I światowy. Dobry... Dość. Nie zniosę tego więcej.

- Zamknij się - warczę. - Ted ma rację. Nie znasz tego gościa. Bo gdybyś znała, nigdy nie nazwałabyś go dobrym.

- Ale on jest dobry - upiera się Lila; w jej oczach pojawia się ciepły blask. - Nawet nie masz pojęcia...

W następnej sekundzie - nawet nie bardzo wiem, jak to się stało - trzymam ją za ramiona i potrząsam. Jest piętnaście centymetrów wyższa ode mnie i cięższa prawie dwadzieścia kilo. Ale to nie ma znaczenia. W tej chwili chcę tylko wybić jej z głowy tego faceta.

- On ci powiedział, tak?! - Słyszę własne ochryple krzyki. - Powiedział ci, czym jest. Och, ty idiotko! Ty cholerna idiotko.

- Prr... - Adam próbuje odzepić moje dłonie od gołych ramion Lili. - No już. Uspokójmy się... Ale Lila wyrywa się z mojego uchwytu i spogląda na nas z triumfalną miną.

- Tak - krzyczy z tą nutą pijanej radości w głosie, którą znam aż za dobrze. - Powiedział mi. I ostrzegł mnie przed takimi jak ty, Mary. Przed ludźmi, którzy nie rozumieją... Nie mogą zrozumieć, że pochodzi z rodu równie starożytnego i szlacheckiego jak królewski...

- Nie wierzę. - Korci mnie, żeby dać jej w twarz. Nie robię tego tylko dlatego, że Adam łapie mnie za rękę, niemal jakby czytał mi w myślach. - Wiedziałaś? I mimo to umówiłaś się z nim?

- Oczywiście, że tak - Lila prychnęła pogardliwie. - Bo w przeciwieństwie do ciebie mam otwarty umysł. Nie jestem uprzedzona, tak jak ty...

- Co? - Gdyby nie Adam, trzymający mnie za rękę. Buczący: „Hej, spokojnie”, naprawdę rzuciłabym się na nią i spróbowała wbić odrobinę rozsądku w jej pustą blond głowę. - A nie wspomniał przypadkiem, dzięki komu żyje? Co je, czy powinnam raczej powiedzieć, co pije, żeby przetrwać! Lila spogląda na mnie z pogardą.

- Tak - przyznaje. - Powiedział, i uważam, że robisz aferę z niczego. Pije tylko krew, którą kupuje w centrum krwiodawstwa. Nie zabija...

- Och, Lila! - Nie wierzę własnym uszom. To znaczy, właściwie wierzę, w końcu to Lila o małym rozumku. Mimo to dziwię się, że nawet ona jest dość naiwna, by się na to nabrać. - Oni wszyscy tak mówią. Wciskają ten kit dziewczynom od wieków. „Nie zabijam ludzi”. Totalny bulszit.

- Zaraz. - Uścisk dłoni Adama na mojej ręce znacznie zelżał. Niestety, teraz, kiedy mogę, nie mam już ochoty walnąć Lili. Jestem zbyt zniesmaczona. - Co tu jest grane? - pyta Adam. - Kto pije krew? Czy wy mówicie o...

- Tak, o Drake'u - przytakuję szorstko.

Adam patrzy na mnie z niedowierzaniem, a jego kumpel Ted za jego plecami wydaje cichy gwizd.

- Rany - mówi Ted, - Wiedziałem, że coś mi nie pasuje w tym gościu.

- Przestań! - krzyczy Lila. - Wszyscy przestańcie! Posłuchajcie samych siebie. Macie pojęcie, jacy jesteście nietolerancyjni? Tak, Sebastian jest wampirem, ale to nie znaczy, że nie ma prawa istnieć!

- Ehm - mówię. - Biorąc pod uwagę, że jest chodzącą obrazą rodzaju ludzkiego i że od

wieków żywi się takimi niewinnymi dziewczynami jak ty, to owszem, nie ma prawa istnieć.

- Zaraz. - Adam wciąż ma osłupiałą minę. - Wampir? Dajcie spokój. To niemożliwe. Nie ma czegoś takiego jak wampiry.

- Och! - Lila odwraca się do niego i tupie nogą. - Jesteś jeszcze gorszy niż tych dwoje!

- Lila - mówię, ignorując Adama. - Nie możesz się z nim więcej spotkać.

- On nie zrobił niczego złego - upiera się Lila. - Nawet mnie nie ugryzł... chociaż go prosiłam. Mówi, że za bardzo mnie kocha.

- O mój Boże - jestem zde gustowana. - To kolejny kit, który ci wciska. Nie rozumiesz? Oni wszyscy tak mówią. I wcale cię nie kocha. A w każdym razie nie bardziej niż kleszcz psa, któremu wypija krew.

- Kocham cię - wyznaje Ted. Głos mu się załamuje. - A ty mnie rzuciłaś dla wampira?

- Nic nie rozumiesz. - Lila odrzuca do tyłu swoje długie jasne włosy. - On nie jest kleszczem, Mary. Sebastian kocha mnie zbyt mocno, żeby mnie ugryźć. Ale ja wiem, że namówię go do zmiany zdania. Bo on chce być ze mną już na zawsze, tak jak ja chcę. Jestem tego pewna. I po jutrzejszym wieczorze będziemy razem już na wieki.

- A co jest jutro wieczorem? - pyta Adam.

- Bal - wyjaśniam drewnianym głosem.

- Właśnie tak - trąkocze dalej Lila. - I idę z Sebastianem. I chociaż on jeszcze tego nie wie, odda mi się na tym balu. Jedno ukąszenie i będę żyć wiecznie. Pomyślcie sami, czy to nie fajne? A wy nie chcielibyście żyć wiecznie?

- Nie w taki sposób - mówię. Czuję ból gdzieś w środku. Ból na myśl o Lili i o wszystkich dziewczynach, które były przed nią. I które będą po niej, jeśli czegoś z tym nie zrobię.

- Spotyka się z tobą na balu? - zmuszam się, by ją o to zapytać, bo tak naprawdę chce mi się tylko płakać.

- Tak - odpowiada Lila. Jej twarz wciąż ma taki sam półprzytomny wyraz jak w klubie, jak wcześniej w stołówce. - I nie oprze mi się. Na pewno nie w mojej nowej sukience Roberta Cavallego, z odsłoniętą szyją, w srebrzystym świetle pełni księżyca...

- Zaraz rzygnę - wtrąca Ted.

- Nic z tego - oznajmiam. - Zabierzesz ją do domu. Trzymaj. - Sięgam do torby, wyciągam krucyfik i dwie buteleczki z wodą święconą, i podaję mu. - Nie sądzę, żeby Drake się pokazał, ale gdyby, wylej to na niego. A jak już odwieziesz Lilę, wracaj do domu. Ted patrzy na przedmioty, które wetknęłam mu w dłoń.

- Zaraz i tyle? - Chce wiedzieć. - Tak po prostu pozwolimy mu ją zabić?

- Nie zabić - poprawia go wesoło Lila. - Przemienić mnie. W wampirzycę.

- Niczego nie zrobimy - mówię. - Żadne my. Wy wracacie do domu, a ja się tym zajmę. Wszystko jest pod kontrolą. Dopilnuj tylko, Ted, żeby Lila dotarła do domu. Do balu jest bezpieczna. Złe duchy nie wejdą do zamieszkanego budynku, dopóki nie zostaną zaproszone. - Patrzę na Lilę spod zmrużonych powiek. - Nie zaprosiłaś go do środka, co?

- Jasne - powiedziała Lila, odrzucając na plecy włosy. - Tata dostałby szału, gdyby znalazł chłopaka w moim pokoju.

- Widzisz? Wracajcie do domu. Ty też - dodaję, patrząc na Adama. Ted bierze Lilę za łokieć i odchodzi z nią. Ale Adam, ku mojemu zaskoczeniu, zostaje na miejscu, z rękami głęboko w kieszeniach.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - pytam.

- Tak - odpowiada spokojnie Adam. - Możesz zacząć od początku. Chcę wiedzieć wszystko. Bo jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to gdyby nie ja, byłabyś mokrą plamą na ścianie klubu. Więc zacznij gadać.

Adam

Gdybyście godzinę czy dwie wcześniej powiedzieli mi, że ten wieczór skończy się wizytą w domu Mary z historii, na ostatnim piętrze apartamentowca przy East Side... Pewnie bym powiedział, że jesteście naćpani.

Ale właśnie tam się znalazłem. Idąc za Mary, minąłem zaspanego portiera (który nawet okiem nie mrugnął na jej kuszę). Wjechałem windą do jej mieszkania, urządzonego w wiktoriańskim stylu z połowy XIX wieku, o ile się znam. Ale wierzcie mi, meble wyglądały jak wyjęte z tych nudnych mini seriali, które uwielbia moja matka. Z bohaterkami, które mają na imię Róża, Hortensja czy tym podobny kwiatek.

Do tego książki dosłownie wszędzie - i to nie miękkie wydania Dana Browna, ale wielkie, ciężkie cegły, o tytułach w rodzaju *Demonologia w Grecji siódmego wieku* czy *Przewodnik po nekromancji*. Rozejrzałem się, ale nie zobaczyłem plazmy ani ekranu LCD. Nawet zwykłego telewizora.

- Twoi rodzice są profesorami? - pytam Mary, która rzuca kuszę na podłogę. Idzie do kuchni, gdzie otwiera lodówkę i wyjmuje dwie cole, z których jedną podaje mnie.

- Coś w tym rodzaju - mówi. Tak samo zachowywała się przez całą drogę do swojego mieszkania. Nie kwapiła się do udzielania wyjaśnień.

Co zresztą nie ma znaczenia, bo zakomunikowałem jej już, że nie wyjdę, dopóki nie

wyzna wszystkiego od początku do końca. Problem w tym, że nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Z jednej strony czuję ulgę, że Drake nie jest tym, za kogo go uważałem, czyli byłym Mary. Z drugiej strony... wampir?

- Chodź - woła mnie Mary, a ja idę za nią, bo co innego mam do roboty? Nie wiem, po co tu przyszedłem. Nie wierzę w wampiry. Moim zdaniem Lila zadała się z jednym z tych przerażających gotyckich świrów. Widziałem to kiedyś w *Prawie i porządku*.

Chociaż słowa Mary. „Więc jak wyjaśnisz, że w klubie tak po prostu rozpląnął się w powietrzu?”, nie dają mi spokoju. No bo jak to zrobił?

Ale przecież jest cała masa tego typu pytań, na które nie mam odpowiedzi. Jak na przykład to najnowsze, które właśnie przyszło rai do głowy: Co zrobić, żeby Mary patrzyła na mnie tak jak Lila na Drake'a?

Jak mawia mój tata, życie jest pełne niespodzianek i tajemnic, do których nie masz dostępu.

Mary prowadzi mnie ciemnym korytarzem w stronę uchylonych drzwi; ze szpary bije światło.

Puka i mówi:

- Tato? Możemy wejść? Szorstki głos odpowiada:

- Ależ oczywiście.

Wchodzę więc za Mary do najdziwniejszego pokoju, jaki w życiu widziałem. Jak na ostatnie piętro apartamentowca przy East Side, oczywiście.

To laboratorium. Wszędzie probówki, zlewki i fiolki. Za stołem pełnym takich właśnie gadżetów stoi wysoki, siwowłosy facet w typie naukowca, ubrany w szlafrok, i kombinuje coś z jakąś miksturą w przezrystym pojemniku, jaskrawozieloną i wydzielającą duże ilości dymu. Starszy pan unosi wzrok znad tego czegoś i uśmiecha się, *widząc* Mary wchodzącą do pokoju. Jego zielone oczy - bardzo podobne do oczu Mary - zerkają na mnie ciekawie.

- Witam, witam - mówi. - Widzę, że przyszałaś z kolegą. Bardzo się cieszę. Ostatnio nawet myślałem, że o wiele za dużo czasu spędzasz sama, młoda damo.

- Tato, to jest Adam - rzuca od niechcienia Mary. - Siedzi za mną na historii Stanów Zjednoczonych. Idziemy do mojego pokoju odrabiać lekcje.

- Jak miło - odpowiada ojciec Mary. Chyba nie dociera do niego, że odrabianie lekcji to bodaj ostatnia rzecz, jaką może robić chłopak o drugiej w nocy w sypialni dziewczyny. - Tylko się nie przemęczcie, dzieci.

- Nie będziemy - obiecuje Mary - Chodź.

- Dobranoc, proszę pana - żegna tatę Mary, który uśmiecha się promiennie i wraca

do swojej dymiącej zlewki.

- Okej - zwracam się do Mary, która znów prowadzi mnie korytarzem, tym razem do swojego pokoju, zdumiewająco praktycznie urządzonego jak na sypialnię dziewczyny. Są tu tylko duże łóżko, toaletka i biurko. W odróżnieniu od pokoju Veroniki, wszystko jest pochowane, z wyjątkiem laptopa i odtwarzacza MP3. Zerkam szybko na playlistę, kiedy Mary jest zajęta szukaniem czegoś w szafie. Głównie rock, trochę R&B i odrobina rapu. Ale żadnego emo. Dzięki Bogu.

- Co tu jest grane? Co twój tata robi w tym laboratorium?

- Szuka antidotum - odpowiada Mary stłumionym głosem z wnętrza szafy. Przechodzę po perskim dywanie w stronę jej łóżka. Na nocnym stoliku stoi zdjęcie w ramce. Jest na nim ładna kobieta, mrużąca oczy w słońcu i uśmiechnięta. Matka Mary. Nie wiem, skąd to wiem. Ale wiem.

- Antidotum na co? - pytam, podnosząc zdjęcie, żeby się lepiej przyjrzeć. Tak, oto i one. Usta Mary. Które (na co bez przerwy zwracam uwagę, ale nic na to nie mogę poradzić) unoszą się odrobinę w kącikach. Nawet kiedy jest zła.

- Na wampiryzm - mówi Mary. Wyłania się z szafy, trzymając długą czerwoną sukienkę, owiniętą w przejrzysty plastik, prosto z pralni.

- Ehm - chrząkam. - Przykro mi to mówić, Mary, ale wampiry nie istnieją. Ani wampiryzm. Czy jakkolwiek to.

- Doprawdy? - Kąciki ust Mary unoszą się jeszcze bardziej.

- Wampiry to wymysł tego faceta. - Śmieje się ze mnie. Ale wcale mi to nie przeszkadza. Przynajmniej mnie nie ignoruje. - Tego gościa, który napisał *Drakulę*. Prawda?

- Bram Stoker nie wymyślił wampirów - mówi Mary, jej uśmiech znika. - Nie stworzył nawet Drakuli. Który, tak się składa, jest postacią historyczną.

- Może pił krew i zmieniał się w nietoperza? Daj spokój.

- Wampiry istnieją, Adamie - szepcze. Podoba mi się, jak wypowiada moje imię. Podoba mi się to tak bardzo, że nie od razu zauważam, że Mary patrzy na zdjęcie, które trzymam w ręce. - Istnieją też ich ofiary. Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem i o mało nie upuszczam zdjęcia.

- Mary - jąkam się. Bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. - Twoja... twoja mama? Ona... czy ona...

- Żyje - odpowiada Mary, odwracając się, by rzucić sukienkę w śliskim plastiku na łóżko. - Jeśli można to nazwać życiem - dodaje pod nosem.

- Mary... - dukam zmienionym głosem. Nie mogę w to uwierzyć. A jednak wierzę. W

jej twarzy jest coś, co mówi, że nie kłamie. Mam ochotę wziąć ją w ramiona, utulić. Veronika powiedziała, że to seksistowskie. Ale nic nie poradzę. Przystaję przygryzać wargę.

- To dlatego twój tata...

- Nie zawsze taki był. - Nie patrzy na mnie. - Był inny, kiedy mama żyła z nami. Uważa, że zdoła wynaleźć chemiczne antidotum. - Siada na łóżku obok sukienki. - Nie chce wierzyć, że jest tylko jeden sposób, żeby ją odzyskać. A ten sposób to zabicie wampira, który przemienił ją w wampiryzę.

- Drake'a. - Siadam na łóżku obok niej. Teraz wszystko *zaczynu* być logiczne. Chyba.

- Nie. - Mary kręci głową. - Jego ojca, który zachował oryginalne rodowe nazwisko, Drakula. Syn uznał, że Drake brzmi mniej pretensjonalnie i bardziej nowoczesnie.

- Więc... dlaczego próbujesz zabić syna Drakuli, jeśli to jego ojciec... - Nie mogę się nawet zmusić, żeby dokończyć. Na szczęście nie muszę. Mary siedzi przygarbiona.

- Jeśli zabicie jedyne dziecko nie wywabi Drakuli z ukrycia, to już nie wiem, co go sprowokuje, żeby wylazł z nory.

- Czy to nie będzie... niebezpieczne? - pytam. Nie wierzę, że tu siedzę i rozmawiam o wampirach. A do tego w sypialni Mary z historii. - No bo czy ten Drakula to nie jest szefem całego przedsięwzięcia?

- Tak - przytakuje Mary, patrząc na zdjęcie, które położyłem między nami. - A kiedy przestanie istnieć, mama wreszcie będzie wolna.

A tata Mary nie będzie już musiał się martwić o wynalezienie antidotum na wampiryzm, myślę, ale nie mówię tego głośno.

- Dlaczego Drake dzisiaj nie przemienił Lili? - pytam. Bo to nie daje mi spokoju. - No wiesz, w klubie?

- Bo lubi się bawić jedzeniem - odpowiada Mary bez emocji. - Tak jak jego tatuś. Ciarki przechodzą mi po plecach. Nic na to nie poradzę. Choć Lila nie jest w moim typie, to nieprzyjemnie myśleć o niej jako o wieczornej przekąsce jakiegoś wampira.

- A nie martwisz się - chcę zmienić temat - że Lila powie Drake'owi, żeby się nie zjawiał na balu, skoro będziemy tam na niego czekać?

Mówię „będziemy”, a nie „będziesz”, bo nie ma mowy, żebym puścił ją tam samą. Moja siostra pewnie i to uznałaby za seksizm. Ale Veronika nigdy nie widziała, jak Mary się uśmiecha.

- Żartujesz? - Zdaje się, że nie zauważyła tej liczby mnogiej. - Ja właśnie liczę na to, że mu powie. Dzięki temu on się na pewno zjawi. Wybałuszam na nią oczy.

- Dlaczego miałby to zrobić?

- Bo zabicie córki likwidatora podniesie jego pozycję. Teraz dla odmiany mrugam z niedowierzaniem.

- Pozycję?

- No wiesz. - Bawi się końskim ogonem. - Trochę jak w ulicznym gangu. Tyle że to gang nieumarłych.

- Aha. - Brzmi to logiczne. Zresztą jak wszystko, co usłyszałem dzisiejszego wieczoru.

- Nazywają twojego tatę likwidatorem? - Jakoś trudno mi sobie wyobrazić ojca Mary wymachującego kuszą.

- Nie. - Jej uśmiech znika. - Moją mamę. A w każdym razie... była likwidatorem. I likwidowała nie tylko wampiry, ale także złe istoty wszelkiego rodzaju. Demony, wilkołaki, duchy, czarowników, dziny, satyry, loki, sfinksy, vetele, tytanów, krasnale...

- Krasnale? - powtarzam, nie wierząc uszom. Ale Mary tylko wzrusza ramionami.

- Jeśli cokolwiek było złe, mama to zabijała. Miała do tego talent... Talent - dodaje cicho - który, mam nadzieję, odziedziczyłam.

Przez minutę siedzę w milczeniu. Muszę przyznać, że jestem trochę oszołomiony tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch godzin. Kusze, wampiry i likwidatorzy? I, na Boga, co to jest vetela? Nie jestem pewien, czy chcę to wiedzieć. Nie. Zaraz. Jestem pewien, że wolę nie wiedzieć. W głowie słyszę szum, który nie cichnie. Najdziwniejsze jest to, że nawet mi się to podoba.

- I co? - Mary spogląda mi w oczy. - Teraz mi wierzysz?

- Wierzę ci - odpowiadam. Nie wierzę tylko w to, że jej wierzę.

- To dobrze - mówi. - Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdybyś nikomu o tym nie mówił. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, muszę zacząć przygotowania...

- Świetnie. Powiedz mi, co mam robić. Jej twarz pochmurnieje.

- Adamie... - Kiedy znów słyszę, jak wypowiada moje imię, lekko mi odbija. Mam ochotę wziąć ją w ramiona i jednocześnie biegać w kółko po pokoju. - Doceniam twoją ofertę. Naprawdę. Ale to jest zbyt niebezpieczne. Jeśli zabiję Drake'a...

- Kiedy go zabijesz - poprawiam ją.

- Jest szansa, że zjawi się jego ojciec - ciągnie - i będzie chciał się zemścić. Może nie dziś. I może nie jutro. Ale niedługo. A kiedy się zjawi... to nie będzie ładne. To będzie okropne. Koszmar. To będzie...

- Apokalipsa - kończę za nią, czując lekki dreszcz przebiegający po plecach, kiedy wypowiadam to słowo.

- Tak. Tak, dokładnie.

- Nie martw się. - Ignoruję ten dreszcz. - Jestem na nią przygotowany.

- Nie rozumiesz. - Mary kręci głową. - Nie mogę... Nie mogę zagwarantować, że zdołam cię ochronić. I na pewno nie mogę pozwolić, żebyś ryzykował. Ja to co innego, no wiesz, ze względu na moją mamę. Ale ty... Przerwywam jej.

- Powiedz mi tylko, o której mam po ciebie przyjść. Patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

- Co?

- Przykro mi - mówię. - Ale nie pójdziesz na ten bal sama. Koniec dyskusji. I widocznie wyglądam naprawdę groźnie, bo chociaż otwiera usta, żeby się kłócić, to po jednym spojrzeniu na moją twarz zgadza się.

- Ehm. Okej. To twój pogrzeb. - Ale i tak musi dodać, żeby tylko mieć ostatnie słowo. Co mi nie przeszkadza. Niech sobie ma.

Bo teraz już wiem, że ją znalazłem: moją przyszłą partnerkę w nieuniknionej walce o przetrwanie w postapokaliptycznej Ameryce.

Mary

Muzyka dudni w rytm mojego serca. Czuję wibracje w klatce piersiowej. Trudno dostrzec cokolwiek w sali pełnej wijących się ciał; sprawę dodatkowo utrudniają światła błyskające pod sufitem. Ale ja wiem, że on tu jest. Czuję go. I nagle widzę go, jak idzie przez parkiet w moją stronę. W dłoniach trzyma dwa kieliszki krwistoczerwonego płynu. Podaje mi jeden z nich i mówi:

- Nie martw się. Nikt nie dolał alkoholu. Sprawdziłem.

Nie odpowiadam. Piję poncz, wdzięczna, że jest mokry - nawet jeśli trochę za słodki – bo strasznie zaschło mi w gardle.

Problem w tym, że wiem, iż popełniam błąd, pozwalając Adamowi przyjść tu ze mną.

Ale... w nim jest coś takiego. Nie wiem, co. Coś, co odróżnia go od reszty głupich osiłków w szkole. Może chodzi o to, że uratował mnie *wczoraj* w klubie, kiedy straciłam odwagę, strzelając do Sebastiana Drake'a - potomka samego diabła - keczupem z pistoletu na wodę.

A może dlatego, że tak ładnie się zachował w stosunku do mojego taty - nie żartował sobie, że jest podobny do Doca z *Powrotu do przyszłości* i nawet zwrócił się do niego: proszę pana. A może to, w jaki sposób oglądał zdjęcie mojej mamy, i jaki był osłupiały, kiedy powiedziałam mu prawdę o niej.

A może dlatego, że wyglądał tak niemożliwie przystojnie w smokingu, kiedy zjawił

się dzisiaj wieczorem. Przyniósł nawet dla mnie bukiet czerwonych róż do przypięcia do sukienki...

Chociaż jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu nie wiedział, że idzie na szkolny bal (całe szczęście, że wejściówki można było kupić przy drzwiach).

Tak czy inaczej, tata był zachwycony i raz zachowywał się jak normalny rodzic. Strzelał fotki - „Żeby mama sobie obejrzała, kiedy wyzdrowieje”, powtarzał - i próbował wsunąć Adamowi do ręki dwadzieścia dolarów na lody po balu.

Co, szczerze mówiąc, przekonało mnie, że jednak wolę, kiedy siedzi w laboratorium.

Mimo to wiedziałam, że popełniłam błąd, nie odprawiając Adama z kwitkiem. To nie jest zajęcie dla amatorów.

To jest...To jest...

...Piękne. To znaczy, sala balowa. Wygląda przepięknie. O mało się nie zachłysnęłam, kiedy weszłam tutaj z Adamem pod rękę. (Uparł się. Mieliśmy wyglądać jak „normalna para”, gdyby Drake nas obserwował). W tym roku komitet organizacyjny przeszedł sam siebie.

Zarezerwowanie wielkiej sali w hotelu Waldorf - Astoria już samo w sobie było nie lada wyczynem, ale przekształcenie jej w tę rozmigotaną, romantyczną krainę z bajki? Dokonali cudu.

Mam tylko nadzieję, że te wszystkie rozetki i serpentyny są ognioodporne. Nie chciałabym, żeby zajęły się ogniem, który wybuchnie, gdy ciało Drake'a ulegnie samospaleniu, kiedy już wbiję mu kołek w pierś.

- No dobra. Stoimy tuż przy parkiecie - odzywa się Adam. Przez długą chwilę piliśmy poncz w milczeniu, które, przyznaję, zaczęło się robić trochę niezręczne.

- Jak to się w ogóle ma odbyć? Nie widzę twojej kuszy.

- Przyszłam tylko z kołkiem - mówię, pokazując mu nogę przez rozcięcie w sukience. Przypięłam do uda ręcznie strugany kołek z jesionu, używając starej kabury mamy. - Elegancka prostota.

- Aha - prycha Adam, lekko krztusząc się ponczem. - Okej.

Widzę, że nie odrywa wzroku od mojego uda. Pospiesznie opuszczam spódnicę.

I nagle dociera do mnie - dopiero teraz - że Adam angażuje się w to wszystko z innych powodów. Nie chodzi mu wcale o uwolnienie dziewczyny najlepszego kumpla spod czaru podłego krwiopijcy.

Tylko że... Czy to w ogóle możliwe? To Adam Blum. A ja jestem nowa. Lubi mnie, ale chyba nie w takim sensie. Nie. Najprawdopodobniej zostało mi jakieś dziesięć minut

życia. Chyba że coś bardzo radykalnie zmieni bieg wydarzeń.

Czerwienię się i przez chwilę patrzę na pary pływające na parkiecie. Pani Gregory od historii Stanów Zjednoczonych jest jedną z opiekunek. Chodzi po sali, próbując powstrzymać dziewczyny od ocierania się biodrami o chłopaków. To tak, jakby chciała powstrzymać księżyc przed wzejściem.

- Pewnie byłoby najlepiej, gdybyś czymś zajął Lilę - mówię, mając nadzieję, że Adam nie zauważy moich policzków w tej chwili równie czerwonych jak moja sukienka. - Kiedy będę przebijać go kołkiem. Nie chcemy przecież, żeby weszła mi w drogę, próbując go ratować.

- Po to przyciągnąłem tutaj Teda. - Adam wskazuje ruchem głowy na kumpla zgarbionego przy stoliku i patrzącego na parkiet znudzonym wzrokiem. Tak jak my wszyscy czeka na Lilę. I jej partnera.

- Tak czy inaczej - wyjaśniam - nie chcę, żebyś plątał się w pobliżu, kiedy... No wiesz.

- Powtarzałaś mi to dziewięć milionów razy - mruczy Adam. - Wiem, że potrafisz o siebie zadbać. Dałaś mi to do zrozumienia wystarczająco jasno.

Nie mogę się nie skrzywić. Nie bawi się dobrze. Widzę to.

I co z tego? Nie prosiłam go, żeby tu przychodził! Sam się zaprosił! A poza tym to nie jest randka! To rzeź! Wiedział o tym od samego początku. To on zmienia zasady, nie ja. A poza tym, kogo ja chcę oszukać? Nie mogę chodzić na randki. Muszę wypełnić swoje przeznaczenie. Jestem córką likwidatora. Muszę...

- Zatańczysz? - Wrywa mnie z zamyślenia.

- Och - jestem zaskoczona. - Z przyjemnością. Ale naprawdę powinnam...

- Świetnie. - Bierze mnie w ramiona i prowadzi na parkiet.

Nie powstrzymuję go. Nawet kiedy mija pierwszy szok, nie chcę go odtrącić. Stwierdzam ze zdumieniem, że podoba mi się w jego objęciach. Czuję się dobrze. Czuję się bezpiecznie. Czuję się, jakbym była normalną dziewczyną. Nie nową uczennicą. Nie córką likwidatora. Po prostu sobą. Mogłabym się przyzwyczaić do tego uczucia.

- Mary - mówi Adam. Jest taki wysoki. Jego oddech delikatnie porusza moje kosmyki włosów, które wymknęły się z koka. Ale nie przeszkadza mi to, bo ładnie pachnie. Spoglądam na niego rozmarzonym wzrokiem. Nie do wiary, że nigdy dotąd nie zauważyłam - tak naprawdę - jaki jest przystojny. *Co taki chłopak może widzieć we mnie? Nawet mi się nie śniło, że wyląduję na szkolnym balu z Adamem Blumem...*

Wprawdzie zaprosił mnie tylko dlatego, że jest mu mnie żal. Bo moja mama jest wampirem i w ogóle. Ale jednak.

- Hm... - Uśmiecham się do niego.

- Zastanawiałem się, czy... - Adam z jakiegoś powodu jest zmieszany. - No wiesz, kiedy już będzie po wszystkim. Kiedy rozniesiesz Drake'a w pył, a Lila i Ted będą znowu razem... To czy nie chciałabyś...

O Boże. Co się dzieje? Czy on chce mnie zaprosić na randkę? Na prawdziwą randkę? Taką, w której nie biorą udziału ostre spiczaste przedmioty?

Nie. To się nie dzieje naprawdę. To jest jakiś sen. Za minutę się obudzę, a wszystko zniknie. Nie mogę oddychać, bo jestem pewna, że jeśli to zrobię, pryśnie czar, który ktoś rzucił na nas oboje...

- Tak? - pytam.

- No więc. - Nie patrzy mi w oczy. - Chodzi o to, czy byś nie chciała, no wiesz, może gdzieś pójść...

- Przepraszam. - Głęboki głos, który przerywa Adamowi, jest aż nazbyt dobrze znajomy. - Czy mogę prosić o ten taniec?

Zirytowana zamykam oczy. Nie wierzę. Jak tak dalej pójdzie, to facet nigdy się ze mną nie umówi. Nigdy. Nigdy. Nigdy. Pozostanę dziwadłem - produktem związku podobnych do mnie dziwadła - już do końca życia. A w ogóle dlaczego Adam Blum miałby się ze mną umówić? Z córką wampirzycy i szalonego naukowca? Nic z tego nie będzie. Mam tego dość. Mam tego powyżej uszu.

- Słuchaj no, ty... - Odwracam się do Sebastiana Drake'a, którego błękitne oczy otwierają się trochę szerzej, widząc wściekłość na mojej twarzy. - Jak śmiesz się tu zakradać... Ale głos zamiera mi w gardle. Bo nagle widzę tylko te oczy i nic poza nimi... ...Te hipnotycznie błękitne oczy, w których się zanurzam niczym w ciepłych, słodkich falach...

To prawda, że nie jest Adamem Blumem. Ale patrzy na mnie w taki sposób, iż czuję, że o tym wie, i że jest mu przykro. I zrobi wszystko, by mi to wynagrodzić... A nawet więcej... I nim się orientuję, Sebastian Drake bierze mnie w ramiona - delikatnie, tak delikatnie - i prowadzi w stronę oszklonych drzwi, przez które widzę ciemny ogród, oświetlony tylko migoczącymi lampkami i księżycem - właśnie takie miejsce, w jakim powinnaś się znaleźć ze złotowłosym potomkiem transylwańskiego hrabiego.

- Tak się cieszę, że wreszcie mamy okazję się poznać - mówi do mnie Sebastian, a jego głos pieści mnie jak najłżejszy dotyk. Wszystko i wszyscy, których zostawiliśmy za plecami - pozostałe pary, Adam, osłupiała Lila, która patrzy na nas z zazdrością, Ted wpatrujący się w Lilę, a nawet rozetki i serpentyny - rozplývają się, jakby na świecie istniał tylko ten ogród, w którym się znaleźliśmy, ja i Sebastian Drake. Unosi rękę, by odsunąć z

mojej twarzy luźne kosmyki włosów. Gdzieś na obrzeżach mojego umysłu słyszę głos który mówi, że powinnam się bać... Że powinnam nienawidzić.

Tylko nie mam pojęcia, dlaczego. Jak mogę nienawidzić kogoś tak przystojnego, miłego i łagodnego jak on? Przecież on chce, żebym czuła się jak najlepiej. Chce mi pomóc.

- Widzisz? - mówi Sebastian Drake, unosząc moją dłoń i przyciskając ją delikatnie do ust. - Nie jestem taki straszny, prawda? Jestem taki jak ty. Dzieckiem potężnego rodzica, które próbuje znaleźć swoje miejsce na tym świecie. Oboje z trudem dźwigamy swoje dziedzictwo, prawda, Mary? A tak przy okazji, mama cię pozdrawia.

- M - mama? - Mój mózg jest tak samo wypełniony mgłą jak ogród, w którym stoimy. Bo choć potrafię sobie wyobrazić twarz mamy, nie potrafię sobie przypomnieć, skąd może ją znać Sebastian Drake.

- Tak. - Jego usta przesuwają się wyżej, z mojej dłoni w zgięcie łokcia. Są jak płynny ogień na mojej skórze. - Tęskni za tobą. Nie rozumie, dlaczego nie chcesz do niej dołączyć. Jest teraz taka szczęśliwa. Nie nękają jej choroby. Nie grozi jej starość. Ani ból samotności. - Jego usta są już na moim nagim ramieniu. Mam kłopoty z oddychaniem. Ale jest tak przyjemnie. - Żyje otoczona pięknem i miłością... Ty też możesz, Mary. - Jego usta są na mojej szyi. Jego oddech, taki ciepły, sprawił, że mięknę. Ale to nie szkodzi, bo silne ramię Sebastiana obejmuje mnie w pasie i podtrzymuje. Moje ciało wygina się do tyłu, dając mu dostęp do nagiej szyi.

- Mary - szepcze z ustami przy moim gardle.

A ja czuję taki spokój, taką błogość, jakich nie czułam od lat, od kiedy mama odeszła. Opuszczam powieki i nagle w kark trafia mnie coś mokrego i zimnego.

- Auć! - Otwieram oczy. Dotykam tego miejsca. Moje palce są śliskie od jakiegoś przejrzystego płynu.

- Sorry - woła Adam, stojący kilka kroków za mną, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Celuje we mnie ze swojej beretty na wodę. - Nie trafiłem.

Po sekundzie z trudem chwytam powietrze, gdy gęsta chmura cuchnącego dymu spalenizny uderza mnie w twarz. Kaszlę i odsuwam się od chłopaka, który jeszcze przed chwilą tak czule mnie obejmował. Teraz kurczowo trzyma się za dymiącą pierś.

- Co... - sapie Sebastian Drake, gasząc dłonią płomienie. - Co to jest?

- Odrobina wody święconej, śmieciu. - Adam ponownie strzela do Drake'a. - Nie powinna ci zaszkodzić, chyba że jesteś członkiem gangu nieumarłych. A wygląda na to, że tak, niestety. W następnej sekundzie odzyskuję zmysły i sięgam pod spódnicę po kołek.

- Sebastianie Drake - syczę, kiedy pada przede mną . kolana, wyjąc z bólu. I z

wściekłości. - To za moją matkę.

I wbijam kołek jesionowy, ręcznie strugany głęboko w jego serce. Gdyby je miał.

- Ted - mówi Lila słodkim głosem. Jej chłopak leży na profilowanej plastikowej ławce z głową na jej kolanach.

- Tak? - pyta Ted, spoglądając na nią z uwielbieniem.

- Już wiem, co sobie wytatuuję, kiedy będę w Kankun - szepcze Lila. - Ted. Tuż nad pośladkami. Żeby od tej pory każdy wiedział, że należę do ciebie.

- Och, kotku. - Ted przyciąga jej głowę i głęboko całuje.

- Boże! - Odwracam głowę.

- Wiem. - Adam rzucił fosforyzującą kulą do kręgli i właśnie wrócił do ławki. - Nie wiem, czy nie lubiłem jej bardziej, kiedy była pod urokiem Drake'a. Ale tak jest chyba lepiej. Ted będzie cierpiał o wiele mniej niż Sebastian. A tak przy okazji, gdybyś nie zauważyła, zbiłem wszystkie kręgle. - Siada na ławce obok mnie i spogląda na tabelę wyników w świetle lampy wiszącej tuż nad moją głową. - I kto by pomyślał? Wygrywam.

- Nie bądź zarozumiały. - Chociaż muszę przyznać, że ma się czym chwalić. I nie chodzi mi tylko o kręgle. - Powiedz mi tylko - mówię, kiedy Adam wreszcie zdejmuje muszkę. Nawet w dyskotekowych światłach kręgielni Bowlmor Lanes, gdzie wpadliśmy po balu, wciąż jest obscenicznie przystojny. - Skąd wzięłeś święconą wodę?

- Dałaś ją Tedowi - odpowiada Adam, spoglądając na mnie z lekkim zaskoczeniem. - Pamiętasz?

- Ale skąd ten pomysł, żeby załadować ją do pistoletu? - wypytuję dalej wciąż nakręcona wydarzeniami wieczoru. Kręgle o północy to niezła zabawa. Ale nic nie może się równać z unicestwieniem dwustuletniego wampira na szkolnym balu. Szkoda, że spalił się na popiół w ogrodzie. Nikt tego nie widział, prócz mnie i Adama. Na pewno zostalibyśmy królem i królową balu, a nie Lila i Ted, którzy wciąż mają na głowach korony. Chociaż w tej chwili mocno przekrzywione od całowania się.

- Nie wiem, Mare. - Adam wpisuje swój wynik. - Po prostu uznałem, że to dobry pomysł. Mare. Nikt nigdy nie nazywał mnie Mare.

- Ale skąd wiedziałeś? - pytam. - No wiesz, że Drake... Nieważne. Po czym poznałeś, że nie udaję? Żeby uśpić Jego czujność?

- Nie licząc tego, że za sekundę wgrzyłby ci się w szyję? - Adam unosi brew. - I że nie robiłaś nic, żeby go powstrzymać? Doskonale wiedziałem, co jest grane.

- Otrząsnęłabym się - zapewniam go. - Kiedy tylko poczułabym jego zęby.

- Nie - mówi Adam. Teraz już szczerzy się do mnie w uśmiechu, z twarzą

podświetloną lampką nad tabelą wyników. Reszta kręgielni tonie w ciemności, z wyjątkiem kuł i kręgli, które błyszczą niesamowitą fluorescencyjną poświatą. - Nie otrząsnęłabyś się. Przyznaj, Mary. Potrzebowałam mnie.

Jest tak blisko mojej twarzy - bliżej niż kiedykolwiek znalazła się twarz Sebastiana Drake'a. Czuję, że topnieję pod jego spojrzeniem. Serce przestaje mi bić.

- Tak - mówię, nie mogąc się powstrzymać, by nie spojrzeć na jego usta. - Chyba trochę tak.

- Jesteśmy zgraną ekipą - Adam gapi się, nie mogę tego nie zauważyć, na moje usta. - Nie sądzisz? Szczególnie w świetle nadciągającej apokalipsy? Kiedy ojciec Drake'a dowie się, co dzisiaj zrobiliśmy? Wyrzywa mi się cichy okrzyk.

- No tak - rzucam płaczliwie. - Teraz będzie ścigał nie tylko mnie. Ty też będziesz zagrożony!

- Wiesz co. - Teraz jego spojrzenie błądzi dużo niżej. - Naprawdę podoba mi się ta sukienka. Świetnie pasuje do pantofli do kręgli.

- Adamie - powtarzam. - To jest poważna sprawa! Drakula być może przygotowuje się właśnie, żeby uderzyć na Manhattan, a my tracimy czas na kręgle! Musimy zacząć przygotowania! Musimy zaplanować kontratak. Musimy...

- Mary - mówi Adam. - Zaczeka.

- Ale...

- Mary - powtarza. - Zamknij się.

Milknę. Bo jestem zajęta całowaniem i nie mam siły robić niczego innego. Poza tym ma rację. Drakula poczeka.

KIM HARRISON

**MADISON AVERY ŻNIWIARZ
CIEMNOŚCI**

Brytyjski generał, damulka w potrzebie i pirat wchodzą do sali gimnastycznej, pomyślałam, obserwując ciała podrygujące w ogłupiającym chaosie powstrzymanej nastoletniej żądz. Nie ma to jak Liceum Covington. Szkolny bal zamienił się w farsę. Przy okazji dzisiaj są moje siedemnaste urodziny. Co ja tu robię? Na takiej zabawie powinny być prawdziwe sukienki i zespół na żywo, a nie wypożyczone kostiumy i muza z puszki. A moje urodziny powinny być... Jakiegokolwiek, byle nie takie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zatańczyć? - wrzasnął mi do ucha Jose. Otoczył mnie zapach słodkawego oddechu. Staralam się nie skrzywić. Wbiłam wzrok w zegar obok tablicy wyników, zastanawiając się, czy godzina wystarczy, żeby się stąd wynieść i nie narazić na przesłuchanie taty. Muzyka była straszna - wciąż to samo rytmiczne dudnienie, w kółko i w kółko, i w kółko. Nic nowe czterdziestu minut. A basy były o wiele za głośne.

- Tak - powiedziałam. Odsunęłam się rytmicznymi kroczkami, kiedy jego ręka spróbowała się zakraść na moją talię. - Ciągle nie chcę tańczyć.

- To może coś do picia? - spróbował jeszcze raz. Odchyliłam biodro w bok i skrzyżowałam ręce na piersi, żeby zakryć dekolt. Wciąż jeszcze czekałam na wizytę cystackiej wróżki, ale gorset sukienki wypchnął wszystko do góry i ścisnął, przez co wyglądało, jakbym miała tam coś więcej, niż faktycznie było, więc czułam się skrepowana.

- Nie, dziękuję - odparłam z westchnieniem. Pewnie mnie nie usłyszał, ale załapał, o co chodzi, bo odwrócił wzrok i zaczął obserwować tańczących. Długie balowe suknie i kuse wdzianka barowych dziewczek mieszały się z kostiumami zawiadackich piratów i żeglarzy. Taki był motyw przewodni balu. Piraci. Boże! W mojej starej szkole przez dwa miesiące pracowałam w Komitecie Organizacyjnym. Bal miał być fantastyczny - na barce w świetle księżycy, z prawdziwym zespołem - ale nieeee. Mama stwierdziła, że tata musi spędzić ze mną trochę czasu. Że przechodzi kryzys wieku średniego i musi przypomnieć sobie przeszłość. Moim zdaniem po prostu się wystraszyła, kiedy przyłapała mnie, jak wymknęłam się nocą na cappuccino. Odesłała mnie z powrotem do ojca w Nudziakowie. Wiedziała, że jego bardziej się słucham. Okej, było już po północy. I być może nie chodziło tylko o kofeinę. No i byłam uziemiona za zbyt późny powrót w poprzedni weekend, ale właśnie dlatego się wymknęłam.

Szarpałam palcami sztywną koronkę mojej kolonialnej sukni i zastanawiałam się, czy ktoś tutaj w ogóle wie, jak wygląda prawdziwa impreza. Ale może mieli to gdzieś. Josh stał

pół kroku przede mną, kiwając głową w takt muzyki, najwyraźniej miał ochotę zatańczyć. Niedaleko, przy stole z jedzeniem, siedział jakiś gość, który ciągle za nami łąził. Patrzył w moją stronę, więc zmroziłam go wzrokiem, zastanawiając się, czy chodzi mu o mnie, czy o Josha. Kiedy wyczuł moje zainteresowanie, odwrócił się. Znowu spojrzałam na Josha, który przebył już, tańcząc połowę drogi między mną a tłumem. Kiedy tak kołysał i rytmicznie kiwał głową, nie wydawał się już w tym kostiumie tak przeraźliwie chudy i wysoki. Był ubrany w tradycyjny czerwono - biały mundur brytyjskiego generała, z rapierem i epoletami. Zapewne to pomysł jego ojca, VIP - a wśród VIP - ów w ośrodku badawczym, w którym okoliczni mieszkańcy znaleźli zatrudnienie, kiedy bazę wojskową przeniesiono do Arizony. Tak czy inaczej, pasował do falbaniastej sukni z gorsetem, którą miałam na sobie.

- No chodź. Wszyscy tańczą - zaczął mnie namawiać, kiedy zobaczył, że na niego patrzę, ale pokręciłam głową. Niemal go żalowałam. Przypominał mi chłopaków z kółka fotograficznego, którzy udawali, że drzwi do ciemni się zacięły i próbowali się do mnie przystawiać. To było zwyczajnie nie fair. Przez trzy lata pracowałam na to, żeby się wkręcić do towarzystwa fajnych lasek, a teraz znowu zaczynałam od nowa z miłymi, ale niepopularnymi chłopakami. A do tego podpierałam ścianę w sali gimnastycznej! I to w moje urodziny.

- Nie - odparłam głucho. Przekład: Sory nie jestem zainteresowana. Możesz sobie dać spokój, Nawet niezbyt lotny, niezgrabny okularnik Josh wreszcie załapał i zaprzestał podchodów.

- Jezu, ale z ciebie sucz, wiesz? Zaprosiłem Cię tylko dlatego, że ojciec mi kazał, Jeśli zapragniesz towarzystwa, jestem tam.

Przytknęło mnie, gapiłam się na niego, jakby walnął mnie pięścią w żołądek. A on uniósł brew i poszedł sobie, z rękami w kieszeniach i z wojowniczo wysuniętym podbródkiem. Dwie dziewczyny rozstały się by go przepuścić. Po chwili nachyliły się do siebie i zaczęły plotkować, zerkając na mnie.

O mój Boże. Randka z litości. Mrugając szybko, wstrzymałam oddech, bo wzrok mi się jakoś dziwnie zamazał. po diabła, nie dość, że byłam nowa w szkole to jeszcze zostałam zaproszona na bal z litości! Mój tata podlizzał się szefowi, a ten kazał synowi na nie zaprosić.

- Jasna chochla - szepnęłam, zastanawiając się, czy rzeczywiście wszyscy się na mnie gapią, czy tylko mi się wydaje. Założyłam krótkie jasne pasemko włosów za ucho i cofnęłam się pod ścianę. Oparta o nią z założonymi rękami, udawałam, że za chwile Josh przyniesie mi coś do picia. Ale w środku umierałam.. Zostałam porzucona. Nie, zostałam porzucona przez kujona.

- Brawo, Madison - mruknęłam kwaśno, wyobrażając sobie plotki w poniedziałek. Zauważyłam Josha przy stole z jedzeniem: udawał, że mnie ignoruje. Starał się jednak nie robić tego zbyt ostentacyjnie. Gość w kostiumie marynarza - ten, który za nami łąził, mówił coś do niego. Nie wyglądał na jego kumpla, chociaż szarpał go za łokieć. Wskazywał na dziewczyny w sukienkach stanowczo zbyt głęboko wyciętych jak na akrobacje, które wyczyniały. Ale to, że go nie kojarzyłam, nie było znowu takie dziwne. W końcu wszystkich w tej budzie unikałam. Bo zwyczajnie nie byłam tu szczęśliwa i nie zamierzałam tego ukrywać.

Ani sportsmenka, ani kujonka - chociaż w domu należałam do kółka fotograficznego. Mimo wysiłków nie udało mi się dopasować do lalek Barbie. Nie byłam też gotykiem, mózgowcem, ćpunem. Nie należałam do tych dzieciaków, które bawiły się w naukowców, jak ich mamusię i tatusiowie w ośrodku badawczym. Nie pasowałam do żadnej grupy. *Poprawka*, pomyślałam, widząc, jak Josh i marynarz się śmieją. *Pasuję do suk*. Tamten chłopak i Josh zwrócili uwagę na inną grupkę dziewczyn, które chichotały. Kręcone kasztanowe włosy wystawały spod marynarskiej czapeczki, a biały kostium upodobił go do reszty chłopaków, przebranych za marynarzy. Był wysoki, a jego ruchy były pełne gracji. Wyglądał na starszego ode mnie, ale nie za bardzo - ostatecznie to był szkolny bal. *Nie muszę tu być*, pomyślałam nagle, odpychając się łokciami od ściany. Josh miał mnie odwieźć do domu, ale wiedziałam, że tata mnie odbierze, jeśli zadzwonię. Ruszyłam w stronę dwuskrzydłowych drzwi, klucząc w tłumie, ale nagle zwołniałam zaniepokojona. Tata zapytał, dlaczego Josh nie odwiózł mnie do domu. Wszystko się wyda. Wykład, że mam być miła i dopasować się do otoczenia jakoś bym zniosła, ale ten wstyd... Josh patrzył na mnie, kiedy zerknęłam w jego stronę. Jego towarzysz próbował ściągnąć jego uwagę, ale Josh wpatrywał się drwiąco we mnie.

Przełaza się czara goryczy. *Nie zadzwonię do ojca. I na pewno nie wsiądę z Joshem do samochodu. Pójdę pieszo. Całe osiem kilometrów. Na obcasach. W długiej bawełnianej sukience. W wilgotny kwietniowy wieczór. Ze ściśniętymi cyckami. Co straszniejszego może mi się przydarzyć? Bliskie spotkanie trzeciego stopnia ze zbiegłą krową?* Cholera, tęskniłam za moim samochodem.

- Tak trzymaj, dziewczyno - mruknęłam. Zgarnęłam sukienkę. Ruszyłam ze spuszczoną głową, potracając ramionami tańczących. Wynoszę się stąd. Ludzie będą gadać, ale mam to gdzieś. Nie potrzebuję przyjaciół. Są przereklamowani.

Muzyka zmieniła się, puścili coś szybkiego; uniosłam głowę, kiedy tłum zafalował, niezręcznie zmieniając rytm. Zatrzymałam się jak wryta, kiedy zdałam sobie sprawę, że zaraz na kogoś wpadnę.

- Sorki! - krzyknęłam i nagle zamarłam. *Do diabła, pan Seksowny Kapitan Pirat. Gdzie się chował przez ostatnie trzy tygodnie i czy tam, skąd pochodzi, jest ich więcej?*

Nie widziałam go nigdy wcześniej. Przez cały ten czas, kiedy tkwiłam w tym miasteczku. Pamiętałabym. I może trochę bardziej bym się wysiliła. Czerwieniąc się, puściłam sukienkę, by móc unieść rękę i zasłonić dekol. Boże. w tym staniku push - up czułam się jak angielska dziwka. Facet był ubrany w obcisły, czarny piracki kostium, na jego piersi błyszczał wisiorek z szarym kamieniem. Widziałam go pod rozpiętą koszulą. Maską w stylu Zorro zakrywała górną część twarzy. Jej szerokie jedwabne paski spływały mu na plecy razem z błyszczącymi puklami czarnych włosów. Był jakieś dziesięć centymetrów wyższy ode mnie. Po jego zgrabnej sylwetce ślizgały się wirujące dyskotekowe światła. A ja nie przestawałam się zastanawiać, gdzie do tej pory był.

Na pewno nie należał do orkiestry dętej ani nie chodził na lekcje wychowania obywatelskiego pani Fairel, pomyślałam.

- Ogromnie przepraszam - powiedział, biorąc mnie za rękę; zaparło mi dech, nie dlatego, że mnie dotknął, ale dlatego, że nie miał akcentu ze Środkowego Zachodu. Jego słowa brzmiały jak delikatne westchnienie, a ich staranny dobór świadczył o dobrym guście i wyrafinowaniu. Dźwięczał niczym kryształ i cichy śmiech - były jak kojący szum morskich fal, który tak często kołysał mnie do snu.

- Nie jesteś stąd. - Pochyliłam się w jego stronę, by lepiej słyszeć. Uśmiechnął się szerzej. Śniada skóra i czarne włosy były mi tak bliskie, tak znajome pośród białych twarzy i jasnych włosów, typowych dla tego więzienia, w którym się znalazłam.

- Jestem tu tymczasowo - powiedział. - Na szkolnej wymianie, można powiedzieć. Tak samo jak ty. - Spojrzał z pogardą na ludzi poruszających się wokół nas z mizernym poczuciem rytmu i jeszcze mniejszą oryginalnością. - Za dużo tu krów, nie sądzisz? Wybuchnęłam śmiechem, modląc się, by nie wyjść na bezmózgą lalę.

- Tak - zmusiłam go, żeby się pochylił, szepcząc mu do ucha. - Nie jestem na wymianie. Przeprowadziłam się z Florydy. Moja mama tam mieszka, na wybrzeżu. Teraz wylądowałam u ojca. I zgadzam się. Masz rację, tu jest okropnie. Ale ty przynajmniej wrócisz kiedyś do domu.

Gdzie jest twój dom, panie Seksowny Piracie?

Poczułam od niego znajomy zapach - jakby plaży po odpływie, wody z kanału portowego - to było jak wspomnienie. I choć dla niektórych te zapachy są nieprzyjemne, ja poczułam łzy pod powiekami. Za swoją starą szkołą. Tęskniłam za swoim samochodem. Tęskniłam za przyjaciółmi. Dlaczego mama aż tak się wściekła?

- Do domu. - Uśmiechnął się upajająco. Wysunął koniuszek języka, żeby zwilżyć usta. Wyprostował się. - Zejdźmy z parkietu. Przeszkadzamy im w... tańcu.

Moje serce zabiło mocniej. Nie miałam ochoty się stąd ruszać. Nie chciałam, by odszedł. Żeby ktoś go porwał.

- Zatańczysz? - zapytałam nerwowo. - Nie jestem przyzwyczajona do takiej muzy, ale ma niezły beat.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a moje serce zabiło szybciej. O Boże, chyba mu się podobam. Przytaknął, puszczając moją rękę. odsunął się o krok i zaczął się ruszać. Przez chwilę zapomniałam, że powinnam zrobić to samo, i tylko patrzyłam. Nie przesadzał z ekspresją. Nie, raczej wręcz przeciwnie - jego powolne ruchy robiły o wiele większe wrażenie, niż gdyby porywał mnie w szalone obroty. Widząc, że się przyglądam, uśmiechnął się zza swojej tajemniczej maski, spod której wyzierały szaroniebieskie oczy, i wyciągnął rękę, zapraszając, żebym się przyłączyła. Wzięłam oddech, wsunęłam palce w jego ciepłą dłoń i pozwoliłam się poprowadzić.

Muzyka była ramą, w której obrębie się poruszał, a ja zagubiłam się zupełnie, próbując się dopasować do jego kroków. Kołysaliśmy się powoli. Rozluźniłam się i po prostu tańczyłam; było mi łatwiej, kiedy o tym nie myślałam. Czułam każde poruszenie bioder i ramion - i zaczęło we mnie narastać podniecenie.

Wszyscy dookoła wykonywali ostre, szarpiące ruchy, ale my poruszaliśmy się niespiesznie; odległość między nami się zmniejszała. Nasze spojrzenia spotykały się coraz częściej i częściej. Dałam się porwać rytmowi muzyki, moje serce biło wraz z jej rytmem.

- Nazywam się Seth - powiedział i niemal popsuł tę chwilę. Nagle jego ręka objęła mnie w pasie. Oparłam się o niego. O tak. Teraz było o wiele lepiej.

- Madison - odparłam; to było całkiem przyjemne tańczyć wolniej niż inni. Ale muzyka była szybka, uderzenia basów pobudziły krew w moich żyłach. Te dwie skrajności sprawiały, że nasz taniec wydawał się jeszcze bardziej śmiały. - Nie widziałam cię w szkole. Jesteś w ostatniej klasie?

Palce Setha zeszytniały na cienkiej bawełnie sukienki, a może po prostu przyciągał mnie jeszcze bliżej.

- Jestem najlepszy w swojej klasie - pochwalił się, pochylając się do mnie, żeby nie musieć krzyczeć.

Kolorowe światła spływały po jego postaci. Kręciło się mi w głowie. Josh mógł się wypchać. Właśnie tak powinien wyglądać mój szkolny bal.

- No to wszystko jasne - mruknęłam, odchylając głowę do tyłu, by spojrzeć mu w

twarz. Wciąż próbowałam go umiejscowić. - Ja jestem w drugiej.

Uśmiechnął się, a ja poczułam się mała i bezpieczna w jego ramionach. Zdałam sobie sprawę, że ludzie się na nas gapią i zwalniają. Miałam nadzieję, że Josh też patrzy. Sucz, co? Ja ci dam sucz.

Wysunęłam podbródek i odważyłam się przyciągnąć Setha jeszcze bliżej; nasze ciała dotykały się i znów rozdzielały. Serce biło mi gwałtownie i chciałam zranić Josha. Chciałam, żeby jutro to o nim wszyscy plotkowali, jakim był idiotą, że mnie zostawił. Chciałam... Dłonie Setha spoczęły lekko na mojej talii; pozwalał mi tańczyć, więc dałam się ponieść. Moje ruchy były zmysłowe; tubylcy w życiu nie widzieli czegoś takiego, chyba że w telewizji. Moje wargi drgnęły w uśmiechu, kiedy zobaczyłam Josha i tego marynarza. Jego twarz była biała z wściekłości, a mnie ogarnęła złośliwa satysfakcja.

- Chcesz zrobić mu na złość? - zapytał smutno Seth. Spojrzałam w jego oczy. - Zranił cię. - Jego śniada dłoń dotknęła mojego podbródka. Poczułam mrowienie na skórze. - Pokaż mu, co stracił. Kiwnęłam głową.

Seth zatrzymał się z gracją i pociągnął mnie do siebie płynnym gestem. Zamierzał mnie pocałować. Czułam to w każdym jego ruchu. Z łomoczącym sercem uniosłam twarz na spotkanie jego warg, czując, jak miękną mi kolana. Wszystko zwolniło. Zamknęłam oczy i zaczęłam się kołysać. Całowałam go.

Ogarnęła mnie fala żaru, przenikała moje ciało. Objęcia Setha stawały się coraz ciaśniejsze. Nikt nigdy nie całował mnie w taki sposób. Bałam się odetchnąć, przerażona, że wszystko zepsuję. Trzymałam go w pasie, a on obejmował mnie mocno, jakbym miała upaść. Smakował drzewnym dymem. Miałam ochotę na więcej, ale - rany - nie byłam taka głupia. Z gardła Setha wydobył się niski pomruk. Jego dłonie zacisnęły się mocniej, a ja poczułam przyływ adrenaliny. Pocałunek się zmienił.

Wystraszona oderwałam się od niego, bez tchu, ale oszołomiona. Seth patrzył na mnie z lekkim rozbawieniem, że się wycofałam.

- To tylko gra - uspokoił mnie. - Już wiesz, że nie jest wart, żeby przez niego cierpieć.

Zamrugałam. Światła wirowały dziko. Muzyka grała dalej, głośna i nietknięta naszym pocałunkiem. Wszystko było inne, ale to tylko ja się zmieniłam. Z trudem oderwałam wzrok od Setha, wciąż trzymając go w pasie, żeby nie stracić równowagi. Josh miał na policzkach czerwone plamy i wyglądał na wściekłego. Posłałam mu spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Chodźmy. - Wzięłam Setha pod rękę. Nie sądziłam, żeby ktokolwiek jeszcze chciał się ze mnie wyśmiewać. Nie po tym pocałunku.

Pewna siebie ruszyłam naprzód z Sethem u boku. Ludzie rozstępowali się przed nami i

poczułam się jak królowa. Choć muzyka grała w najlepsze, wszyscy patrzyli na nas, gdy szliśmy w stronę dwuskrzydłowych drzwi oklejonych papierem i pomalowanych tak, by wyglądały jak dębowe wrota zamku.

Plebejusze, pomyślałam, kiedy Seth otworzył przede mną drzwi. Poczułam chłodniejsze powietrze na korytarzu. Drzwi zamknęły się za nami, muzyka przycichła. Zwolniłam i zatrzymałam się, stukając obcasami po płytkach. Pod ścianą stał stół nakryty papierowym obrusem; siedziała przy nim zmęczona kobieta sprawdzająca wejściówki. Dalej, przy głównym wejściu, sterczało trzech chłopaków. Wspomnienie naszego pocałunku nagle mnie zaniepokoiło. *Ten facet jest boski. Dlaczego jest ze mną?* - pomyślałam.

- Dziękuję - wymamrotałam, odwracając wzrok. Nagle zaczerwieniłam się, przecież mógł sobie pomyśleć, że dziękuję za pocałunek. - To znaczy, dziękuję, że wyszłam stamtąd z twarzą - dodałam, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

- Widziałem, co zrobił. - Seth pociągnął mnie korytarzem w stronę drzwi prowadzących na parking, z daleka od wszystkich. - Miałaś do wyboru to albo oblać go ponczem. Ale... - Zawiesił głos, dopóki nie spojrzałam na niego. - ...to nie w twoim stylu. Wolisz bardziej subtelną zemstę. Uśmiechnęłam się rozanielona, ale nic nie mogłam na to poradzić.

- Naprawdę tak myślisz? Kiwnął głową. Zachowywał się, jakby był o wiele starszy, niż wskazywał jego wygląd.

- Kto cię odwiezie do domu?

Zatrzymałam się jak wryta, a on zrobił jeszcze krok i odwrócił się, spoglądając na mnie zaniepokojonym wzrokiem. W korytarzu było chłodno, więc uznałam, że to stąd ten nagły dreszcz.

- Przepraszam - powiedział, mrugając. Nie zrobił ruchu w moją stronę. - Nie chciałem... Zostanę z tobą, dopóki ktoś po ciebie nie przyjedzie. Przecież mnie w ogóle nie znasz.

- Nie, nie chodzi o to - rzuciłam pospiesznie zawstydzona tym swoim brakiem zaufania. Obejrzałam się na kobietę siedzącą przy drzwiach do sali gimnastycznej. Obserwowała nas bez zainteresowania. - Powinnam tylko zadzwonić do taty. Powiedzieć mu, z kim wracam. Seth uśmiechnął się, pokazując białe zęby.

- Oczywiście.

Zaczęłam grzebać w torebce, którą dostałam razem z sukienką. Seth odsunął się parę kroków, kiedy wyjęłam telefon i nerwowo wybrałam domowy numer. Tata nie odebrał. Oboje odwróciliśmy głowy, słysząc otwierające się drzwi od sali gimnastycznej. Gdy zobaczyłam

Josh, zacisnęłam zęby. Zgłosiła się sekretarka automatyczna, więc powiedziałam pośpiesznie:

- Cześć, tato. Tu Madison. - A niby kto. - Jadę do domu z Sethem... - Spojrzałam na niego, pytając wzrokiem o nazwisko.

- Adamsonem - odparł cicho, nie odrywając od Josha oczu. *Rany, ależ miał śliczne oczy. I długie, gęste rzęsy.*

- Z Sethem Adamsonem - dokończyłam. - Josh okazał się palantem. Będę w domu za parę minut, okej? - Ale tata niewiele miał do powiedzenia, skoro tak naprawdę wcale go tam nie było. Oczekałam chwilę, jakbym słuchała odpowiedzi, i dodałam:

- Tak, wszystko w porządku. Po prostu jest palantem i tyle. Do zobaczenia. Zadowolona zamknęłam telefon i schowałam go. Gdy wzięłam Seta pod rękę i ruszyłam z nim do tylnych drzwi, Josh dogonił nas.

- Madison... - Był zły.

- Cześć, Josh! - rzuciłam wesoło, choć byłam spięta, kiedy zrównał ze mną krok. Nie patrzyłam na niego, bo czułam, że znów się czerwienię. - Mam już transport do domu. Dzięki.

- Za nic, dodałam w duchu, wciąż wściekła na niego. A może na tatę, że mnie tak urządził.

- Madison, zaczekaj.

Chwycił mnie za łokieć, więc odwróciłam się do niego i stanęłam. Josh odsunął się i mnie puścił.

- Jesteś palantem - powiedziałam, obrzucając wzrokiem jego kostium, który teraz wydawał mi się żaloszny. - I nikt nie będzie się ze mną umawiał z litości. Możesz już iść - złagodziłam na poczekaniu swoje słowa, nie chcąc, by Seth pomyślał, że klnę jak szewc. Josh złapał mnie za nadgarstek i pociągnął do siebie.

- Posłuchaj. - Lęk w jego oczach powstrzymał protest. - Nigdy wcześniej nie widziałem tego gościa. Nie bądź głupia. Zawiozę cię do domu. Możesz mówić znajomym, co chcesz. Nie mam nic przeciwko temu.

Spróbowałam sapnąć z urazą, ale gorset nie pozwolił mi nabrać dość powietrza, więc tylko wysunęłam podbródek. Wiedział, że nie mam żadnych znajomych.

- Zadzwoiłam do taty. Nic mi nie będzie - rzuciłam, zerkając przez jego ramię na tego wysokiego chłopaka w kostiumie marynarza, który oczywiście wyszedł za Joshem z sali. Ale Josh nie puszczał. Zirytowana wykręciłam rękę, a kiedy sięgnęłam, by złapać go za nadgarstek chwytem samoobrony, puścił, jakby mnie wyczuł. Zrobił krok w tył.

- W takim razie pojedę za wami - zdecydował, zerkając na Seta.

- Jak chcesz - odparłam i odgarnęłam włosy. Może ten Josh nie jest taki zły? - Seth,

stoisz na parkingu?

Seth podszedł do mnie. Obok pospolitego Josha wydawał się wcieleniem gracji i wyrafinowania.

- Tędy, Madison. - Wydało mi się, że dostrzegłam błysk triumfu w jego oczach, kiedy brat mnie pod rękę. I nic dziwnego. Najwyraźniej przyszedł na bal sam, a teraz to Josh wychodził solo.

Z rozmysłem stukając obcasami, by podkreślić swoją kobiecość, ruszyłam z Sethem w stronę drzwi. W tej strojnej sukience czułam się elegancka, a Seth wyglądał fantastycznie. Josh i jego milczący kolega wlekli się za nami jak statysci w hollywoodzkim filmie. Seth przytrzymał mi wahadłowe drzwi, zostawiając tamtych dwóch, by radzili sobie z nimi sami. Powietrze było chłodne i pożałowałam, że nie wyciągnęłam od taty dodatkowej pięćdziesiątki, żeby kupić sobie szal pasujący do sukienki. Byłam ciekawa, czy Seth zaproponowałby mi swoją marynarkę, gdybym się poskarżyła, że mi zimno. Księżyc skrył się za chmurami. Gdy szliśmy po schodach, słyszałam za sobą Josha mówiącego coś po cichu do kumpla szyderczym tonem. Zacisnęłam zęby i poszłam za Sethem do czarnego samochodu zaparkowanego niezgodnie z przepisami przy krawężniku. Był to kabriolet, z otwartym dachem; nic nie mogłam poradzić na to, że uśmiechnęłam się szerzej. Może moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę, zanim odwiezie mnie do domu. Co tam zimno - chciałam, żeby wszyscy zobaczyli mnie w tym samochodzie, obok Setha, z rozwianymi włosami i muzyką na maksa. Założę się, że słucha świetnej muzy.

- Madison... - powiedział Seth zapraszająco, otwierając przede mną drzwiczki. Byłam zażenowana, ale jednocześnie czułam się wyróżniona, gdy usadawiałam się w niskim fotelu. Seth poczekał, aż ułożyłam sukienkę, i delikatnie zamknął drzwi. Zapięłam pas, a on przeszedł na drugą stronę auta. Czarny lakier błyszczał w słabym świetle latarni; przeciągnęłam palcem po gładkiej powierzchni i zauważyłam z zadowoleniem, że Josh biegnie truchtem do swojego samochodu.

Trochę się wystraszyłam, gdy Seth nagle pojawił się za kierownicą; nie słyszałam, żeby otwierał drzwi. Zapalił silnik, którego pomruk bardzo mi się spodobał. Włączył się odtwarzacz, z głośników popłynęło coś agresywnego. Wokal nie był po angielsku, ale to tylko dodawało klimatu. Reflektory auta Josha zapaliły się i wyjechaliśmy na ulicę. Seth prowadził jedną ręką.

Puls mi przyspieszył, kiedy spojrzałam na niego w przyćmionym świetle. Chłodne powietrze jakby zgęstniało, kiedy nabraliśmy szybkości, wiatr rozwiał mi włosy.

- Mieszkam na południe stąd - powiedziałam, gdy dojechaliśmy do głównej drogi.

Seth skrzył we właściwą stronę. Auto Josha jechało za nami. Usadawiłam się wygodniej, żałując, że Seth nie zaproponował mi marynarki. Ale od kiedy wsiadłam do samochodu, nie odezwał się słowem i nie spozrzał na mnie. Przedtem był wcieleniem zadowolenia i pewności siebie. Teraz wyczuwałam w nim... oczekiwanie? I choć nie wiedziałam dlaczego, do mojego serca zaczął się zakradać niepokój. Jakby wyczuwając to, Seth odwrócił głowę, prowadził nie patrząc na czarną drogę.

- Za późno - wyszeptał, a ja poczułam, że blednę. - Łatwizna. Mówiłem im, że to będzie łatwe, jesteś taka młoda i głupia. Prawie niewarta wysiłku. A już z pewnością nie miałem z tego żadnej przyjemności. Zaszło mi w ustach.

- Słucham?

Seth zerknął na drogę i znów na mnie. Samochód przyspieszył, a ja złapałam uchwyt drzwi, odsuwając się jak najdalej od Seta.

- To nic osobistego, Madison. Jesteś tylko nazwiskiem na liście. Czy raczej duszą do odstrzału. Ważnym nazwiskiem, ale mimo to niczym więcej. Mówili, że to niewykonalne, a teraz będziesz moją przepustką do wyższego kręgu. Ty i twoje mizerne życie, które się nie wydarzy. Co jest grane, do diabła?

- Josh - powiedziałam, odwracając się w stronę reflektorów, które oddalały się coraz bardziej, w miarę jak Seth nabierał prędkości - jedzie za nami. Mój tata wie, gdzie jestem.

Seth uśmiechnął się, a ja zadrżałam, kiedy jego zęby zabłyśły w blasku księżyca. Wszystko inne tonęło w cieniu, wszystkie dźwięki umykały w szumie wiatru.

- Myślisz, że to coś zmieni? *O Boże. Ale wdepnęłam.* Mój żołądek zwinął się w supeł.

- Zatrzymaj samochód - zażądałam stanowczo, jedną ręką ściskając uchwyt, a drugą przytrzymując włosy, które rozwiewał wiatr. - Zatrzymaj samochód i wypuść mnie. Nie możesz zrobić czegoś takiego. Ludzie wiedzą, gdzie jestem! Zatrzymaj samochód!

- Zatrzymać samochód? - spytał ze złośliwym uśmiechem. - Zatrzymam samochód. Przesunął stopę, wdepnął hamulec i gwałtownie skrzył kierownicę. Wrzasnęłam, chwytając się, czego popadnie. Świat zawirował. Krzyk zamarł mi w gardle i ogarnęło mnie dziwne uczucie, że jest za głośno, a jednocześnie przestało trząść. Nie byliśmy już na drodze. Wpadłam w panikę, gdy dotarło do mnie, że samochód obraca się w powietrzu. Cholera. To kabriolet.

Pochyliłam się, splotłam dłonie z tyłu głowy i zaczęłam się modlić. Wstrząsnęło mną uderzenie i wszystko zrobiło się czarne. Potężna siła pozbawiła mnie powietrza z płuc. Chyba byłam do góry nogami. Nagle szarpnęło mną w drugą stronę. Czarne niebo poszarzało; chwyciłam oddech, a samochód przekrzył się jeszcze raz, staczając się ze skarpy. Niebo

znów poczerniało i górna część samochodu walnęła o ziemię.

- Nie! - jęknęłam bezradna, kiedy wóz zatrzymał się wreszcie na kotach. Szarpnęło mną do przodu. Potworny ból przeszył moje plecy.

Było cicho. Oddychanie bolało. Boże, wszystko mnie bolało; oddychając płytko, gapiłam się na strzaskaną przednią szybę. Rozbite szkło połyskiwało w świetle księżyca, gdy powiodłam wzrokiem po zębatej linii w stronę deski rozdzielczej. Seta nie było. Bolały mnie wnętrzności. Nie widziałam krwi, ale chyba coś mi pękło w środku. *Żyłam?*

- Madison! - przez mój chrapliwy oddech usłyszałam wołanie z oddali. - Madison! To był Josh. Zmusiłam się, by spojrzeć w dwie okrągłe plamy światła na szczycie skarpy. Po zboczu zsuwała się ciemna postać. Josh.

Nabrałam powietrza, by go zawołać. Jęknęłam, kiedy ktoś chwycił mnie za głowę i odwrócił ją w swoją stronę.

- Seth? - szepnęłam. Wyglądało na to, że jest nietknięty, kiedy tak stał obok samochodu, przy moich drzwiach, w swoim czarnym jedwabnym kostiumie pirata. Księżyc oświetlał jego oczy i wisiorek, nadając im szary blask.

- Jeszcze żyjesz - stwierdził obojętnie, a z moich oczu popłynęły łzy. Nie mogłam się ruszyć. Wszystko mnie bolało, więc chyba nie byłam sparaliżowana. Do diabła, co za koszmarne urodziny. Tata mnie zabije.

- Boli - wydusiłam żalonym głosem, po czym pomyślałam: *co za głupota.*

- *Nie mam na to czasu* - zbył mnie Seth, wyraźnie zirytowany.

Otworzyłam szerzej oczy, ale nie ruszyłam się, kiedy z fałd kostiumu wyciągnął krótkie ostrze. Próbowałam krzyknąć, ale zabrakło mi tchu, gdy zamachnął się, jakby chciał mnie ugodzić. Księżyc błysnął na ostrzu, czerwonym od krwi kogoś innego. Fantastycznie. Psychopata. Wyszedłam z balu z mordercą psychopatą. Specjalnie ich wybieram czy co?

- Nie! - pisnęłam i zdołałam unieść ręce, ale ostrze przeszło mnie, nie robiąc mi krzywdy. Spojrzałam na swój brzuch, nie wierząc, że nawet nie jestem draśnięta. Sukienka nie była rozdarta, krew nie płynęła, ale przecież wiedziałam, że ostrze przeszło przeze mnie. Przeze mnie i przez samochód. Nic nie rozumiejąc, wpatrywałam się w Seta, który stał z nożem w ręce.

- Co... - spróbowałam zapytać, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że nic mnie już nie boli. Ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Seth uniósł pogardliwie brwi. Oslupiałam, kiedy poczułam pierwsze muśnięcie nicości, jednocześnie nowe i znajome jak dawno utracone wspomnienie.

Prerażające uczucie nieobecności załęgło się we mnie, zmrażając każdą myśl. Miękki

i puchaty koc nicości otulał mój świat, zaczynając od brzegów i wędrując do centrum, pochłonał najpierw księżyc, noc, potem moje ciało i wreszcie samochód. Krzyki Josha tonęły w cichym szmerze. Zostały tylko srebrne oczy Setna. A on odwrócił się i odszedł.

- Madison! - usłyszałam słaby krzyk, poczułam dotyk na policzku. A potem nawet to się rozplynęło, nie było już niczego.

2

Mgła nicości zsuwała się powoli, ustępując miejsca seriom bolesnych dreszczy. W pobliżu ktoś się kłócił. Było mi niedobrze, nie dlatego, że bolały mnie plecy i że ledwie mogłam oddychać, ale od strachu przed tymi głosami. Niemal czułam zapach zakurzonego futerka mojego pluszowego króliczka, jak wtedy, kiedy leżałam zwinięta w kłębek i słuchałam, jak ludzie, którzy byli całym moim światem, do mnie mówią. Byłam przerażona.

Owszem, zapewniali, że to nie moja wina, ale to nie złagodziło mojej rozpacz. Rozpacz, którą musiałam zdusić, aż stała się częścią mnie. Bólu, który do mnie przylgnął. Płacz w objęciach mamy świadczyłby o tym, że kocham ją bardziej. Łkanie na ramieniu taty - że to on jest najukochańszy. Przechlapane dorastać w taki sposób.

Ale to... to nie byli rodzice. To brzmiało jak kłótnia dzieciaków.

Zaczerpnęłam powietrza i przekonałam się, że łatwiej mi oddychać. Resztką mgły zniknęła razem z mrowieniem i moje płuca poruszyły się, obolałe, jakby ktoś na nich siedział. Gdy zdałam sobie sprawę, że mam zamknięte oczy, otworzyłam je i zobaczyłam coś zamazanego i czarnego przed samym nosem. Czułam mocny plastikowy zapach.

- Miała szesnaście lat, kiedy wsiadła do tego samochodu. To twoja wina - usłyszałam rozzłoszczony głos, młody, ale męski. Był dziwnie przytłumiony. Odnosiłam wrażenie, że ta kłótnia trwa już od jakiegoś czasu, ale pamiętałam tylko jej strzępy zaplątane między niespokojne myśli.

- Nie zwalisz tego na mnie - wtrąciła dziewczyna, równie cicho i z równą determinacją. - Kiedy zdmuchnął jej świecę, miała siedemnaście. To ty nawaliłeś, nie ja. Niech cię Bóg ma w opiece, miałeś ją tuż przed nosem! Jak mogłeś tego nie zauważyć?

- Nie zauważyłem, bo nie miała siedemnastu lat! - odpalił. - Kiedy ją namierzył, miała szesnaście. Skąd miałem wiedzieć, że wziął ją na cel? Dlaczego ciebie tam nie było? Nawaliłaś na całej linii.

Dziewczyna krzyknęła cicho, urażona. Było mi zimno. Gdy wzięłam głębszy oddech, poczułam przypływ siły. Coraz bardziej bolało. Było mi tu duszno, oddech wracał do mnie

cieplą falą. Nie było ciemno, to ja byłam w czymś.

- Ty mała szczeżujo! - wypaliła dziewczyna. - Nie mów mi, że to ja zawałam. Zmarła jako siedemnastolatka. To dlatego mnie przy tym nie było. Nie zostałam zawiadomiona. Ale ja się nie zajmuję szesnastolatkami - odparł on, coraz bardziej ostrym głosem. - Myślałem, że on chce zdmuchnąć tego chłopaka. Nagle zrozumiałam, że czarne, zamazane coś, utrudniające oddech, to plastikowa płachta. Poderwałam ręce i w przypiływie strachu przebiłam przez nią palce. Usiadłam spanikowana. Jestem na stole? Z pewnością to coś pode mną było wystarczająco twarde, by być stołem. Zrzuciłam z siebie plastik. Przy brudnobiałych wahadłowych drzwiach stała dwójka dzieciaków. Oboje odwrócili się zaskoczeni. Błada twarz dziewczyny poczerwieniała, a chłopak cofnął się, jakby zawstydzony, że przyłapałam ich na kłótni.

- O! - Dziewczyna odrzuciła za plecy długi ciemny warkocz. - Wstałaś. Cześć, jestem Lucy, a to jest Barnaba. Chłopak spuścił wzrok i pomachał, zażenowany.

- Cześć - powiedział. - Jak się masz?

- Ty byłeś z Joshem. - Wskazałam na niego drżącym palcem. Kiwnął głową, wciąż nie patrzył na mnie. Jego kostium marynarski wyglądał dziwnie przy szortach i koszulce na ramiączkach dziewczyny. Oboje mieli na szyjach wisiorki z czarnymi kamieniami. Kamyki były nijakie i nie rzucały się w oczy, ale moje spojrzenie powędrowało ku nim, bo były jedynym elementem wspólnym dla tej dwójki. Nie licząc ich wzajemnego gniewu i zaskoczenia na mój widok.

- Gdzie ja jestem? - zapytałam. Barnaba skrzywił się i zaszurał nogami po płytkach. - Gdzie jest Josh? - Zawahałam się, bo dotarło do mnie, że jestem w szpitalu, ale... Zaraz. Czy ja leżałam w plastikowym worku? - Jestem w kostnicy? Szamocząc się dziko, wyciągnęłam nogi z worka i zeskoczyłam na podłogę; obcasy wystukały dziwny kontrapunkt, kiedy złapałam równowagę. Na gumce wokół nadgarstka miałam plakietkę z nazwiskiem. Zdarłam ją z ręki, wrywając przy okazji parę włosków. Spódnica była rozdarta i poplamiona czymś gęstym i tłustym. Byłam oblepiona błotem i trawą. Śmierdziałam polem i środkiem antyseptycznym. No tak. Mogę się pożegnać z depozytem.

- Ktoś popełnił błąd. - Wepchnęłam plakietkę do kieszeni. Lucy prychnęła.

- Barnaba - powiedziała. Chłopak zeszywniał.

- To nie jest moja wina! - wykrzyknął, odwracając się do niej. - Miała szesnaście lat, kiedy wsiadła do tego samochodu. Ja się nie zajmuję szesnastkami! Skąd miałem wiedzieć, że to jej urodziny?

- Tak? Miała siedemnaście, kiedy umarła, więc to twój problem! *Umarła? Czy oni są*

ślepi?

- Wiecie co? - wysyczałam, coraz pewniej stojąc na nogach. - Możecie się klócić, dopóki słońce nie zmieni się w supernową, ale ja muszę znaleźć kogoś i powiedzieć, że nic mi nie jest. - Ruszyłam do brudnych dwuskrzydłowych drzwi.

- Madison, zaczekaj - szepnął chłopak. - Nie możesz.

- No to patrz - odparłam. - Tata będzie na kogoś strasznie wkurzony. Przeszłam obok nich, ale kiedy pokonałam z sześć metrów, zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego. Zakręciło mi się w głowie, więc oparłam się o pusty stół; ogarnęło mnie dziwaczne wrażenie. Dopadło mnie znikąd. Poczułam skurcz w dłoni spoczywającej na stole, więc poderwałam ją, jakbym się oparzyła; miałam wrażenie, że zimny metal dotyka moich kości. Czułam się... niepewnie. Pomruk wentylacji przycichł. Nawet bicie mojego serca stało się jakieś odległe. Odwróciłam się i przyłożyłam dłoń do piersi, chcąc, by przestała być taka dziwna. - Co... Barnaba, stojący na drugim końcu pomieszczenia, wzruszył chudymi ramionami.

- Nie żyjesz, Madison. Sorry. Kiedy oddalasz się za bardzo od naszych amuletów, zaczynasz tracić cielesność.

Wskazał wózek, na którym leżałam przedtem. Spojrzałam.

Straciłam dech. Kolana ugięły się pode mną i nieomal upadłam. Wciąż tam byłam. Wciąż byłam na tym wózku. Leżałam w podartym worku, o wiele za mała i za blada, w wykwintnej sukni ułożonej wokół mnie. Jestem martwa? Ale przecież czuję bicie serca. Moje nogi i ręce osłabły i zaczęłam się osuwać. Głowa opadła mi bezwładnie.

- Cudownie. Mdleje - rzuciła sucho dziewczyna.

Barnaba rzucił się przed siebie, żeby mnie złapać. Jego ramiona objęły mnie w talii, i gdy tylko mnie dotknął, wszystko wróciło gwałtownie: dźwięki, zapachy, nawet puls. Moje powieki zatrzepotały. Barnaba był tuż. Z tak bliska wydawało mi się, że czuję od niego zapach słoneczników.

- Zamknij się, co? - warknął do Lucy, powoli opuszczając mnie na podłogę. - Okaż trochę współczucia. To twój zawód.

Zimno podłogi wsączało się we mnie, ale jednocześnie jakby otrzeźwiło. *Jak to możliwe, że nie żyję? Czy, zmarli mdleją?*

- Ja nie jestem martwa - powiedziałam niepewnie. Barnaba pomógł mi usiąść i oprzeć się plecami o nogę stołu.

- Owszem, jesteś. - Kucnął koło mnie. Jego brązowe oczy były pełne troski. Szczere. - Naprawdę bardzo mi przykro. Myślałem, że on przyszedł zdmuchnąć Josha. Oni zwykle nie zostawiają po sobie dowodów, takich jak samochód. Musiało im naprawdę na tobie zależeć.

Moje myśli pomknęły do wypadku. Położyłam dłoń na brzuchu. Josh był przy tym.

- On myśli, że nie żyję. Josh, znaczy. Z drugiego końca sali dobiegły kwaśne słowa Lucy:

- Bo nie żyjesz. Spojrzałam na wózek, ale Barnaba przesunął się, żeby zasłonić mi widok.

- Kim jesteście? - zapytałam. Mdłości powoli ustępowały. Barnaba wstał.

- Jesteśmy Komórką Ochrony Strategicznej Tragicznie Umierających. Centrum Heurystyki i Analizy.

Zastanowiłam się nad tym - *Komórka Ochrony Strategicznej... KOSTUCHA?* Jasna cholera. Poczułam przyływ adrenaliny. Pozbierałam się z podłogi, nie odrywając wzroku od mojego ciała na wózku - Przecież jestem tutaj! Żyję!

- Jesteście zniwiarzami ciemności! - wykrzyknęłam, po omacku wycofując się za stół, żeby się od nich odgradzić. Zaczęły mi drętwieć palce nóg, więc się zatrzymałam, spoglądając w panice na amulet na szyi Barnaby. - O Boże, ja nie żyję? - szepnęłam. - Nie mogę nie żyć. Nie jestem na to gotowa. Jeszcze nie skończyłam! Mam dopiero siedemnaście lat!

- Nie jesteśmy zniwiarzami ciemności. - Lucy założyła ręce obrażona, jakby ją to ubodło. - My jesteśmy zniwiarzami światła. Zniwiarze ciemności zabijają ludzi, zanim przyjdzie czas, by ich świeca została zdmuchnięta. My próbujemy was ratować. A poza tym tamci to zdradzieckie kanalie, które za bardzo się chwala. Ale nie przetrwają dość długo, żeby zobaczyć, jak słońce na powrót zmienia się w pył. Barnaba zrobił zawstydzoną minę i znów zaszurał nogami.

- Zniwiarze ciemności pracują dla... drugiej strony. Rzadko zdmuchują świece, bo nie pozwalają im na to czarni zniwiarze, ale jeśli gdzieś dochodzi do nagłej tragedii z licznymi ofiarami, można mieć pewność, że się zjawia, żeby wyłapać parę dusz. To klusownicy. Zero klasy.

To ostatnie stwierdzenie wypowiedział z goryczą, zastanowiła mnie ta rywalizacja. Zaczęłam się cofać, ale znów poczułam się niepewnie. Zerkając na ich amulety, przesunęłam się do przodu, aż to dziwne uczucie zniknęło.

- Zabijacie ludzi. Tak powiedział Seth. Mówił coś o odstrzale dusz! Robicie to! Barnaba potarł dłonią kark.

- No więc my nie. Przeważnie. - Spojrzał na Lucy. - Seth jest zniwiarzem ciemności. My pokazujemy się tylko wtedy, kiedy namierzą kogoś, a jego czas jeszcze nie nadszedł, albo kiedy zajdzie pomyłka.

- Pomyłka? - Poderwałam głowę, pełna nadziei. *Czy to znaczyło, że mogą mnie odesłać z powrotem?* Lucy podeszła bliżej.

- Widzisz, ty nie miałaś umrzeć. Żniwiarz ciemności zdmuchnął twoją świecę, zanim przyszedł twój czas. Naszym zadaniem jest zapobieganie temu, ale czasem nam się nie udaje. Przyszliśmy tutaj oficjalnie cię przeprosić i odesłać tam, dokąd się wybierasz. - Zmarszczyła brwi i spojrzała na Barnabę. - I kiedy tylko on przyzna, że to była jego wina, będę mogła się stąd wynieść. Zesztywniałam. Nie chciałam więcej patrzeć na moje ciało na wózku.

- Nigdzie się nie wybieram. Jeśli popełniliście błąd, nie ma sprawy. Po prostu ożywcie mnie z powrotem! Jestem tam. - Podeszłam przerażona do nieprzytomności. - Przecież możecie, prawda? Barnaba się skrzywił.

- Trochę na to za późno. Wszyscy już wiedzą, że nie żyjesz.

- Nie obchodzi mnie to! - krzyknęłam. Nagle coś mi przyszło do głowy i zmroziło mnie totalnie. Tata. On myśli, że ja... - Tata... - szepnęłam spanikowana. Zaczepnęłam powietrza, odwróciłam się do dwuskrzydłowych drzwi i ruszyłam biegiem.

- Czeka! Madison! - krzyknął Barnaba, ale ja wpadłam z impetem na drzwi i przebiegłam przez nie, choć uchyliły się ledwie na kilka centymetrów. Byłam w sąsiednim pomieszczeniu. Jakbym przeniknęła przez nie. Jakby mnie w ogóle nie było.

Za biurkiem siedział otyły gość, który uniósł głowę, słysząc cichutkie skrzypnięcie drzwi. Jego małe świńskie oczka powiększyły się i zachłysnął się powietrzem. Z otwartymi ustami wskazał na mnie palcem.

- Zaszła pomyłka - wypaliłam, idąc do otwartego przejścia prowadzącego na ciemnawy korytarz. - Ja nie jestem martwa.

Ale znów czułam się dziwnie. Mglista i cienka. Rozciągnięta. Dźwięki nie brzmiały tak, jak powinny, a brzegi mojego pola widzenia zaczęła zasnuwać szarość, zmieniając je w tunel. Barnaba wyszedł za mną przez drzwi. Świat natychmiast znormalniał. To rzeczywiście amulet nadawał mi cielesność. Musiałam sobie taki załatwić.

- Owszem, jest - powiedział, nie zwalniając kroku, dopóki nie chwycił mnie za nadgarstek.

- Masz halucynacje. Jej tu tak naprawdę nie ma. Ani mnie.

- Skąd się tu wzięliście? - wydusił facet, gapiąc się na nas. - Jak tu weszliście? Do recepcji wpadła Lucy, sprężynowe drzwi huknęły o ścianę, aż facet podskoczył.

- Madison, przestań się zachowywać jak zołza. Musisz już iść. Tego było technikowi za wiele. Sięgnął po słuchawkę. Wykręciłam nadgarstek, ale Barnaba nie puszczał.

- Muszę porozmawiać z tatą! - krzyknęłam, tracąc równowagę, kiedy szarpnął mnie

mocno.

- Wychodzimy - rozkazał. Groźba w jego oczach była czymś nowym. - W tej chwili. Spanikowana z całej siły nadepnęłam mu na stopę. Barnaba zawył i puścił mnie, jego chude ciało zgięło się wpół. Lucy wyśmiała go, a ja rzuciłam się w stronę korytarza. *Spróbujcie mnie zatrzymać*, pomyślałam, ale nagle wpadłam na coś dużego, ciepłego i pachnącego jedwabiem. Cofnęłam się i ogarnęło mnie przerażenie, gdy zobaczyłam, że to Seth, który zabił mnie nożem, nie zostawiając śladu, kiedy wypadek nie dokonał dzieła. Był żniwiarzem ciemności. Był moją śmiercią.

- Dlaczego jest was dwoje? - zapytał, patrząc na Barnabę i Lucy. Dźwięk jego głosu był znajomy, ale ton zupełnie inny. A bijący od niego zapach morza teraz wydawał się zgniły. - No tak - dodał, znów spoglądając na mnie. Zadrżałam. - Umarłaś w rocznicę swoich narodzin. Dwoje żniwiarzy. Proszę, proszę, Madison, wiesz, jak zrobić zamieszanie wokół siebie. Cieszę się, że wstałaś. Pora iść. Cofnęłam się skulona i przestraszona.

- Nie dotykaj mnie.

- Madison! - krzyknął Barnaba. - Uciekaj!

Ale mogłam wrócić tylko do kostnicy. Lucy zasłoniła mnie własnym ciałem i rozłożyła ręce, jakby chciała powstrzymać Seta wyłącznie siłą woli.

- Co ty tu robisz? - zapytała drżącym głosem. - Ona już jest martwa. Nie możesz jej zdmuchnąć dwa razy. Seth, pewny siebie, przestąpił z nogi na nogę.

- Jak powiedziałaś, zdmuchnąłem jej świecę. Jest moja, jeśli zechcę ją zabrać.

Barnaba zbladł.

- Nigdy po nich nie wracacie. Ty... - Jego oczy padły na kamień na szyi Seta. - Ty nie jesteś żniwiarzem ciemności, co? Seth wyszczerzył zęby, jakby usłyszał najlepszy dowcip.

- Nie, nie jestem. Jestem kimś więcej. I nie dasz mi rady. Odejdź, Barnabo. Po prostu stąd wyjdź. Jeśli to zrobisz, nie będzie bolało.

Bezradna gapiłam się na Barnabę. Jego brązowe oczy spojrzały w moje, dostrzegły mój strach. Widziałam, jak zbiera odwagę.

- Barnaba! - krzyknęła przerażona Lucy. - Nie rób tego!

Ale żniwiarz rzucił się na mroczną postać odzianą w czarny jedwab. Seth odwrócił się i od niechcienia uderzył go grzbietem dłoni. Machając w powietrzu rękami i nogami, Barnaba poleciał do tyłu, walnął o ścianę i osunął się nieprzytomny.

- Uciekaj! - krzyknęła Lucy, popychając mnie w stronę kostnicy. - Trzymaj się światła. Nie pozwól, żeby dotknęły cię czarne skrzydła. Sprowadzimy pomoc. Ktoś cię znajdzie. Wynos się stąd!

- Jak? - wykrzyknęłam. - On stoi przy drzwiach.

Seth znów się poruszył i tym razem walnął Lucy. Osunęła się tam, gdzie stała. Zostałam już tylko ja, jako że technik albo zemdłał, albo chował się pod biurkiem. Roztrzęsiona wyprostowałam się i poprawiłam sukienkę. Wdepnęłam jeszcze głębiej, pomyślałam.

- Jej chodziło o to - powiedział Seth tym swoim znajomym, i jednocześnie obcym głosem - że masz uciekać przez ściany. Miałabyś większe szansę uciec przed czarnymi skrzydłami w słońcu niż pod ziemią.

- Ale ja nie mogę... - zaczęłam i nagle spojrzałam na wahadłowe drzwi. Przeszłam przez nie, choć uchylily się ledwie na parę centymetrów. *Co do licha? Czyżbym była duchem?* Setli uśmiechnął się i ten uśmiech zmroził mi krew.

- Miło cię widzieć, Madison, teraz, kiedy naprawdę mogę... cię widzieć. - Zdjął maskę i upuścił na ziemię. Jego twarz była piękna, jak rzeźbiona w miękkim kamieniu. Oblizalam wargi i mróz przeszył mnie do kości, kiedy przypomniałam sobie jego pocałunek. Przyciskając rękę do piersi, zaczęłam się cofać, by znaleźć się poza zasięgiem kamieni Barnaby i Lucy. Wtedy przejdę przez ściany. Skoro Pan Straszny tak uważa, to znaczy, że to prawda. Seth szedł za mną krok za krokiem.

- Wychodzimy razem. Nikt nie uwierzy, że cię zdmuchnałem, dopóki nie rzucę cię do ich stóp.

Stukając obcasami, szłam dalej. Zerknęłam na Barnabę i Lucy, którzy wciąż leżeli rozciągnięci na podłodze.

- Wolałabym jednak zostać, dziękuję. - Serce mi łomotało. Dotknęłam plecami ściany i pisnęłam rozpaczliwie. Byłam dość daleko od kamieni i powinnam już zrobić się mglista, ale tak nie było. Spojrzałam na Setha, na czarny kamień na jego szyi. Był taki sam. Do licha!

- Nie masz wyboru - powiedział. - To ja cię zabiłem. Jesteś moja. Wyciągnął rękę i chwycił mnie za nadgarstek. Poczułam falę adrenaliny i wykręciłam rękę.

- Jeszcze czego - rzuciłam i wymierzyłam mu kopniaka w gołeń. Poczul go, to pewne, bo stęknął i zgiął się z bólu, ale nie puścił. Ale jego twarz znalazła się w moim zasięgu, więc chwyciwszy go za włosy, trzasnęłam jego nosem o moje kolano. Poczułam pękającą chrząstkę i trochę mnie zemdliło. Przeklinając tak strasznie, że aż bolały uszy, puścił mnie i zatoczył się do tyłu.

Musiałam się stąd wydostać. Ale musiałam być cielesna, bo inaczej nic z tego. Z łomoczącym sercem złapałam kamień na jego szyi i ściągnęłam mu go przez głowę. Palił mnie jak ogień, ale zacisnęłam dłoń, mając nadzieję, że ten ból oznacza, że się nie rozplynę.

Seth gruchnął na podłogę, gapiąc się na mnie, z twarzą zalaną krwią. Miał tak zaskoczoną minę, jakby wpadł na szklaną ścianę.

- Madison... - wyrzeźił Barnaba z podłogi. Odwróciłam się i zobaczyłam, że patrzy na mnie pełnymi bólu, półprzytomnymi oczami. - Uciekaj - wyszeptał.

Z amuletem Setha w dłoni odwróciłam się w stronę korytarza... I uciekłam.

3

Tato!

Stałam w otwartych drzwiach. Niespokojnie wsłuchiwałam się w ciszę.

Gdzieś za moimi plecami kosiarka do trawy brzęczała w porannym słońcu. Złoty blask wlewał się przez okna, odbijając się od drewnianych podłóg i poręczy schodów. Przebiegłam całą drogę, na obcasach i w tej wstrętnej sukience. Ludzie się na mnie gapili, a fakt, że nie byłam ani odrobinę zmęczona, lekko mnie przerażał. Mój puls był przyspieszony ze strachu, nie z wysiłku.

- Tato?

Weszłam do środka. Łzy wzruszenia zapiekły mnie pod powiekami, kiedy z góry dobiegł pełen niedowierzania drżący głos:

- Madison?

Wbiegłam po schodach, po dwa naraz, potykając się o spódnicę. Ostatni schodek pokonałam na czworakach. Ze ściśniętym gardłem zatrzymałam się w drzwiach mojego pokoju. Tata siedział na podłodze, wśród moich pudeł, otwartych, ale nie rozpakowanych. Wyglądał staro, jego szczupła twarz była wyniszczona bólem. Nie mogłam się ruszyć. Nie wiedziałam, co zrobić. Gapił się na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby wcale mnie tam nie było.

- Nie rozpakowałaś się nawet - szepnął.

Gorąca łza spłynęła mi na podbródek. Nie wiedziałam, skąd się wzięła. Kiedy go tak zobaczyłam, zrozumiałam, że naprawdę potrzebował, bym przypomniała mu dobre chwile. Nikt mnie nigdy wcześniej nie potrzebował.

- Prze... Przepraszam, tato... - wykrztusiłam, stojąc bezradnie w progu. Złapał oddech i otrząsnął się z tego osłupienia. Wzruszenie rozświetliło jego twarz. Zerwał się z podłogi.

- Ty żyjesz? - szepnął. Zachłysnęłam się z zaskoczenia, kiedy pokonał dzielącą nas odległość i zmiażdżył mnie w objęciach. - Powiedzieli mi, że zginęłaś. Ty żyjesz?

- Nic mi nie jest. - Wyszlochałam w jego pierś. Ulga była tak gwałtowna, że wręcz

bolesna. Pachniał laboratorium, w którym pracował, olejem i tuszem i nic nigdy nie pachniało tak pięknie. Nie potrafiłam powstrzymać łez. Byłam martwa - chyba. Miałam amulet, ale nie wiedziałam, czy będę mogła zostać, i ta niepewność, ten strach, podsycaly moją bezradność. - Nic mi nie jest - powtórzyłam ze szlochem. - Ale zaszła pomyłka. Śmiejąc się przez łzy, tata odsunął mnie od siebie, by spojrzeć mi w twarz. Łzy błyszczały w jego oczach i uśmiechał się, jakby już nigdy nie miał przestać.

- Byłem w szpitalu - powiedział. - Widziałem cię. - Wspomnienie tego bólu przyćmiło jego spojrzenie, i dotknął moich włosów drżącą dłonią, jakby chciał się upewnić, że jestem prawdziwa. - Ale tobie nic nie jest. Próbowałem dzwonić do twojej matki. Pomyśli sobie, że zwariowałem. Jeszcze bardziej. Nie mogłem jej się nagrać na sekretarkę i powiedzieć, że miałaś wypadek. Więc się rozłączyłem. Ale ty naprawdę jesteś cała i zdrowa? Miałam ściśnięte gardło, głośno pociągałam nosem. *Nie oddam amuletu*, pomyślałam. *Nigdy*.

- Przepraszam, tato - wyjąkałam, wciąż płacząc. - Nie powinnam była jechać z tym chłopakiem. Nie powinnam. Przepraszam. Przepraszam!

- Ćśśś. - Znow wziął mnie w objęcia i zaczął kołysać, ale ja tylko rozszlochałam się jeszcze głośniej. - Już dobrze. Już wszystko dobrze - uspokajał mnie, głaszcząc po włosach. Ale przecież nie wiedział, że naprawdę nie żyję.

Nagle coś go zastanowiło, oddech zatrzymał mu się w piersi. Odsunął mnie na odległość ręki i chłód, który wsączył się we mnie, gdy mnie tak oglądał, zatamował moje Izy.

- Tobie naprawdę nic nie jest - powiedział zdumiony.

- Nie masz nawet jednego zadrapania. Uśmiechnęłam się nerwowo i jedna z jego rąk zsunęła się ze mnie.

- Tato, muszę ci coś powiedzieć. Ja...

Za drzwiami rozległo się ciche szuranie. Tata spojrział przez moje ramię, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam zażenowanego Barnabę, stojącego obok niskiego mężczyzny w luźnym stroju, jak od wschodnich sztuk walki. Ciuch był za luźny. Absolutnie niefunkcjonalny. Facet był wyprostowany jak struna i chudy. Miał ostre rysy i bardzo ciemną skórę. Oczy miał ciemnobrązowe, z głębokimi zmarszczkami w kącikach. Włosy też zdradzały jego wiek - gęste, siwe na skroniach.

- Przepraszam - odezwał się tata, pociągając mnie za sobą. - Czy to panowie przyprowadzili moją córkę do domu? Dziękuję.

Nie podobał mi się grymas na twarzy Barnaby i musiałam się powstrzymać, żeby nie schować się za tatą. Wciąż mnie obejmował i nie chciałam się ruszać, żeby mnie nie puścił. Zdaje się, że przyprowadził szefa. Ale ja chciałam tu zostać. *Niech to szlag, nie chcę być*

martwa. To nie fair! - pomyślałam. Ciemnoskóry mężczyzna patrzył na nas z żalem.

- Nie. - Jego głos był przyjemny, rześki. - Tego dokonała sama. Bóg wie, jakim cudem. Otarłam oczy przestraszona.

- Oni mnie nie przyprowadzili. - Przystąpiłam nerwowo z nogi na nogę. - Nie znam ich. Widziałam tego chłopaka - dodałam. - Ale nie tego starszego. Tata wciąż uśmiechał się neutralnie, próbując zrozumieć, co jest grane.

- Panowie jesteście ze szpitala? - zapytał i nagle jego twarz stężała. - Kto jest odpowiedzialny za wmawianie mi, że moja córka nie żyje? Czyjaś głowa za to poleci. Barnaba skulił się, a jego szef pociągnął nosem, jakby chciał przytaknąć.

- Trudno o prawdziwsze słowa, sir. - Omiótł wzrokiem mój pokój, oglądając różowe ściany, białe meble i nierozpakowane pudła. Wreszcie jego spojrzenie padło na mnie, byłam ciekawa, do jakiej doszedł konkluzji. Moje życie skończyło się tak nagle, że byłam trochę jak mój pokój. Wszystko było na miejscu, ale nierozpakowane do końca. A teraz pudła znów zostaną zaklejone i upchnięte do szafy. Nikt już nie obejrzy tych wszystkich fajnych rzeczy, które się w nich kryją. Ale ja jeszcze nie skończyłam.

Zesztywniałam, kiedy ten człowieczek wszedł do pokoju, unosząc pojednawczo chudą rękę.

- Musimy porozmawiać, dziecko - powiedział. Zadrżałam. O Boże. Chciał, żebym z nim poszła.

Przycisnęłam amulet do piersi, a ręka taty objęła mnie mocniej. Zobaczył moje przestraszone spojrzenie i wreszcie zrozumiał, że coś jest nie tak. Przesunął się, stając między mną a tymi dwoma w progu.

- Madison, dzwonić po policję - polecił. Sięgnęłam po słuchawkę telefonu leżącego na nocnej szafce. To zdążyłam rozpakować.

- Ach, widzę, że potrzebujemy czasu - stwierdził staruszek.

Spojrzałam na niego, kiedy machnął ręką jak marny aktor w filmie science fiction. Sygnał w słuchawce umilkł, ucichła też kosiarka na dworze. Osłupiała zagapiłam się na telefon, a potem na tatę stojącego między mną a nimi. Nie poruszał się.

Zmiękły mi kolana. Odłożyłam telefon i przyjrzałam się tacie. Wyglądało na to, że nic mu nie jest. Nie licząc tego, że się nie ruszał.

Staruszek westchnął, więc moje spojrzenie pobiegło ku niemu. Jasna chochła, pomyślałam, zdrętwiała ze strachu. Nie zamierzałam wyjść stąd bez walki.

- Puść go - powiedziałam drżącym głosem - Albo... albo... Usta Barnaby drgnęły, a staruszek uniósł brwi. Jego oczy były szaroniebieskie. Przysięgłabym, że przed chwilą były

brązowe.

- Albo co? - zapytał, przyjmując pewną siebie postawę i zakładając ręce na piersi.

Spojrzałam na skamieniałego tatę.

- Zacznę wrzeszczeć albo coś - zagroziłam.

- Proszę bardzo. Nikt cię nie usłyszy. Twój krzyk będzie trwał ułamek sekundy, zbyt krótko dla ludzkich uszu.

Zaczerpnęłam powietrza, by jednak spróbować, a on pokręcił głową. Mój oddech jakby wybuchnął z wrzaskiem, cofnęłam się jak szalona, kiedy staruszek wykonywał gwałtowny ruch. Ale nie chodziło mu o mnie. Wyszarpnął spod toaletki białe krzesło i usiadł, bokiem do lustra. Oparł łokieć o blat, a czoło o dłoń, jakby był bardzo zmęczony. Wyglądał dziwnie w zestawieniu z pozytywką i babskimi drobiazgami.

- Dlaczego nic nigdy nie jest proste? - mruknął, głaszcząc moje ceramiczne zębry. - To ma być jakiś dowcip? - powiedział głośniejszym głosem, patrząc w sufit. - Śmiejesz się? Zrywasz boki, co?

Spojrzałam na drzwi, ale Barnaba pokręcił ostrzegawczo głową. Dobra. Było jeszcze okno, chociaż skacząc w tej kiece, mogłam się zabić. A, zaraz. Przecież już byłam martwa.

- Czy mojemu tacie nic nie jest? - zapytałam, ośmielając się dotknąć jego łokcia. Barnaba kiwnął głową, a staruszek znów spojrzał na mnie. Skrzywił się, jakby podjął jakąś decyzję, i wyciągnął rękę. Zagapiłam się na nią, ale nie ucisnęłam jej.

- Miło mi cię poznać - powiedział stanowczo. - Madison, tak? Mnie wszyscy nazywają Ron. Wciąż tylko na niego patrzyłam, więc powoli opuścił rękę.

- Barnaba powiedział mi, co zrobiłaś - dodał. - Mogę to zobaczyć? Zaskoczona przestąpiłam z nogi na nogę; moje palce zsunęły się z ręki taty. Rany... To było niesamowite. Jakby cały świat się zatrzymał, ale przecież ja sama byłam żywym trupem, więc pewnie zamrożenie mojego taty to był drobiazg.

- Co zobaczyć?

- Kamień - rzucił Ron niecierpliwie.

On go chciał. Chciał mi go zabrać, a to była jedyna rzecz, dzięki której byłam żywa. A przynajmniej nie do końca martwa.

- Nie ma mowy - zaprotestowałam, unosząc rękę, by poczuć chłodną powierzchnię kamienia. Niespokojna mina Rona upewniła mnie co do jego wartości.

- Madison - powiedział uspokajająco, wstając. - Ja chcę tylko na niego popatrzeć.

- Chcesz go zabrać! - wybuchłam. Serce tłukło mi się w piersi. - To jedyna rzecz, która zapewnia mi cielesność. Nie chcę umierać. To wy narozrabialiście. Nie powinnam być

martwa! To wasza wina!

- To prawda. Niemniej jesteś martwa - westchnął Ron. Chwyciłam ze świstem oddech, kiedy znów wyciągnął rękę. - Pozwól mi tylko na niego spojrzeć.

- Nie oddam go! - krzyknęłam, a w oczach Rona zabłysł strach.

- Madison, nie! Nie mów tego! - zawołał, wyciągając do mnie rękę. Zatoczyłam się do tyłu, rezygnując z wątpliwej ochrony taty, i mocniej ścisnęłam kamień.

- Jest mój! - pisnęłam, uderzając plecami o ścianę. Ron zahamował gwałtownie i opuścił rękę. Przerazenie było wyraźnie widoczne na jego starej twarzy. Cały świat jakby zawisł na włosku.

- Och, Madison - szepnął. - Naprawdę, nie powinnaś była tego mówić. Nie wiedząc, dlaczego się zatrzymał, patrzyłam na niego, gdy nagle wstrząsnął mną dreszcz. Lodowaty skurcz zaczął się rozchodzić z mojej dłoni trzymającej amulet, ogarniając błyskawicznie całe ciało, usztywniając mięśnie. To było jak elektrowstrząs. Słyszałam w uszach echo własnego pulsu, aż wypełnił mnie i poczułam się niemal... Cała. W następnej chwili przyszła fala gorąca, jakby dla zrównoważenia tego zimna, i... Było po wszystkim. Coś pozbawiło mnie tchu. Stałam tak z plecami przy ścianie. Z dziko bijącym sercem patrzyłam na Rona. Miał żalostną minę, był cichy i przygnębiony. Bałam się poruszyć. Ale amulet w mojej dłoni zrobił się jakiś inny. Wciąż czułam słabe dreszcze rozchodzące się od niego, nie mogąc się powstrzymać, otworzyłam dłoń i spojrzałam. Wyglądał inaczej.

- Patrzcie! - rzuciłam idiotycznie. - Zmienił się.

Ron, przygarbiony, klapnął na krzesło, mamrocząc coś pod nosem. Zdumiona wypuściłam kamień, tak że teraz trzymałam go za łańcuszek. Kiedy zerwałam go z szyi zniwiarza ciemności, był tylko zwykłym szarym rzeczonym otoczakiem. Teraz stał się absolutnie czarny, jak plamka nicości zawieszona na sznurku. Czarny drucik, którym był opleciony, nabrał srebrzystego połysku, odbijał światło po całym pokoju. Może go zepsułam. Ale był piękny. Jak mógł być zepsuty?

- Nie tak wyglądał, kiedy go zabrałam - szepnęłam. Zmroził mnie wyraz politowania, który pojawił się na twarzy Rona. Stojący za nim Barnaba był przerażony - blady jak ściana, z wielkimi oczami.

- Słuszne spostrzeżenie - powiedział gorzko Ron. - Mieliśmy nadzieję zakończyć to jak należy, zanim przywłaszczysz sobie kamień.. Ale nie, teraz jest twój - Spojrzał mi w oczy z niesmakiem. - Gratulacje. Powoli opuściłam rękę i nerwowo zaszurałam nogami. Kamień był mój. On powiedział, że jest mój.

- Ale to był kamień czarnego zniwiarza - powiedział Barnaba, drgnęłam, słysząc

strach w jego głosie. - To coś nie było żniwiarzem, ale miało kamień żniwiarza. Ona jest czarnym żniwiarzem! Otworzyłam usta.

- Zaraz, chwila.

- Ona jest czarnym żniwiarzem! - wrzeszczał Barnaba.

Opadłam, szczeka, kiedy nerwowo sięgnął pod koszulę i wyjął krótką kosę, identyczną z nożem Seta, skoczył między mnie a Rona.

- Barnabo! - huknął Ron i uderzył go, aż zatoczył się do drzwi. - Ona nie jest czarnym żniwiarzem, idioto! Nie jest nawet białym. Nie może nim być. Jest człowiekiem, nawet jeśli nie żyje. Schowaj to, bo sprawie, że zardzewieje ze starości!

- Ale to kamień czarnego żniwiarza - nie ustępował Barnaba. Zgarbił się - Widziałem jak go zabierała!

- A czyja to wina, że wiedziała co to jest, Barney? - rzucił szyderczo. Chłopak zrobił krok w tył i pochylił głowę zawstydzony.

Z bijącym sercem stałam w kącie i ścisnęłam wisiołek tak mocno, że bolały mnie palce. Ron spoglądała karcąco to na mnie, to na Barnabę.

- To nie jest kamień czarnego żniwiarza. Czarny żniwiarz nie byłby dość silny, żeby zostawić po sobie namacalny dowód swojego istnienia, ani... - ciągnął, unosząc rękę, by Barnaba mu nie przerywał - nie miałby powodu wracać po upolowaną duszę. Ona ma coś potężniejszego niż kamień żniwiarza i oni po to wrócą. Możecie być pewni.

Och, świetnie. Po prostu cudownie.

Barnaba wziął się w garść, choć wciąż był niespokojny i przestraszony.

- Rzeczywiście, wspomniał, że nie jest żniwiarzem, ale myślałem, że próbuje nas zastraszyć. Więc czym jest, jeśli nie żniwiarzem?

- Jeszcze nie wiem. Ale mam kilka pomysłów.

To przyznanie się Rona do niewiedzy było gorsze niż cokolwiek, co mógł powiedzieć. Poczulałam strach paraliżujący mnie. Zadrżałam, a Ron westchnął, widząc to. - Powinienem wiedzieć, że zanoszą się na coś takiego - mruknął. Znowu spoglądając w sufit, huknął: - Miło by było dostać okólnik!

Jego głos rozległ się echem, podkreślając ciszę, która skuliła świat. Przypomniałam sobie, że ci dwaj ludzie tak naprawdę nie są ludźmi, i spojrzałam na tatę, nieruchomego i sztywnego jak manekin. *Chyba nie zrobią mi krzywdy, co? Żeby zamaskować swój błąd?*

- Na gwiazdny pył - powiedział cicho Ron. - Po prostu dostosujemy się do sytuacji najlepiej, jak się da.

Wstał z ciężkim westchnieniem. Widząc, że się ruszył, wyskoczyłam z kąta i stanęłam

między nim a tatą. Ron spojrział na moją podniesioną rękę, jakbym była kociakiem próbującym odpędzić psa.

- Nigdzie nie idę - syknęłam, zasłaniając tatę, jakbym rzeczywiście mogła cokolwiek zrobić. - I nie tkniesz mojego taty. Mam kamień. Jestem cielesna. Jestem żywa! Ron spojrział mi w oczy.

- Masz kamień, ale nie wiesz, jak go użyć. I nie jesteś żywa. To złudzenie. Ale skoro masz kamień, a oni mają twoje ciało...

Spojrzałam na Barnabę i po jego zmieszanej minie poznałam, że to prawda.

- Seth? Zabrał moje ciało? - zapytałam ze strachem. - Dlaczego?

Ron wyciągnął rękę. Podskoczyłam, kiedy jego dłoń wylądowała na moim ramieniu. Była ciepła i czułam jego wsparcie, choć wiedziałam już, że nie może wiele zrobić, żeby mi pomóc.

- Żebyś nie mogła przejść na drugą stronę i oddać nam kamienia? - rzucił pytająco, spoglądając na mnie z politowaniem. - Dopóki mają twoje ciało, jesteś tu uwięziona. Kamień, który zabrałaś, najwyraźniej jest ważny. Dopasował się do twoich śmiertelnych możliwości. Niewiele kamieni to potrafi. Zwykle kiedy śmiertelnik przywłaszcza sobie kamień, ten zmienia go w proch nadmiarem mocy. Otworzyłam usta ze zdumienia, a Ron pokiwał głową.

- Przywłaszczanie sobie tego co boskie, kiedy nie ma się do tego prawa, to pewny sposób, by unicestwić swoją duszę. Zamknęłam usta, opanowując dreszcz.

- Gdybyśmy go mieli - ciągnął Ron - zyskalibyśmy nad nimi przewagę. W tej chwili jest w próżni, tak jak ty, jak świeca niezdmuchnięta do końca. Jego dłoń zsunęła się z mojego ramienia. Poczula się jeszcze bardziej samotna i jeszcze mniejsza, choć była wyższa od niego.

- Dopóki pozostajesz po cielesnej stronie, mogą mieć nadzieję, że cię znajdą - wyjaśnił, podchodząc do okna, by wyrzeć przez nie na świat, który zwolnił tak bardzo, jakby czas przestał płynąć.

- Ale Seth wie, gdzie jestem - powiedziałam skołowana. Ron odwrócił się powoli.

- Opuścił ten świat dość gwałtownie, i to bez twojego ciała. Przeszedł na drugą stronę bez kamienia, dzięki któremu pamiętałby, gdzie dokładnie znajdujesz się w czasie. Trudno mu będzie cię znaleźć. Szczególnie jeśli nie zrobisz niczego, by ściągnąć na siebie uwagę.

Panna anonimowa. Tak, to potrafię. Jasne. Bolała mnie głowa od prób zrozumienia, co on do mnie mówi.

- Ale cię znajdzie. Zabierze ze sobą ciebie i kamień. A co wtedy się stanie? - Kręcąc głową, znów odwrócił się do okna; światło słońca obrysowywało go złotym konturem. - Oni robią straszne rzeczy.

Seth miał moje ciało. Czulałam, że blednę coraz bardziej. Barnaba dostrzegł to i odchrząknął, żeby zwrócić uwagę Rona. Oczy staruszka spoczęły na mnie i zamrugały, jakby zdał sobie sprawę, co powiedział.

- Ale mogę się mylić - powiedział, co wcale mi nie pomogło. - Czasem się mylę. Puls mi przyspieszył, poczułam ukłucie paniki. Przed wypadkiem Seth powiedział, że jestem jego przepustką do wyższego kręgu. Nie chciał tylko mojej śmierci. Chciał mnie. Nie kamienia, który mu ukradłam. Mnie. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć to Ronowi, ale, wystraszona, zmieniłam zdanie. Barnaba dostrzegł mój nagły lęk i domyślił się, że coś ukrywam, ale Ron szedł już przez pokój stanowczym krokiem i wypchnął go za drzwi. Barnaba w milczeniu wycofał się do korytarza, ze spuszczoną głową, zamyślony. Pewnie się bał, że to, czego im nie mówię, może mu przysporzyć jeszcze więcej kłopotów. Zaniepokoiłam się nie na żarty. *Chyba mnie nie zostawią samą, co?*

- Jedyne, co możemy teraz zrobić, to zadbać o twoje bezpieczeństwo, dopóki nie dowiemy się, jak przełamać władzę kamienia nad tobą, bez unicestwienia twojej duszy - ocenił Ron.

- Ale przed chwilą powiedziałaś, że nie mogę umrzeć - rzuciłam. *Gdzie on się wybiera? Przecież Seth po mnie wróci!*

Roń zatrzymał się w progu. Barnaba stał za jego plecami; patrzył z troską. Nie pasowało to do siedemnastolatka, na którego wyglądał.

- Nie możesz umrzeć, bo już nie żyjesz - odparł staruszek. - Ale są gorsze rzeczy. *Cudownie*, pomyślałam. Nagle zrobiło mi się gorąco na wspomnienie tańca z Sethem, jego pocałunku, chrzęstu jego nosa łamiącego się na moim kolanie i nienawistnego spojrzenia, które mi posłał. *Brawo, Madison*. Nie tylko spieprzyłam sobie opinię w nowej szkole, ale na dodatek naraziłam się aniołowi śmierci. Znalazłam się na samym szczycie jego czarnej listy.

- Barnabo? - spytał Ron. Podskoczyłam wyrwana z zamyślenia. Barnaba też wyglądał na zaskoczonego.

- Sir?

- Gratulacje, właśnie awansowałaś na anioła stróża. Barnaba znieruchomiał i spojrzał na mnie przerażony.

- To nie jest awans, to jest kara!

- Po części to twoja wina - powiedział Ron szorstkim tonem, który kłócił się z przebiegłym uśmiechem, jaki posłał mnie tak, żeby Barnaba nie widział. - Może nawet więcej niż po części. - Jego twarz spoważniała. - Pogódź się z tym. I nie odgrywaj się na niej.

- Ale Lucy! To ona była za nią odpowiedzialna! - zaprotestował. Znów wyglądał

młodo.

- Madison ma siedemnaście lat - oznajmił Ron tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Ty się zajmujesz siedemnastolatkami. To powinna być dla ciebie pestka. - Odwrócił się z rękami na biodrach. - Oprócz twoich zwykłych zajęć będziesz aniołem stróżem Madison. Myślę, że rozwiążemy tę sprawę w ciągu roku. - Zamyślił się.

- Ale, sir! - wykrzyknął Barnaba, wpadając na ścianę korytarza, kiedy Ron przepchnął się obok niego i ruszył do schodów. Poszłam za nimi, nie wierząc własnym uszom. *Mam anioła stróża?*

- Sir, ja nie mogę - powiedział Barnaba, przez co poczułam się jak niechciany balast. - Nie mogę wykonywać swojej pracy i jednocześnie jej pilnować! Jeśli za bardzo się oddalę, oni ją zabiorą!

- Więc zabieraj ją ze sobą do pracy. - Ron pokonał kilka stopni w dół. - Musi się dowiedzieć, jak tego używać. Naucz ją czegoś w wolnym czasie, którego ci nie brakuje. Poza tym nie musisz przecież utrzymać jej przy życiu. Chroń tylko świecę, by nie przestała dymić. I tym razem postaraj się lepiej spisać - warknął. Barnabę zatkało, a Ron odwrócił się, by spojrzeć na mnie z troską.

- Madison - powiedział na pożegnanie. - Trzymaj wisiołek przy sobie. Ochroni cię. Jeśli go zdejmiesz, czarne skrzydła cię znajdą, a żniwiarze ciemności zawsze są w ich pobliżu.

Czarne skrzydła. Znow to określenie. Już sama ta nazwa wywoływała paskudne obrazy w moich myślach.

- Czarne skrzydła? - zapytałam i te dwa słowa zdawały się mieć ohydny smak. Ron zatrzymał się na dolnym schodku.

- Podłe sępy, pozostałe po dziele stworzenia. Wyczuwają węchem śmierć, jeszcze zanim się wydarzy, i próbują uszczknąć kawałek zapomnianej duszy. Nie pozwól, by cię dotknęły. Nie żyjesz, więc mogą cię wyczuć, ale póki masz kamień, będą cię brać za żniwiarza i dadzą ci spokój. Kiwałam głową jak nakręcona. Uważać na czarne skrzydła. Rozkaz.

- Kronusie! - rzucił Barnaba, gdy Ron znow ruszył przed siebie. - Proszę cię. Nie rób mi tego!

- Więcej entuzjazmu. Sprawuj się dobrze - mruknął Ron, idąc do drzwi. - To tylko na rok.

Wyszedł za próg, w blask słońca. Gdy padło na niego światło, zniknął, ale nie od razu, a stopniowo. Słońce wlewające się do domu zamigotało i nagle daleka kosiarka zawarczała na

nowo.

Wzięłam głęboki wdech. Świat znów zaczął się kręcić, znów było słycać ptaki, wiatr, czyjeś radio. Oslupiała stałam u boku Barnaby.

- Jak to tylko rok? - szepnęłam. - Mam tylko rok? Barnaba obrzucił mnie wzrokiem ewidentnie wkurzony.

- A skąd ja mam wiedzieć? Z mojego pokoju dobiegło zdumione wołanie:

- Madison? To ty?

- Tato! - krzyknęłam. Wpadłam na niego, gdy wyszedł na korytarz. Zmienił to zderzenie w radosny uścisk, otaczając mnie ramionami i z uśmiechem patrząc na Barnabę.

- Ty pewnie jesteś tym chłopcem, który wczoraj przywiózł Madison. Seth, zgadza się?

Co? Pomyślałam osłupiała. Przecież już widział Barnabę. I jakim cudem tak szybko zmienił się z rozgniewanego ochroniarza w szczęśliwego rodzica? I co z wypadkiem samochodowym? Moją śmiercią? Barnaba przestąpił z nogi na nogę zażenowany. Posłał mi spojrzenie mówiące, że mam się zamknąć.

- Nie, proszę pana, jestem Barnaba. Kolega Madison. Ja też z nią wczoraj byłem, kiedy Josh sobie poszedł. Miło mi pana poznać. Wpadłem tylko, żeby zapytać, czy Madison ma ochotę na spacer.

Tata zrobił dumną minę. W końcu udało mi się znaleźć kolegę bez jego pomocy. Byłam kompletnie skołowana. Tata odchrząknął, jakby próbował zdecydować, jak ma traktować mojego pierwszego chłopaka, jakiego poznał osobiście, i w końcu uściśniętą rękę Barnaby. A ja stałam i patrzyłam ogłupiała, jak się witają. Gdy Barnaba zerknął na mnie i lekko wzruszył ramionami, zaczęłam się uspokajać. Wyglądało na to, że cała historia została wymazana z pamięci taty, a zamiast niej pojawiło się fałszywe wspomnienie zwykłego wieczoru. Dostałam alibi, o jakim marzyła każda nastolatka. Teraz musiałam się tylko dowiedzieć, jak Ron to zrobił. Tak na przyszłość.

- Ehm, macie może coś do jedzenia? - powiedział Barnaba, pocierając dłonią kark. - Jestem głodny, jakbym nie jadł całe wieki.

Tata, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeszedł w tryb jowialnego tatuśka i zszedł na dół, gadając coś o gofrach. Barnaba ruszył za nim, ale zatrzymał się, kiedy złapałam go za rękaw.

- Więc historia jest taka, że Seth przywiózł mnie do domu i przez resztę wieczoru oglądałam telewizję? - zapytałam, chcąc wiedzieć, czy została jeszcze jakaś praca do wykonania. - Nigdy nie spadłam z tej skarpy? - dodałam, kiedy kiwnął głową. - Kto będzie pamiętał wczorajszy wieczór?

- Nikt z żyjących - odparł. - Ron bardzo sumiennie to załatwił. Musiał cię polubić. - Jego spojrzenie zsunęło się na kamień wiszący na mojej szyi. - Albo podoba mu się twój nowy kamyczek.

Znów zdenerwowana puściłam jego koszule. Poszedł za moim, tatą, który głośno pytał nas z kuchni, czy Barnaba może zostać na śniadanie. Poprawiłam sukienkę, przyglądałam potargane włosy i powoli, ostrożnie poszłam za nim. Czułam się strasznie dziwnie. Rok. Miałam przynajmniej rok. Może i nie żyłam, ale przynajmniej nie do końca. Postanowiłam, że nauczę się używać kamienia i zostanę tu, gdzie jestem. Gdzie jest moje miejsce. Z tatą. Zobaczycie.

4

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Siedziałam po ciemku na dachu, rzucając kamyczkami w mrok i próbując wszystko sobie poukładać w głowie. Nie byłam żywa, ale nie byłam też całkiem martwa. Tak jak podejrzewałam, ostrożne przesłuchanie taty na temat poprzedniego dnia potwierdziło, że nie tylko nie miał pojęcia, iż leżałam w kostnicy, ale w ogóle nie pamiętał wypadku. Sądził, że pogoniłam Josha, kiedy się dowiedziałam, że to była randka z litości, wróciłam do domu z Sethem i Barnabą i przez całą wieczór oglądałam telewizję, dając się, w kostiumie.

Nie był też zadowolony, że zniszczyłam wypożyczoną suknię. Wcale mi się nie podobało, że postanowił potrącić mi depozyt z kieszonkowego, ale nie zamierzałam narzekać. Byłam tutaj, poniekąd żywa, i tylko to się liczyło. Tata był trochę zaskoczony, że tak potulnie przyjął karę, i stwierdził, że dorastam.

Przez cały dzień obserwowałam go uważnie, rozpakowując się i układając swoje rzeczy na półkach i w szufladach. Było jasne, że wie, że coś jest nie tak, ale nie potrafił tego sprecyzować.

Praktycznie nie spuszczał ze mnie oka, ciągle wpadał na górę. Przynosił mi kanapki i napoje, aż miałam ochotę wrzeszczeć. Wiele razy przyłapałam go, jak patrzył na mnie z lękiem. Przy kolacji prowadziliśmy wymuszoną rozmowę nad kotletami; dziobałam jedzenie widelcem dobre dwadzieścia minut i wreszcie odeszłam od stołu, wymawiając się zmęczeniem po balu.

No właśnie. Powinnam być zmęczona, ale nie byłam. Nie - była druga w nocy, a ja siedziałam na dachu, udając, że śpię, i rzucając kamyczkami w świat, który powoli kręcił się w chłodnych ciemnościach. Może już nie musiałam sypiać.

Przygarbiona wyskubałam kolejny kawałek smoły z pokrycia dachu i rzuciłam nim w komin.

Uderzył z brzękiem w metalową osłonę i odbił się w mrok. Podsunęłam się w górę po łagodnym spadku dachu i podciągnęłam dzinsy na miejsce.

Nagle ogarnął mnie niepokój, zaczynający się lekkim mrowieniem dłoni i wsączający w głąb ciała, coraz ostrzejszy i bardziej odczuwalny. Czułam się obserwowana. Odwróciłam się i krzyknęłam cicho, kiedy Barnaba spadł na dach z drzewa wznoszącego się nad moją głową.

- Hej! - krzyknęłam, a serce mi waliło, gdy wylądował tuż obok niczym kot. - Może byś mnie ostrzegął?

Podniósł się z kucków i stanął wyprostowany w świetle księżyca, z rękami na biodrach, wyraźnie zdegustowany. Otaczała go jakby lekka, migotliwa poświata.

- Gdybym był czarnym żniwiarzem, już byś nie żyła.

- Ja już nie żyję, pamiętasz? - powiedziałam, rzucając w niego kamykiem, który przeleciał nad jego ramieniem. Barnaba nawet się nie uchylił. - Czego chcesz? - zapytałam z niechęcią.

Zamiast odpowiedzieć, wrzucił chudymi ramionami i spojrzał na wschód, - Chcę wiedzieć, czego nie powiedziałaś Ronowi.

- Słucham? Stał nieruchomy jak skała, z założonymi rękami, i patrzył na mnie.

- Seth powiedział ci coś w samochodzie. To była jedyna chwila, kiedy nie miałem cię w zasięgu wzroku. Chcę wiedzieć, co to było. Od tego może zależeć, czy będziesz się dalej bawić w tę namiastkę życia, czy zostaniesz porwana do czarnego kręgu. - Teraz się ruszył; jego gesty były ostre i gniewne. - Nie zamierzam nawalić drugi raz, a już na pewno nie przez ciebie. Byłaś ważna dla Setha, jeszcze zanim ukradłaś kamień. Dlatego przyszedł po ciebie do kostnicy. Chcę poznać powód.

Spojrzałam na kamień połyskujący w księżycowym blasku, a potem na własne stopy. Dach był nachylony pod tak niewygodnym kątem, że bolały mnie kostki.

- Powiedział, że byłam ważnym nazwiskiem na liście i że odstrzeli moją duszę. Barnaba podszedł i usiadł koło mnie, ale niezbyt blisko.

- Już to zrobił. Nie jesteś już zagrożeniem, bo nie żyłaś. Ale dlaczego po ciebie wrócił?

Nabrałam pewności siebie, widząc, że trochę się rozluźnił. Patrząc na niego, zauważyłam, że jego oczy w świetle księżyca są srebrne.

- A nie wygadasz? - zapytałam. Bardzo chciałam mu zaufać. Musiałam z kimś

porozmawiać, a przecież nie groziło mi, że zadzwoni do moich dawnych znajomych i wypaple, że nie żyję. Choć oczywiście byłaby to bardzo zabawna plotka. Barnaba się zawahał.

- Nie, ale mogę próbować cię przekonać, żebyś sama powiedziała Ronowi. Z tym mogłam sobie poradzić. Odetchnęłam powoli.

- Powiedział, że koniec mojego żalosego życia to dla niego przepustka do wyższego kręgu. Wrócił, żeby udowodnić, że mnie odstrzeli. Czekałam na reakcję, ale nie było żadnej. Wreszcie nie mogłam tego dłużej znieść i uniosłam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Barnaba patrzył na mnie, jakby próbował wykombinować, co to znaczy. Ale nie znalazł odpowiedzi.

- Myślę, że powinnaś przez jakiś czas zatrzymać to dla siebie. To pewnie nic nie znaczy. Zapomnij o tym. Lepiej spróbuj się dopasować.

- Ta - powiedziałam z sarkastycznym śmiechem. - Nowa szkoła zapewnia mnóstwo zajęcia.

- Chodziło mi o dopasowanie się do żywych.

- Ach. - Okej. Mam się dostosować do żywych, a nie do nowej szkoły. Cudownie. Przypomniałam sobie katastrofalną kolację z tatą i przygryzłam wargę. - Ehm, Barnabo, czy ja muszę jeść?

- Jasne. Jeśli chcesz. Ja nie jem. W każdym razie niewiele - dodał niemal tęsknie. - Ale jeśli jesteś taka jak ja, to nigdy nie będziesz głodna. Założyłam włosy za ucho.

- A co ze spaniem? Uśmiechnął się.

- Możesz próbować. Ja nie mogę spać, chyba że jestem śmiertelnie znudzony. Oderwałam kawałek smoły i znów rzuciłam w komin.

- Dlaczego nie muszę jeść? - zapytałam. Barnaba odwrócił się przodem do mnie.

- Ten twój kamień emituje energię, a ty ją wchłaniasz. Pławisz się w niej. Uważaj na ludzi ze zdolnościami parapsychoicznymi. Będą myśleli, że jesteś opętana.

- Uhm - mruknęłam, zastanawiając się, czy może jakiś duchowny udzieli mi użytecznych informacji. Ci dwaj mylili się w sprawie żniwiarzy ciemności i pewnie nie wiedzieli tak dużo, jak im się zdawało.

Westchnęłam. Siedziałam na dachu ze żniwiarzem światła - z moim aniołem stróżem. *Pięknie, Madison*, pomyślałam. Byłam ciekawa, czy moje życie - a raczej ten stan zawieszenia, w którym byłam - może być jeszcze bardziej zakrecony. Głaskałam kamień, który trzymał mnie w tym zawieszeniu, zastanawiając się, co mam teraz począć. Chodzić do szkoły. Odrabiać lekcje. Być z tatą. Starać się zrozumieć, kim jestem i co mam ze sobą zrobić. Właściwie niewiele się zmieniło, nie licząc spania i jedzenia. No dobrze, szukał mnie ktoś

gorszy niż czarny żniwiarz. Ale za to pilnował mnie anioł stróż. A życie toczyło dalej, nawet jeśli nie byłam już jego częścią.

Barnaba zaskoczył mnie, wstając nagle. Pochyliłam się do tyłu, by spojrzeć na jego wysoką postać rysującą się na tle gwiazd.

- Chodźmy - powiedział, wyciągając rękę. - Nie mam dziś nic do roboty i nudzi mi się. Chyba nie jesteś z tych, co piszczą z byle powodu?

Najpierw pomyślałam: *O czym on mówi?* A potem: *Chodźmy? Dokąd?* Ale wydobyłam z siebie tylko żalosne:

- Nie mogę. Dostałam szlaban. Nie mogę postawić nogi za progiem, nie licząc chodzenia do szkoły, dopóki nie spłacę kostiumu. - Ale uśmiechnęłam się, biorąc go za rękę i pozwalając, by pomógł mi wstać. Jeśli Ron mógł sprawić, że mój tata nie pamiętał, że umarłam, to chętnie się zgodzę, żeby Barnaba mnie krył, jeśli wymknę się na parę godzin.

- No cóż, nic nie poradzę na twój szlaban - stwierdził. - Ale mogę obiecać, że nie przejdiesz przez próg.

- He? - wyjąkałam i zeszywniałam, kiedy stanął za mną, jeszcze wyższy z powodu nachylenia dachu. - Hej! - krzyknęłam, kiedy mnie objął. Ale umilkłam, osłupiała, kiedy nagle otoczył nas szary cień. To coś było prawdziwe - pachniało jak puchowa poduszka mojej mamy. Zachłysnęłam się ze zdumienia, kiedy Barnaba objął mnie ciaśniej i moje stopy oderwały się od dachu, jakby grawitacja zadziałała w niewłaściwą stronę.

- Jasna cholera! - krzyknęłam, gdy świat rozpostarł się pod nami, srebrnoczarny w blasku księżyca. - Ty masz skrzydła?

Barnaba roześmiał się, a mój żołądek zjechał w dół, gdy wznieśliśmy się jeszcze wyżej. Może... Może jednak ten rok nie będzie takie zły?

LAUREN MYRACLE

BUKIECIK

Czytelnicy strzeżcie! Niniejsza historia zainspirowana *Małpią łapką* W.W. Jacobsa, wydana po raz pierwszy w 1902, która nieźle mnie wystraszyła, gdy byłam nastolatką. Serio, ostrożnie z życzeniami!

Lauren Myracle.

Wokół domu Madame Zanzibar hulała wiatr. Obluzowana rynna uderzała o ścianę. Choć była dopiero czwarta, niebo zrobiło się już ciemno granatowe. Ale w krzykliwie urządzonej poczekalni świeciły jasno już trzy lampki przesłonięte czerwono - niebieskimi apaszkami. Rubinowa poświata rozjaśniała okrągłą twarz Yun Sun, a niebiesko - fioletowa podkreślała trupi wygląd Willa.

- Wyglądasz jakbyś wstał z grobu - powiedziałam.

- Frankie - skarciła mnie Yun Sun. Wskazała ruchem głowy na drzwi gabinetu. Bała się chyba, że Madame Z. Mnie usłyszy i poczuje się urażona. Na gałce drzwi wisiała czerwona plastikowa małpka, informując, że Madame Z ma klienta. My byliśmy następni.

Will miał nieobecne spojrzenie.

- Jestem kosmitą w ludzkim ciele - zajęczał. Wyciągnął ręce w naszym kierunku - Oddajcie mi wasze serca i wątroby.

- Och nie! Kosmici zawładnęli naszym ukochanym Willem! - Ścisnęłam ramię Yun Sun.

- Szybko, oddaj mu swoje serce i wątrobę, żeby się ode mnie odczepił! Yun Sun uwolniła się z uścisku.

- Wcale mnie to nie bawi - rzuciła ostrzegawczo. - I jeśli nie będziecie dla mnie mili, to sobie pójdę.

- Daj spokój - westchnęłam.

- Podniosę swoje wielgachne uda i wymaszeruję stąd. Zobaczycie!

Yun Sun miała fazę na grube uda. I to tylko dlatego, że jej superseksowna balowa suknia wymagała lekkiego poluzowania. Ale przynajmniej miała suknię. I szansę, że ją włoży.

- Bla, bla - odpowiedziałam.

Jej zrzęczenie narażało nasz plan. A szkolny bal miał się odbyć lada dzień. Tym bardziej nie zamierzałam siedzieć sama w domu, kiedy inni, usmarowani brokatem, będą dobrze się bawić. Nie chciałam za żadne skarby tak skończyć, szczególnie że w głębi serca wiedziałam, iż Will ma ochotę mnie zaprosić. Potrzebował tylko odrobiny zachęty. Ściszyłam głos, przez cały czas uśmiechając się do Willa, jakby to były babskie sprawy.

- To był nasz wspólny pomysł, pamiętasz Yun Sun?

- Nie, Frankie, to byt twój pomysł - stwierdziła na cały głos. - Ja już mam partnera na bal, nawet jeśli zgniotę go niechcący moimi udami. To ty liczysz na cud.

- Yun Sun! - Zerknęłam na Willa, który zrobił się czerwony. Wstrętna baba, jak może. Wstrętna, wstrętna, niegrzeczna dziewczyna!

- Auć! - zajęczała. Bo dałam jej kuksańca w bok.

- Jestem na ciebie zła - warknęłam.

- Skończ z tym krygowaniem się. Chcesz żeby cię zaprosił, tak czy nie? Auć!

- Dziewczyny? - wtrącił Will. Robił tę słodką rzecz ze swoją szyją. Jego jabłko Adama podskakiwało w górę i w dół. Chociaż właściwie to był dość nieprzyjemny widok. Przywodził na myśl łowienie zębami jabłek w misce pełnej wody. Co z kolei skojarzyło mi się z zatopieniem zębów w jabłku Adama...

Ale nieważne. Will miał wyjątkowo ruchliwą grdykę, która kołysała się w górę i w dół. To wyglądało tak słodko. Był wtedy taki bezbronny.

- Ona mnie uderzyła - narzekała Yun Sun.

- Zasłużyła sobie - odgryzłam się. Ale nie chciałam ciągnąć dłużej tego tematu; ta rozmowa i tak już zbyt wiele zdradzała. Klepnęłam więc Yun Sun w nieotłuszczone udo i powiedziałam - Ale wybaczam ci. A teraz się zamknij.

Do Yun Sun jeszcze nie dotarło - albo raczej jeszcze tego nie zrozumiała - że nie wszystko należy mówić głośno. Pewnie, że chciałam, żeby Will mnie zaprosił, i to szybko, bo do balu pod hasłem „Wiosna jest dla zakochanych” zostały ledwie dwa tygodnie. Okej, nazwa potańcówki była idiotyczna, ale wiosna naprawdę jest dla zakochanych. To było tak oczywiste, jak to, że Will mógłby być moim chłopakiem. Gdyby wreszcie przełamał nieśmiałość i zrobił ten cholerny pierwszy krok. Już dość koleżeńskiego poklepywania się po plecach, dość chichotania i parskania w trakcie wojen na łaskotki! Dość ściskania się nawzajem i wrzasków, niby że to zabawa w *Porywaczy ciał* czy *Wzgórza mają oczy*. Czy Will nie widział, że sama pcham mu się w ręce?

W ostatni weekend prawie to z siebie wydusiłam, byłam tego pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Oglądaliśmy *Pretty Woman*, kiczowate romansidło, które zawsze bawiło nas do łez. Yun Sun wyszła do kuchni po przekąski, a my zostaliśmy sami.

- Frankie? - zaczął Will. Stukał stopą o podłogę, przebierał palcami po dżinsach. - Mogę cię o coś zapytać?

Każdy głupek by się domyślił, że coś się szykuje. Bo gdyby tylko chodziło mu o podkręcenie głosu w telewizorze, po prostu by rzucił: „Franks, zrób głośniejsze”. Zwyczajnie. Prosto z mostu. Bez żadnych wstępów. Ale skoro były wstępy... To o co innego mógłby

spytać niż: „Czy pójdziesz ze mną na szkolny bal?” Wieczne szczęście było na wyciągnięcie ręki. I wtedy musiałam to zepsuć. Jego wręcz namacalna nerwowość była tak zaraźliwa, że jak tchórz zmieniałam temat. Bo jestem frikiem.

- Popatrz, tak to się robi! - powiedziałam, wskazując na telewizor. Richard Gere galopował na swoim białym rumaku, który w rzeczywistości był limuzyną, do zamku Julii Roberts, który tak naprawdę był mieszkaniem na drugim piętrze. Patrzyliśmy, jak Richard Gere wylazi przez szyberdach i wspina się po schodach przeciwpożarowych, tylko po to, żeby zdobyć uznanie swojej ukochanej. - Żadnych niemrawych podchodów w stylu: „Jesteś nawet całkiem ładna” - ciągnęłam. Gadałam od rzeczy i dobrze o tym wiedziałam. - Mam na myśli akcję, kotku. Wielkie romantyczne gesty. Will przełknął ślinę i powiedział:

- Aha. - Po czym spojrzał na Richarda Gere wzrokiem wystraszonego pluszowego misia, myśląc pewnie, że nigdy, przenigdy mu nie dorówna.

Gapiałam się w telewizor, wiedząc, że przez własną głupotę pożegnałam się z zaproszeniem na szkolny bal. Miałam gdzieś wielkie romantyczne gesty; zależało mi tylko na Willu. Ale musiałam go odstraszyć we własnym błyskotliwym stylu. Bo tak naprawdę, w realu, byłam o wiele większym mięczakiem niż on.

Ale koniec z tym - właśnie dlatego byliśmy u Madame Zanzibar. Ona przepowie nam przyszłość. Jeśli nie jest kompletną partaczką, stwierdzi, co oczywiste, że Will i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. A gdy on to usłyszy, spróbuje jeszcze raz. Zaprosi mnie na bal i tym razem mu na to pozwolę, choćbym miała odgryźć sobie język. Plastikowa małpka na gałce drgnęła.

- Patrzcie, rusza się - wyszeptalam.

- Uchuuu - powiedział Will.

Z gabinetu wyłonił się ciemnoskóry mężczyzna z białymi jak śnieg włosami. Nie miał zębów, przez co dolna połowa jego twarzy była pomarszczona jak suszona śliwka.

- Czołem, dzieci - przywitał nas, uchylając kapelusza. Will wstał i otworzył drzwi wejściowe. Taki właśnie był. Podmuch wiatru prawie przewrócił staruszka; Will go podtrzymał.

- Rany - powiedział Will.

- Dziękuję, synu - odpowiedział starszy pan, Przez brak zębów trochę seplenił. - Lepiej już pójde, zanim nadejdzie huragan.

- Chyba już nadszedł - odparł Will. Gałęzie drzew za podjazdem gięły się i skrzypiały.

- Ten marny wietrzyk? - zakpił staruszek. - Och nie, to tylko dziecko, które się budzi i chce jeść. Przed wschodem słońca będzie gorzej, zapamiętajcie moje słowa. - Przyjrzał się

nam. - A tak właściwie dzieci, to nie powinnyście być w domu? Trudno było się obrażać, gdy bezzębny staruszek nazywał nas „dziećmi”. No ale rany, to był drugi raz w ciągu dwudziestu sekund.

- Jesteśmy już w drugiej klasie liceum - mruknęłam. - Umiemy o siebie zadbać. Jego śmiech brzmiał jak szelest suchych liści.

- No dobrze - odparł. - Na pewno wiecie lepiej. Starszy pan podreptał na ganek, a Will machnął ręką na pożegnanie i zamknął drzwi.

- Stary wariat - usłyszeliśmy za plecami czyjś głos. Odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy Madame Zanzibar w drzwiach gabinetu. Była ubrana we wściekle różowe spodnie od dresu marki Juicy Couture i pasujący do nich różowy top, rozpięty do obojczyków. Piersi miała okrągłe, jędrne i niesamowicie sterczące, szczególnie że raczej nie nosiła stanika. Jej szminka była jasnopomarańczowa, podobnie jak paznokcie i koniuszek papierosa, którego trzymała w dłoni.

- To jak, wchodzimy czy zostajemy w poczekalni? - spytała. - Ujawniamy tajemnice życia czy zostawiamy je w spokoju?

Wstałam z krzesła i pociągnęłam za sobą Yun Sun. Will ruszył za nami. Madame Z. wprowadziła nas do gabinetu. Cała nasza trójka próbowała usadowić się w jednym fotelu. Will zdał sobie sprawę, że to niemożliwe, i usiadł na podłodze. Ja powierciłam się trochę, robiąc sobie więcej miejsca.

- Widzisz? Są jak kielbasy - Yun Sun westchnęła, mając na myśli swoje uda.

- Suń się! - rozkazałam.

- No więc? - zapytała Madame Z. Przeszła obok nas i usiadła za stołem. - Co was tu sprowadza? Przygryzłam wargę. Jak to ująć?

- No więc pani jest medium, prawda? Madame Z. wypuściła z ust obłok dymu.

- Rany, Sherlocku, naprowadziła cię na to reklama w książce telefonicznej? Zarumieniłam się i jednocześnie obruszyłam. Moje pytanie było wstępem do rozmowy. Czy ta babka miała jakiś problem ze wstępami do rozmów? Poza tym jeśli rzeczywiście jest medium, to czy nie powinna wiedzieć, po co tu przyszłam?

- Okej. Jasne, nieważne. No więc, zastanawiałam się...

- Tak? Wyduś to wreszcie. Zebrałam się na odwagę.

- No więc... Zastanawiałam się, czy pewna wyjątkowa osoba zada mi w końcu to właściwe pytanie. - Nie patrzyłam na Willa, ale usłyszałam, jak zakrztusił się z zaskoczenia. Tego się nie spodziewał. Madame Z. przycisnęła dwa palce do czoła i spojrzała w przestrzeń.

- Ehem - mruknęła. - Hm, hm. Widzę coś za mgłą. Jest namiętność, o tak... - Yun Sun

zachichotała; Will głośno przełknął ślinę. - ...Ale są też... Jak to ująć? Czynniki komplikujące. *Rany, dzięki ci, Madame Z.*, pomyślałam. *Może byśmy pogrzebali trochę głębiej? Może jakieś konkrety?*

- Ale czy on... To znaczy ta osoba... W końcu to zrobi? - Nie zamierzałam jej odpuścić, choć czułam supeł w żołądku.

- Zrobi czy nie zrobi? Oto jest pytanie... - odparła Madame Z.

- Tak, no właśnie.

- Na to pytanie każdy musi sobie odpowiedzieć... - urwała. Spojrzała na Willa i zbladła.

- Co? - spytałam niecierpliwie.

- Nic.

- Jednak coś - nalegałam.

Nie nabrałam się na jej występ po tytule „wiadomości od duchów”. Chce, żebyśmy uwierzyli, że nagle została opętana? Że widzi wszystko jak na dłoni? Dobra! Tylko przejdź w końcu do rzeczy!

Madame Z. kontynuowała swój show. Niby to wzięła się w garść, nerwowo zaciągając się papierosem. Patrząc mi prosto w oczy, powiedziała:

- Jeśli w lesie przewróci się drzewo i nikt tego nie usłyszy, to czy wydało dźwięk?

- He? - spytałam.

- To wszystko, co mam do powiedzenia. Uznaj to albo nie. - Wydawała się zdenerwowana, więc milczałam. Chociaż zrobiłam minę do Yun Sun, kiedy Madame Z. nie patrzyła.

Will stwierdził, że nie wie, o co zapytać, ale Madame Z. nalegała - Chciała przekazać mu jakąś wiadomość. Pomachała rękami nad jego aurą i ostrzegła go przed wysokościami. Co w przypadku Willa, który uwielbiał się wspinać, było zadziwiająco trafne. Will najpierw uniósł brwi, a potem :na jego twarzy pojawiło się radosne oczekiwanie. Spojrzał na mnie i się zarumienił.

- Co się dzieje? - spytałam. - Masz przebiegłą minę.

- Przepraszam, co? - spytał Will.

- Co przed nami ukrywasz, Willu Goodmanie?

- Nic, przysięgam!

- Chłopcze, nie bądź głupi! - zbesztła go Madame Z. - Słuchaj tego, co mówię.

- Och, nie musi się pani o niego martwić - rzuciłam. - To wcielenie ostrożności. - Odwróciłam się do Willa. - A tak na serio. Masz na oku jakieś nowe miejsce do wspinaczki?

Albo jakiś błyszczący karabińczyk?

- Teraz kolej Yun Sun - przypomniał Will. - No dalej, Yun Sun.

- Czy umie pani wróżyć z dłoni? - spytała Yun Sun.

Madame Z. wypuściła powietrze i z mizernym zainteresowaniem przeciągnęła palcem po miękkiej poduszeczce poniżej kciuka dziewczyny.

- Będiesz na tyle piękna, na ile sobie pozwolisz - oznajmiła. I tyle. To były jej perły mądrości.

Yun Sun była tak samo rozczarowana jak ja. Miałam ochotę zaprotestować w imieniu całej naszej trójki. No bo, na litość boską! Drzewo w lesie? Uważaj na wysokości? Będiesz na tyle piękna, na ile sobie pozwolisz? Mimo przekonującej atmosfery grozy wszyscy troje zostaliśmy oszukani. A ja w szczególności.

Ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, na biurku zadzwoniła komórka. Madame Z. wzięła ją do ręki i długim, pomarańczowym paznokciem wcisnęła przycisk połączenia.

- Madame Zanzibar, do usług - powiedziała. Przez chwilę stała, nasłuchując, aż wyraz jej twarzy się zmienił. Było widać, że jest rozdrażniona.

- Nie, Silasie. To się nazywa... Możesz to powiedzieć, drożdżycza. Drożdżycza. Wymieniłyśmy z Yun Sun przerażone spojrzenia, chociaż - nie mogłam nic na to poradzić - byłam zachwycona. Nie dlatego, że Madame Z. miała drożdżycę. Ohyda. Ale dlatego, że dyskutowała o tym z Silasem, kimkolwiek był, w naszej obecności. Teraz wreszcie zwróciły się nam pieniądze wydane na tę wizytę.

- Powiedz farmaceucie, że to już drugi raz w tym miesiącu - zrzędziła Madame Z. - Potrzebuję czegoś mocniejszego. Co? Na swędzenie, idioto! Chyba że sam mnie podrapie!

Okręciła się na obrotowym krześle, zakładając jedną nogę na drugą. Will spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Ja nie będę jej tego drapał - rzucił teatralnym szeptem. - Odmawiam! Roześmiałam się, biorąc za dobry znak to, że popisował się przede mną. Przygoda z Madame Z, nie przyniosła oczekiwanych rezultatów? Może jednak będzie miała szczęśliwy finał. Madame Z. wycelowała we mnie koniec papierosa, a ja pochyliłam głowę ze skruchą, jakbym mówiła: sorry, sorry. Żeby zająć się czymś innym, skupiłam się na dziwacznej kolekcji przedmiotów na zakurzonych półkach. Książki pod tytułem *Magia zwykłych rzeczy* i *Co zrobić, gdy zmarli mówią, a ty nie chcesz ich słuchać*. Trąciłam Willa kolanem i pokazałam mu ją palcem. Udał, że dusi biednego, zmarłego drania, a ja parsknęłam śmiechem. Nad książkami zobaczyłam butelkę trucizny, staroświecki monokl, słoik czegoś, co wyglądało jak ścinki paznokci, brudny kubek od Starbucksa i króliczą łapkę z doczepionymi szponami. A jeszcze

wyżej leżała... Och, cudownie.

- Czy to czaszka? - spytałam Willa. Will zagwizdał.

- Jasny gwint.

- Dobra - zamruczała Yun Sun i odwróciła wzrok. - Jeśli tam naprawdę jest czaszka, to ja nie chcę o tym wiedzieć. Możemy już wyjść? Chwyciłam jej głowę i odwróciłam we właściwym kierunku.

- Popatrz! Nawet ma włosy! Madame Z. zamknęła telefon.

- Głupcy. Co do jednego - skwitowała. Jej bladość zniknęła, najwyraźniej rozmowa z Silasem wytrąciła ją z transu. - Ooo! Widzę, że znaleźliście Fernanda!

- To do niego należy czaszka? - spytałam. - Do Fernanda?

- O Boże - jęknęła Yun Sun.

- Wylazł na powierzchnię, kiedy ziemia osunęła się po ulewie na cmentarzu Chapel Hill - wyjaśniła Madame Z. - Znaczy jego trumna. Byle jakie drewniane pudło, pewnie z początków XX wieku. Nie ma już nikogo, kto by się nim zajął, więc się zlitowałam i przyniosłam go tutaj.

- Otworzyła pani trumnę? - spytałam.

- Tak. - Wydawała się dumna. Byłam ciekawa, czy podczas okradania grobu miała na sobie te same dresy Juicy Couture.

- To obrzydliwe, że to ciągle ma włosy - stwierdziłam.

- On ciągle ma włosy - poprawiła mnie Madame Z. - Okaż trochę szacunku.

- Po prostu nie wiedziałam, że zwłoki mają włosy.

- Skóry nie ma - powiedziała Madame Z. - Zaczyna gnić zaraz po pochówku i uwierzcie mi, nie chcielibyście tego wahać. Ale włosy? Czasem rosną nawet kilka tygodni po tym, jak zmarły odejdzie w zaświaty.

- Kurczaki pieczone. - Sięgnęłam ręką do miodowych loków Willa i zmierzwiłam je. - Słyszałeś, Will? Czasem włosy stale rosną.

- Niewiarygodne - stwierdził.

- A tamto, co to takiego? - zainteresowała się Yun Sun, wskazując plastikowe pudełko, wypełnione przezroczystym płynem, w którym pływało coś czerwono-rdzawego. - Niech pani nie mówi, że to też pochodzi od Fernanda. Błagam. Madame Z. machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „Nie bądź śmieszna”.

- To moja macica. Poprosiłam doktora, żeby mi ją dał po histerektomii.

- Pani macica? - Yun Sun zrobiła się zielonkawa.

- Miałam pozwolić, żeby ją spalili w piecu? - spytała Madame Z. - Jeszcze czego!

- A to? - Wskazałam na kępkę czegoś wysuszonego na najwyższej półce. Ta zabawa w „pokaż i powiedz” okazywała się o wiele przyjemniejsza od naszych przepowiedni. Wzrok Madame Z. podążył za moim. Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

- To nic takiego - zaprzeczyła, choć nie odrywała od tego oczu. - No dobra. Czy to już wszystko?

- Prosimy. - Złożyłam dłonie w błagalnym geście. - Niech nam pani powie, co to jest.

- Nie chcecie tego wiedzieć - odparła.

- Ja chcę - oznajmiłam.

- A ja nie - mruknęła Yun Sun.

- Właśnie, że tak - nalegałam. - I Will też, prawda?

- To nie może być gorsze od macicy - skwitował Will. Madame Z. zacisnęła wargi.

- Proszę... - błagałam.

Mruknęła coś pod nosem o głupich nastolatkach i o tym, że nie bierze odpowiedzialności, cokolwiek się wydarzy. Wreszcie wstała i zaczęła macać na oślep po najwyższej półce. Jej biust nawet nie drgnął, wciąż był sztywny i niewzruszony. Wreszcie zdjęła tę kępkę z półki i położyła przed nami.

- Ooo - szepnęłam. - Bukieciak. - Kruche pąki róż, cienkie i suche jak papier, ze zbrązowiałymi brzegami. Gałązki szarzejącej gipsówki, tak wysuszone, że drobinki włókien osypały się na stół. Wszystko związane czerwoną, sfatygowaną wstążką.

- Pewna francuska wieśniaczka rzuciła na niego czar - zaczęła Madame Z. trudnym do rozszyfrowania tonem. Trochę jakby coś zmuszało ją do mówienia, chociaż wcale tego nie chciała. Albo nie. Raczej jakby chciała to powiedzieć, ale walczyła ze sobą, żeby tego nie mówić. - W ten sposób pragnęła pokazać, że prawdziwą miłością kieruje przeznaczenie, i jeśli ktokolwiek się wtrąca, robi to na własne ryzyko. Poruszyła się, żeby odłożyć bukieciak.

- Proszę poczekać! - krzyknęłam. - Jak to działa? Co to robi?

- Nie powiem - oznajmiła z uporem.

- Nie powiem? - powtórzyłam. - Ile pani ma lat? Cztery?

- Frankie! - skarciła mnie Yun Sun.

- Jesteś taka sama jak wszystkie, co? - westchnęła Madame Z. - Zrobisz wszystko, żeby tylko mieć chłopaka. Desperacko dążysz do wielkiej romantycznej miłości, nie bacząc na konsekwencje.

Poczułam, że twarz mi płonie. Ale o to chodziło, wyłożyła kawę na ławę. Chłopaki. Romanse. W sercu zatliła mi się iskierka nadziei.

- Niech jej pani powie - powiedziała Yun Sun. - Bo nigdy stąd nie wyjdziemy.

- Nie - upierała się Madame Z.

- Nie powie, bo to zmyśliła - rzuciłam.

Oczy Madame Z. błysnęły. Sprowokowałam ją, nieładnie z mojej strony, ale coś mi mówiło, że wcale tego nie zmyśliła. A ja chciałam wiedzieć. Położyła bukiet na środku stołu. Leżał tak sobie, skromny.

- Troje ludzi, po trzy życzenia na głowę - powiedziała Madame Z. - Na tym polega jego magia.

Yun Sun, Will i ja spojrzeliśmy po sobie i wybuchnęliśmy śmiechem. To wszystko było jednocześnie groteskowe i doskonałe: burza, wariatka, a teraz te słowa wypowiedziane złowieszczym tonem.

A jednak spojrzenie Madame Z. ostudziło naszą wesołość. Szczególnie sposób, w jaki patrzyła na Willa. Spróbował rozładować atmosferę.

- To czemu pani go nie wykorzysta? - spytał głosem grzecznego, uczynnego nastolatka.

- Już to zrobiłam - odparła Madame Z. Jej pomarańczowa szminka wyglądała jak rdzawa plama.

- I... spełnił pani trzy życzenia? - zapytałam.

- Co do jednego - rzuciła głucho. Nikt z nas nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- A czy ktoś inny tego używał? - spytała Yun Sun.

- Jeszcze jedna osoba. Nie wiem, jakie były jej pierwsze dwa życzenia, ale w ostatnim prosiła o śmierć. W taki sposób bukiet trafił do mnie. Zamurowało nas. Nagle żarty wywietrzyły nam z głowy. Sytuacja wydawała się nierealna, ale jednak byliśmy tu i teraz.

- Rany, to jest przerażające - wycedził Will.

- To... po co pani go trzyma? - szepnęłam, jakbym się bała, że ktoś usłyszy. - Skoro zużyła już pani wszystkie trzy życzenia?

- Doskonale pytanie - odparła Madame Z. Wpatrywała się w bukiet. Wyjęła z kieszeni turkusową zapalniczkę i zapaliła ją. Podniosła bukiet z determinacją, jakby robiła coś, co dawno należało zrobić.

- Nie! - krzyknęłam, wrywając go jej z dłoni. - Proszę mi go dać, jeśli pani już go nie chce!

- Nigdy! Muszę go spalić.

Zamknęłam palce na płatkach róż. W dotyku przypominały pomarszczone policzki mojego dziadka, które głaskałam, kiedy odwiedzałam go w domu opieki.

- Popelniasz błąd - ostrzegła Madame Z. Wyciągnęła rękę, by odebrać mi zdobycz, i

nagle cofnęła ją gwałtownie. Wyczułam w niej tę samą wewnętrzną walkę, która szarpała nią, gdy sprowokowałam ją do rozmowy o bukieciku. Jakby naprawdę miał nad nią władzę. Co oczywiście było bzdurą.

- Jeszcze nie jest za późno, żebyś zmieniła swój los - wykrztusiła.

- A jaki to los? - mruknęłam. Głos mi się załamał. - Los, w którym drzewo przewróci się w lesie, a ja biedna tego nie usłyszę, bo mam zatyczki w uszach? Madame Z. zlustrowała mnie spod swoich grubych rzęs. Skóra wokół jej oczu była cienka jak pomarszczony pergamin. Zdałam sobie sprawę, że jest starsza, niż wcześniej przypuszczałam.

- Jesteś niegrzecznym i bezczelnym dzieckiem. Zaslugujesz na lanie. - Odchyliła się do tyłu na swoim obrotowym krześle i nagle, mogę przysiąc, wyzwoliła się spod niezdrowej władzy bukieciku. A może to on ją uwolnił?

- Zatrzymaj go, jeśli tak zdecydowałaś. Nie biorę żadnej odpowiedzialności za to, co się wydarzy.

- Jak się go używa? - spytałam. Madame Z. prychnęła.

- No, proszę - błagałam. Nie chciałam być nieznośną smarkula. Ale to było strasznie ważne. - Jeśli mi pani nie powie, to źle to zrobię. Pewnie... Nie wiem... Zniszczę cały świat.

- Frankie... daj już spokój - mruknął Will pod nosem. Pokręciłam głową. Nie mogłam. Madame Z. cmoknęła nad moją głupotą. A co tam.

- Trzymasz go w prawej dłoni i głośno wypowiadasz życzenie - powiedziała. - Ale nic dobrego z tego nie wyjdzie.

- I po co to negatywne nastawienie - odparłam. - Nie jestem taka głupia, jak się pani wydaje.

- Nie, jesteś zdecydowanie głupsza - przyznała.

Will pospieszył z pomocą, próbując skierować rozmowę na inne tory. Taki właśnie był. Nie cierpiał nieprzyjemnych sytuacji.

- Czyli nie użyłaby go pani ponownie, gdyby pani mogła? Madame Z. uniosła brwi.

- A czy ja wyglądam, jakbym potrzebowała jeszcze jakichś życzeń? Yun Sun westchnęła głośno.

- Miałabym jedno czy dwa życzenia. Poprosisz dla mnie o uda Lindsay Lohan, co? Kochałam moich przyjaciół. Byli tacy cudowni. Uniosłam bukiecik, ale Madame Z. zachłysnęła się ze strachu i złapała mnie za nadgarstek.

- Na litość boską, dziewczyno - krzyknęła. - Jeśli już masz wymawiać życzenie, to przynajmniej proś o coś sensownego!

- Właśnie, Frankie - poparł ją Will. - Pomyśl o biednej Lindsay. Chcesz, żeby

dziewczyna została bez ud?

- Zostałyby jej łydki - stwierdziłam.

- Ale czy będą jakoś przytwierdzone? I który producent filmowy zatrudni dziewczynę, która ma tylko tułów? Zachichotałam; Will wyglądał na zadowolonego z siebie.

- No co wy. Fuj - wtrąciła Yun Sun.

Madame Zanzibar oddychali nierówno. Może i postanowiła umyć ręce od całej sprawy, ale jej strach, gdy podnosiłam uschnięte pąki róż, był autentyczny.

Włożyłam bukiet do torby delikatnie, żeby go nie zgnieść. A później zapłaciłam Madame Z. dwa razy tyle, ile sobie zażyczyła. Nie rozwodziłam się nad tym, po prostu wręczyłam jej banknoty. Przeliczyła je, po czym przyjrzała mi się śmiertelnie zmęczonym wzrokiem, zaciskając pomarańczowe usta. Jej postawa mówiła: „Jak sobie chcesz. Tylko... bądź ostrożna”.

Poszliśmy do mnie, na pizzę, bo taki był nasz piątkowy rytuał. Sobotni i niedzielny też, przeważnie. Moi rodzice przez cały ten semestr siedzieli na urlopie naukowym w Botswanie, co oznaczało, że chata Frankie była centrum imprezowym. Tyle że nie urządzaliśmy imprez. Moglibyśmy; mój dom był kilometry od miasta, leżał przy nieuczęszczanej drodze gruntowej i nie było dookoła żadnych sąsiadów, którzy mogliby narzekać. Woleliśmy jednak własne towarzystwo; od czasu do czasu wpadał jeszcze Jeremy, chłopak Yun Sun. Chociaż uważał, że ja i Will jesteśmy dziwni. Nie lubił ananasa na pizzach i nie podzielał naszego gustu do filmów.

Krople deszczu uderzały w dach pikapa Willa, gdy przemierzaliśmy krętą Restoration Bouleyard, mijaliśmy Krispy Kreme, Piggly Wiggly i miejską wieżę ciśnień, która wznosiła się samotnie. W kabinie było trochę ciasno, ale Janie miałam nic przeciwko. Siedziałam pośrodku. Gdy Will zmieniał biegi, muskał dłonią moje kolano.

- Ooo, cmentarz - powiedział, wskazując głową bramę z kutego żelaza, którą właśnie mijaliśmy. - Może uczcimy Fernanda minutą ciszy?

- Uczcijmy - odparłam.

Błyskawica rozświetliła rzędy nagrobków i pomyślałam sobie, jak upiornymi i niepokojącymi miejscami są w rzeczywistości cmentarze. Kości. Zgniła skóra. Trumny, które czasem same się wykopują.

Cieszyłam się, gdy byliśmy już w domu. Chodziłam od pokoju do pokoju, zapalając światła, Will zamawiał pizzę, a Yun Sun przeglądała filmy świeżo przysłane przez wypożyczalnię.

- Coś wesołego, okej? - krzyknęłam z przedpokoju.

- Nie *Night Stalker*? - spytała. Dołączyłam do niej w gabinecie i przeszukałam stertę.

- A może *High School Musical*. Nie ma tam nic upiornego.

- Chyba żartujesz - rzucił Will, rozłączając się. - A seksowny taniec z marakasami Sharpay i jej brata? To nie jest upiorne? Roześmiałam się.

- Nie przeszkadzajcie sobie, bawcie się dobrze - dodał. - Ja muszę coś załatwić.

- Wychodzisz? - spytała Yun Sun.

- A co z pizzą? - dodałam. Otworzył portfel i położył na stoliku dwadzieścia dolarów.

- Będzie za pół godziny. Ja stawiam. Yun Sun pokręciła głową.

- Wychodzisz? Nie zostaniesz nawet, żeby zjeść pizzę?

- Muszę coś załatwić - oznajmił.

Serce mi zamarło. Strasznie chciałam, żeby został, chociażby jeszcze na chwilę. Popędziłam z powrotem do kuchni i wyciągnęłam bukietik Madame Z. - przepraszam, mój bukietik - z torby.

- Poczekaj przynajmniej, aż wypowiem życzenie - poprosiłam. Spojrzał na mnie rozbawiony.

- Dobra, wypowiadaj.

Zawahałam się. W pokoju było przytulnie i ciepło, pizza już jechała i miałam przy sobie dwójkę najlepszych na świecie przyjaciół. Czego innego tak naprawdę chciałam?

No coś ty, powiedziała w duchu moja pazerność. Oczywiście balu. Chciałam, żeby Will zaprosił mnie na szkolny bal. Może to było samolubne mieć tak wiele i ciągle chcieć więcej, ale odepchnęłam od siebie te myśli.

No bo spójrz na niego, pomyślałam. Te życzliwe brązowe oczy, ten krzywy uśmiech. Te śmiesznie anielskie loczki. Ta cała słodycz i dobroć, cały Will.

Zanucił motyw z *Jeopardy!* Uniosłam bukietik.

- Chciałabym, żeby chłopak, którego kocham, zaprosił mnie na szkolny bal - powiedziałam.

- No to macie, ludzie! - wykrzyknął Will. Był w jakiejś dziwnej euforii, stanowczo za bardzo podniecony.

- A który chłopak nie chce zabrać na szkolny bal naszej cudownej Frankie? Teraz musimy tylko poczekać, aż to życzenie się... Yun Sun mu przerwała.

- Frankie? Wszystko w porządku?

- To się poruszyło. - Odsunęłam się od bukietika i rzuciłam go na podłogę. Moja skóra była lepka od potu.

- Przysięgam, że się poruszyło, gdy wymówiłam życzenie. I ten zapach. Czujesz?

- Nie - e - odpowiedziała. - Jaki zapach?

- Czujesz, prawda Will?

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. Ciagle był jak na haju, od chwili, kiedy Madame Z. ostrzegła go przed wysokościami. Uderzył piorun. Will trącił mnie w ramię.

- Zaraz zaczniesz winić burzę za to, że przygnała złe wróżki, co? - zakpił. - Albo nie! Pójdiesz dziś spać, a jutro powiesz nam, że znalazłaś na swojej kołdrze zgarbioną i przyczajoną postać ze złowrogim uśmiechem!

- Jak gnijące kwiaty - dodałam. - Serio tego nie czujecie? Nie wkręcacie mnie? Will wygrzebał kluczyki z kieszeni.

- Do zobaczenia w strefie mroku, towarzyszki. Aha, Frankie?

- Co? Kolejny grzmot wstrząsnął domem.

- Nie porzucaj nadziei - powiedział. - Dobre rzeczy przychodzą do tych, którzy na nie czekają.

Patrzyłam przez okno, jak pędził do samochodu w strugach deszczu. W końcu odwróciłam się do Yun Sun; wzbierająca we mnie radość wypierała wszystkie inne uczucia.

- Słyszałaś, co on powiedział? - Chwyciłam ją za rękę.

- O mój Boże, myślisz, że to oznacza to, o czym myślę?

- A co innego może oznaczać? - stwierdziła Yun Sun.

- Zaprosi cię na szkolny bal! Tylko... No nie wiem. Próbuje z tego zrobić wielki show!

- Jak myślisz, co zamierza zrobić?

- Nie mam pojęcia. Zatrudni kogoś od napisów na niebie? Wyśle śpiewający telegram? Zapiszczałam. Yun Sun też. Zaczęłyśmy skakać z radości.

- Muszę przyznać, że akcja z życzeniem była genialna - powiedziała. - Pchnęłam Willa we właściwym kierunku. I te zgniłe kwiaty. Bardzo dramatyczne.

- Ale ja je naprawdę czułam.

- Ha, ha.

- Serio. Spojrzała na mnie i rozbawiona pokręciła głową.

- Pewnie ci się wydawało. Masz bujną wyobraźnię - stwierdziła.

- Pewnie tak.

Podniosłam bukiet z podłogi, trzymając go ostrożnie między kciukiem a palcem wskazującym. Wrzuciłam za książki, ciesząc się, że zniknął mi z pola widzenia. Następnego ranka zbiegłam po schodach w idiotycznej nadziei, że znajdę... Nie wiem co. Setki M&M - sów ułożone w moje imię? Różowe serduszka narysowane na szybach serpentyną w spreju?

Zamiast tego znalazłam zdechłego ptaka. Jego małe ciało leżało na wycieracze,

jakby ptak wleciał w drzwi podczas burzy i skręcił sobie kark.

Podniosłam go przez papierowy ręcznik i niosąc go do kubła na dworze, starałam się nie czuć w dłoni jego miękkiego ciężaru.

- Przykro mi, biedny, śliczny, słodki ptaszku - powiedziałam. - Leć do nieba. Wrzuciłam trupka do kosza i zamknęłam pokrywę z hukiem.

Gdy wróciłam do domu, usłyszałam dzwonek telefonu. Pewnie Yun Sun chce usłyszeć sprawozdanie. Wyszli wczoraj z Jeremym o jedenastej. Musiałam jednak przysiąc, że jak tylko Will zrobi ten odważny krok, natychmiast dam jej znać.

- Cześć piękna - przywitałam się, wiedząc po identyfikacji numeru, że to rzeczywiście ona.

- Nic nowego jak na razie, przykro mi.

- Frankie... - powiedziała Yun Sun.

- Ale myślałam o Madame Z. O tym jej całym gadaniu, żeby nie mieszać się w przeznaczenie.

- Frankie...

- No bo czy takie proste życzenie doprowadzi do czegoś złego? - Podeszłam do zamrażarki i wyjęłam pudełko mrożonych gofrów. - Zacznie na mnie pluć ze zdenerwowania? Przyniesie mi kwiaty, wyleci z nich pszczoła i mnie ukąsi?

- Frankie przestań. Nie oglądałaś porannych wiadomości?

- W sobotę? No, raczej nie. Yun Sun pociągnęła nosem.

- Yun Sun, czy ty płaczesz?

- Wczoraj wieczorem... Will wspiał się na wieżę ciśnień - zaczęła.

- Że co?! - Wieża ciśnień miała, lekko licząc, jakieś dziewięćdziesiąt metrów, a na samym dole stał znak zakazu. Will od zawsze mówił, że chce wejść na szczyt, ale nigdy tego nie zrobił.

- I widocznie poręcz była mokra... Albo to był piorun, jeszcze tego nie wiedzą...

- Yun Sun. Co się stało?

- Wypisywał coś sprejem na wieży, głupi idiota, i...

- Wypisywał sprejem? Will?

- Frankie, zamkniesz się w końcu? Spadł! Spadł z wieży! Ścisnęłam słuchawkę.

- Jezu. Nic mu nie jest?

Yun Sun tak szlochała, że nie mogła mówić. Co było zrozumiałe. Will też był jej przyjacielem. Ale musiała wziąć się w garść.

- Czy on jest w szpitalu? Mogę go odwiedzić? Yun Sun! Usłyszałam zawodzenie, a

potem odgłos szurania. Słuchawkę przejęła pani Yomiko.

- Will nie żyje, Frankie - powiedziała. - Ta wysokość, sposób, w jaki spadł... Nie przeżył tego.

- Co proszę?

- Chen już jedzie, żeby cię zabrać. Zamieszkaś z nami. Tak długo, jak będziesz chciała.

- Nie - odpowiedziałam. - To znaczy... Ja nie - Pudełko gofrów wypadło mi z dłoni. - Will nie umarł. Nie mógł umrzeć.

- Frankie - prosiła smutnym głosem.

- Proszę, nie... - błagałam. - Niech pani nie mówi takim... - Mój umysł przestał działać. Nie wiedziałam, jak go odblokować.

- Wiem, że go kochałaś. Wszyscy go kochaliśmy.

- Chwileczkę - przerwałam. - pisał coś sprejem? Przecież on nie maluje graffiti. Coś takiego robią tylko chuligani, a nie Will.

- Przyjedź do nas. Wtedy porozmawiamy.

- Ale co on pisał? Nic nie rozumiem! Pani Yomiko nie odpowiedziała.

- Proszę mi pozwolić porozmawiać z Yun Sun - nalegałam. - Proszę! Czy może mi pani dać Yun Sun? Usłyszałam stłumioną rozmowę. Yun Sun znowu była przy słuchawce.

- Powiem ci. Ale lepiej, żebyś tego nie wiedziała. Zmroziło mnie; nagle naprawdę poczułam, że nie chcę wiedzieć.

- Pisał sprejem wiadomość. Po to tam wlaźł. - Zawahała się. - Napisał: „Frankie, czy pójdziesz ze mną na bal?”

Osunęłam się na podłogę, tuż obok pudełka gofrów. Czemu na kuchennej podłodze leży pudełko gofrów?

- Frankie? - rzuciła Yun Sun. Brzęczący odległy dźwięk. - Frankie, jesteś tam? Nie podobał mi się ten dźwięk. Rozłączyłam się, żeby ucichł.

Will został pochowany na cmentarzu Chapel Hill. Siedziałam otępiała przez cały pogrzeb. Trumna pozostała zamknięta; jego ciało było zbyt pogruchothane, żeby można je było oglądać. Chciałam się pożegnać, ale jak można się pożegnać z pudłem? Patrzyłam, jak mama Willa wrzuciła garść ziemi w dziurę, w której leżał Will. To było koszmarnie, ale to wszystko wydawało się odległe i nierealne. Yun Sun ścisnęła moją rękę. Nie odwzajemniłam tego gestu.

Tego wieczoru padała wiosenna mżawka. Wyobrażałam sobie ziemię wokół trumny Willa, wilgotną i chłodną. Myślałam o Fernandzie, którego czaszkę uwolniła Madame

Zanzibar, kiedy jego trumna przemieściła się w mokrej ziemi. Przypomniałam sobie, że wschodnia część cmentarza - ta, w której został pochowany Will - była nowsza i bardziej zadbana. No i oczywiście teraz kopało się groby w bardziej nowoczesny sposób. Trumna Willa się nie przemieści. To niemożliwe.

Zostałam u Yun Sun przez prawie dwa tygodnie. Moi rodzice zostali zawiadomieni i zaproponowali, że wrócą z Botswany. Ale powstrzymałam ich. Co by to pomogło? Ich obecność nie przywróciłaby Willowi życia.

W szkole przez kilka dni dzieciaki rozmawiały ściszonymi głosami i gapiły się na mnie, gdy przechodziłam obok. Niektórzy uważali, że to, co zrobił Will, było romantyczne. Inni uważali, że to było głupie. Najczęściej używanym słowem, wypowiedzianym żalobnym tonem, była „tragedia”.

Jeśli o mnie chodzi, to przemierzałam szkolne korytarze jak zombie. Urywałabym się z lekcji, ale wtedy dopadłby mnie szkolny psycholog i zmusił do mówienia. Nic z tego. Mój żal był moją osobistą sprawą, był moją zmorą, która już zawsze miała ze mną pozostać.

Tydzień po śmierci Willa i dokładnie tydzień przed szkolnym bale wszyscy zaczęli mówić o sukniach, rezerwacjach stolików i limuzynach. Błada dziewczyna z grupy chemicznej Willa zdenerwowała się i powiedziała, że bal powinno się odwołać. Ale reszta nie zgadzała się z nią, twierdząc, że impreza powinna się odbyć. Że tego chciałby Will.

W końcu zwrócili się do Yun Sun i do mnie, ponieważ byliśmy najlepszymi przyjaciółkami Willa. I pewnie też dlatego, choć nikt tego nie mówił, że to ja byłam dziewczyną, przez którą zmarł. Oczy Yun Sun zaszyły łzami, ale po chwili stwierdziła, że nie należy psuć wszystkim planów i że siedzenie w domu i opłakiwanie Willa nikomu nie przyniesie ulgi.

- Życie toczy się dalej - stwierdziła. Jej chłopak, Jeremy, przytaknął. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Lucy, przewodnicząca komitetu organizacyjnego, położyła dłoń na sercu.

- To prawda - powiedziała. Odwróciła się do mnie i spojrzała przesadnie zatroskanym wzrokiem. - A co ty o tym sądzisz, Frankie? Myślisz, że jakoś to przeżyjesz? Wzruszyłam ramionami.

- Jest mi wszystko jedno. Osłupiałam, kiedy mnie objęła. To już była lekka przesada.

- Okej ludzie, bierzemy się do roboty - zawołała, biegnąc przez szkolne podwórze. - Trixie, wracaj do pracy nad kwiatami wiśni. Jocelyn, powiedz pani z papierniczego, że potrzebujemy sto błękitnych serpentyn, i nie przyjmuj odmowy! W dzień balu, dwie godziny przed przyjazdem Jeremy'ego po Yun Sun, wrzuciłam swoje rzeczy do torby podróźnej i

oznajmiłam, że wracam do domu.

- Co? - spytała. - Nie ma mowy! - Odłożyła lokówkę. Przybory do makijażu, brokat i błyszczak leżały przed nią na toalecie. Na wieszaku, na drzwiach otwartej łazienki, wisiała liliowa suknia bez ramiączek, z niewielkim dekoltem. Była przepiękna.

- Najwyższy czas - stwierdziłam. - Dziękuję, że mogłam zostać tak długo, ale już czas. Posmutniała. Chciała się kłócić, ale wiedziała, że to prawda. Nie byłam tu szczęśliwa. Właściwie nigdzie nie byłabym szczęśliwa, ale snując się po domu państwa Komiko, czułam się jak w pułapce, a Yun Sun była bezradna.

- Ale dziś jest bal - powiedziała Yun Sun. - Nie będziesz czuć się dziwnie, siedząc w taki wieczór w domu? - Podeszła do mnie. - Zostań do jutra. Przysięgam, że jak wrócę, będę cichutko. I obiecuję, że nie będę nawijać o... Wiesz. Imprezach po balu, o tym, kto kogo poderwał i komu urwał się film w damskiej toalecie.

- Ale właśnie powinnaś się tak zachowywać - odpowiedziałam. - Powinnaś zostać tak długo jak chcesz i hałasować po powrocie. Powinnaś się cieszyć. - Do oczu napłynęły mi łzy, zupełnie niespodziewanie. - Powinnaś, Yun Sun.

Dotknęła mojego ramienia. Odsunęłam się, ale miałam nadzieję, że nie zrobiłam tego zbyt ostentacyjnie.

- Ty też powinnaś, Frankie - powiedziała ciepło.

- No... tak. Ale cóż. - Dźwignęłam torbę, zakładając pasek na ramię.

- Dzwon do mnie, kiedy chcesz. Będę miała włączoną komórkę, nawet gdy będę tańczyć.

- Okej.

- A gdybyś zmieniła zdanie i zechciała zostać...

- Dzięki.

- A może zdecydujesz się przyjść na bal? Wszyscy chcą, żebyś przyszła, wiesz o tym, prawda? To bez znaczenia, że nie masz partnera.

Skrzywiłam się. To, że nie miałam chłopaka, nie było bez znaczenia, bo mógł nim być Will. Nie odszedł do innej dziewczyny, nie dostał grypy, ale nie żył. Przeze mnie.

- O Boże - jęknęła Yun Sun. - Frankie... Odpędziłam ją machnięciem ręki. Nie miałam ochoty na żadne dotyknięcie.

- W porządku. Stałyśmy przez chwilę zakłopotane.

- Ja też za nim tęsknię, wiesz? - mruknęła. Kiwnęłam głową. I wyszłam.

Wróciłam do pustego domu i okazało się, że nie ma prądu. Cudownie. Zdarzało się to o wiele za często. Popołudniowe burze niszczyły transformatory i cała okolica traciła prąd na

parę godzin. Albo wyłączał się bez powodu. Moja teoria była taka, że zbyt wielu ludzi używało klimatyzatorów i linia nie wyrabiała. A teoria Willa była taka, że to duchy, ha, ha, ha.

- Przyszły ci skwasić mleko - mówił straszonym głosem. Will. Ścisnęło mnie w gardle.

Staralam się o nim nie myśleć, ale to było niemożliwe, więc pozwoliłam mu istnieć razem ze mną, w moim umyśle. Zrobiłam sobie kanapkę z masłem orzechowym i jej nie zjadłam. Weszłam na górę i położyłam się na łóżku, nie zdejmując narzuty. Ciemność gęstniała. Zahukała sowa. Gapiłam się na sufit tak długo, aż nie mogłam już dojrzeć pajęczej sieci pęknięć.

Moje myśli, w ciemności, wędrowały w miejsca, w które nie powinny wędrować. Fernando. Madame Zanzibar. „Jesteś taka sama, jak wszystkie, co? Desperacko dążysz do wielkiej romantycznej miłości”.

To właśnie z tej desperacji zrodził się mój dumny plan z Madame Zanzibar i jeszcze to głupie życzenie. To ona popchnęła Willa do działania. Gdybym tylko nie wzięła lego przeklętego bukieciku!

Zerwałam się z łóżka. *O mój Boże - przeklęty bukiecik!*

Złapałam komórkę i wcisnęłam trójkę: szybkie wybieranie numeru Yun Sun. Jedyńka była dla mamy i taty, a dwójka dla Willa. Nie skasowałam jeszcze jego numeru, ale teraz nie będę już musiała tego robić.

- Yun Sun! - krzyknęłam, kiedy odebrała.

- Frankie? - zapytała. W tle dudniło SOS. Rihanny. - Wszystko w porządku?

- W porządku - odparłam. - Nawet lepiej niż w porządku! To znaczy wysiadł prąd, jest kompletnie ciemno; jestem sama, ale to nie ma znaczenia. Bo już niedługo nie będę. - Zachichotałam, wychodząc po omacku na korytarz.

- Co? - spytała Yun Sun. W słuchawce słychać było coraz większy hałas. Ludzie się śmiali. - Frankie, ledwo cię słyszę.

- Bukiecik. Mam jeszcze dwa życzenia! - Zbiegłam na dół, nie posiadając się z radości.

- Frankie, o czym ty...

- Mogę go sprowadzić z powrotem, nie rozumiesz? Wszystko znowu będzie dobrze. Możemy nawet pójść na bal!

- Nie, Frankie! - Głos Yun Sun zabrzmiał ostrzej.

- Jestem kompletną idiotką! Czemu nie pomyślałam o tym wcześniej?

- Czekaj. Nie rób tego, nie wypowiadaj... - Urwała. Usłyszałam „uuupsss”, a zaraz

potem pijackie przeprosiny i kogoś, kto mówił: Och, masz piękną suknię! Wyglądało na to, że wszyscy dobrze się bawią. Niedługo będę się bawić razem z nimi. Dotarłam do gabinetu i podeszłam do półki, na której zostawiłam bukiet. Po omacku przeszukałam górną półkę. Palce trafiły na coś miękkiego, jakby płatki skóry.

- Już jestem z powrotem - rzuciła Yun Sun. Hałas był bardziej przytłumiony; widocznie wyszła na zewnątrz. - Frankie, wiem, że cierpisz. Wiem o tym. Ale to, co przydarzyło się Willowi, było tylko zbiegiem okoliczności. Straszny, okropny zbiegiem okoliczności.

- Nazywaj to, jak chcesz - odparłam. - Wypowiadam drugie życzenie. - Wyciągnęłam bukiet z książek. Niepokój Yun Sun rósł.

- Nie, Frankie, nie możesz!

- Czemu nie?

- Spadł z dziewięćdziesięciu metrów! Jego ciało było... Powiedzieli, że był strasznie pogruchotany... Dlatego miał zamkniętą trumnę, pamiętasz?

- No i?

- Gnił w trumnie przez trzynaście dni! - krzyknęła.

- Yun Sun, to co mówisz jest niesmaczne. Powiedz szczerze, gdyby chodziło o Jeremy'ego, w ogóle nie byłoby tej rozmowy, prawda? - Przysunęłam kwiaty do twarzy, delikatnie dotykając płatków ustami. - Słuchaj, muszę już kończyć. Ale zostawcie dla mnie trochę ponczu! I dla Willa też! Ooo, dla Willa zostawcie go dużo, założę się, że będzie strasznie spragniony! Zamknęłam telefon. Podniosłam bukiet do góry.

- Chcę, żeby Will znowu był żywy! - krzyknęłam w radosnym uniesieniu. Powietrze wypełnił przykry smród zgnilizny. Bukiet się zwinął, jakby pączki kurczyły się i kuliły. Odrzuciłam go od siebie odruchowo, jakbym strącała skorpa, który przypadkiem wlaź mi na rękę. Ale co tam. Bukiet nie był ważny. Ważny był tylko Will. Gdzie on jest? Rozejrzałam się, spodziewając się, że zobaczę go siedzącego na sofie, z wyrazem twarzy pod tytułem: Boisz się wiązki suchych kwiatów? Żaloszne! Sofa była pusta, stała przy ścianie ponura i złowroga. Rzuciłam się do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Nic. Tylko wiatr poruszał liśćmi na wietrze.

- Will? - spytałam.

I znowu nic. Potworna studnia rozczarowania otwarła się w moim wnętrzu. Zapadłam się w skórzany fotel taty.

Głupia Frankie. Głupia, niemądra, żaloszna. Czas mijał. Grały cykady. Głupie cykady.

I nagle słaby, głuchy odgłos. I kolejny. Wyprostowałam się.

Żwir zachrząścił na drodze... A może na podjeździe? Głuche odgłosy się zbliżały. Były wysilone, jakby dziwne, nieregularne utykanie albo jakby ktoś coś włókł.

Wyteżyłam słuch.

O, teraz - uderzenie, pół metra ode mnie, na ganku. Ten dźwięk zdecydowanie nie był ludzki.

Ścisnęło mnie w gardle, gdy słowa Yun Sun dotarły do mnie. Pogruchołotały, mówiła. Gnijący.

Wcześniej jej nie słuchałam. A teraz było już za późno. Co ja narobiłam?

Wyskoczyłam z fotela i uciekłam do przedpokoju, żeby schronić się przed oczami kogoś – lub czegoś - kto mógłby zajrzeć do gabinetu przez wielkie okna. Co ja właściwie przywróciłam do życia?

Po domu rozległo się pukanie. Pisnęłam i przyłożyłam dłoń do ust.

- Frankie? - zawołał głos. - Ja, hm... Oj. Jestem w lekkim nieładzie. - Zaśmiał się z samego siebie. - Ale przyszedłem. To najważniejsze. Jestem tu, żeby cię zabrać na bal!

- Nie musimy tam iść - powiedziałam. Czy to mój głos brzmiał tak piskliwie? - Komu potrzebny bal? Serio!

- Tak, jasne, i to mówi dziewczyna, która zabiłaby, byle tylko przeżyć romantyczny wieczór. - Gałka drzwi zaklekotała. - Nie wpuścisz mnie do środka? Oddychałam tak szybko, że zakręciło mi się w głowie. Dała się słyszeć seria plusków, tak jakby ktoś wrzucał do kosza przejrzałe truskawki, a potem:

- O kurczę. Nie jest dobrze.

- Will? - wyszeptalam.

- To jest takie nefajne... masz może jakiś wywabiacz do plam? *Jasna cholera. Jasna, jasna, jasna cholera.*

- Nie gniewasz się, prawda? - spytał Will. Wydawał się zmartwiony. - Przyszedłem tak szybko, jak się dało. Ale to było megadziwne, Frankie. Bo, no wiesz... Myślałam o trumnach bez powietrza, głęboko pod ziemią. *Błagam, nie*, pomyślałam.

- Nieważne. Było dziwnie, i tak to zostawmy. - Próbował rozluźnić atmosferę. - Wpuścisz mnie wreszcie czy nie? Rozpadam się tutaj!

Przywarłam do ściany. Kolana mi się ugięły i nie za bardzo kontrolowałam mięśnie, ale przypomniałam sobie, że za tymi solidnymi drzwiami wejściowymi jestem bezpieczna. Czymkolwiek był Will, wciąż był z krwi i kości. Przynajmniej częściowo. Ale nie był jeszcze duchem, który mógłby przeniknąć przez ścianę.

- Will, musisz sobie iść - powiedziałam. - Popęłiłam błąd, okej?

- Błąd? Co masz na myśli? - Jego dezorientacja łamała mi serce.

- Chodzi o to... O Boże. - Zaczęłam płakać. - Już do siebie nie pasujemy. Rozumiesz to, prawda?

- Nie, nie rozumiem. Chciałaś, żebym cię zaprosił na bal, więc zaprosiłem. A teraz bez żadnego powodu... Aaa! Rozumiem!

- Rozumiesz?

- Nie chcesz, żebym cię zobaczył! To o to chodzi, prawda? Denerwujesz się, czy ładnie wyglądasz!

- Emm... - *Powinłam to ciągnąć? Powinłam powiedzieć tak, żeby tylko sobie poszedł?*

- Frankie. Dziewczyno. Nie masz się czym martwić. - Zaśmiał się. - Po pierwsze, jesteś piękna, a po drugie w zestawieniu ze mną, nie ma mowy, żebyś nie wyglądała jak... Nie wiem, anioł z nieba.

Wyraźnie mu ulżyło, jakby czuł, że coś tu nie gra, i tylko nie potrafił tego sprecyzować. Ale teraz już wiedział: Frankie i jej problemy z samooceną, tylko tyle! Niemądra Frankie! Usłyszałam szuranie, a potem uderzenie małej drewnianej pokrywy. Zesztywniałam, bo znałam ten dźwięk. Skrzynka na mleko, cholera. Przypomniłam sobie o kluczu w skrzynce na mleko.

- Sam się wpuszczę - zawołał, i szurając, wrócił do drzwi wejściowych. - Okej, Franks? Bo nagle poczułem, że umieram z tęsknoty za tobą! - Znów się roześmiał rozradowany. - Nie, czekaj, to jakoś źle wyszło... Ale co tam, to chyba temat przewodni wieczoru. Wszystko wychodzi jakoś nie tak... I naprawdę mam na myśli wszystko!

Pobiegłam do gabinetu i zaczęłam gorączkowo, na czworakach, przeszukiwać podłogę. Gdyby tylko nie było tak ciemno! Zasuwka się zacięła; Will zabrzączał kluczami. Oddychał z charkotem.

- Wchodzę, Frankie! - zawołał. Brzęk, brzęk. - Nadchodzę tak szybko, jak tylko mogę!

Mój strach osiągnął takie wyżyny, że czułam się, jakbym została przeniesiona do innego wymiaru rzeczywistości. Spazmatycznie łapałam powietrze i krzyczałam. Słyszałam samą siebie, a moje dłonie po omacku czegoś szukały. Zamek przekręcił się ze szczękiem.

- Tak! - zapał Will.

Drzwi zaszurały o wytarty dywan w tej samej chwili, w której zamknęłam w dłoni kruszejący bukiecik.

- Frankie? Czemu tu jest tak ciemno? I czemu nie jesteś... Mocno zacisnęłam powieki i wypowiedziałam ostatnie życzenie.

Wszystkie odgłosy, oprócz wiatru, ucichły. Drzwi, kontynuując swój powolny ruch, uderzyły w końcu o ścianę. Kuliłam się na podłodze. Szlochałam, bo pękało mi serce. Nie, moje serce pękło już dawno.

Po chwili cykady znowu podjęły swój tęskny śpiew. Wstałam i potykając się, ruszyłam przez pokój. Roztrzęsiona stanęłam w otwartych drzwiach. Na dworze błądy snop księżycowego blasku padał na pustą drogę.

MICHELE JAFFE

SUPERDZIEWCZYNY NIE PŁACZĄ

1

Przykro mi, że to zakończenie nie jest bardziej bajkowe - powiedział z uśmiechem mężczyzna i ścisnął ją za gardło. Dusił ją. Patrzył prosto w oczy.

- Jeśli zamierzasz mnie zabić, to się streszczaj. To dość niewygodne.

- Co, moje ręce? Czy uczucie, że okazałaś się do niczego...

- Nie jestem do niczego. ...znowu. Splunęła mu w twarz.

- Masz jeszcze w sobie trochę ognia. Naprawdę podziwiam to w tobie. Myślę, że ty i ja moglibyśmy stworzyć niezły zespół. Niestety, nie ma na to czasu. Szarpnęła się po raz ostatni, próbując oderwać jego dłonie zacisnięte na gardle. Ale on się nawet nie skrzywił. Jej pięści opadły bezradnie.

Pochylił się tak blisko, że poczuła jego oddech.

- Jakieś ostatnie słowo?

- Jedno. Miętówki. Mógłbyś w nie zainwestować. Roześmiał się i mocniej zacisnął dłonie, aż palce mu zbieleły.

- Żegnaj.

Przez sekundę patrzył na nią przenikliwie. Potem usłyszała ostry trzask i poczuła, że upadła na podłogę. Wszystko zrobiło się czarne.

Osiem godzin wcześniej

Seksowne lisiczki wiedzą, że milczenie może być złotem, ale tylko przez cztery sekundy. Jedna więcej i robi się niezręcznie - przeczytała Miranda i zmarszczyła brwi.

- Jeśli czujesz, że zaczęło się odliczanie, zaproponuj mu coś! Zwykle: Masz ochotę na orzeszki? - wypowiedziane z uśmiechem, może w mgnieniu oka przerwać niewygodną sytuację. Pamiętaj, seksowna lisiczka zawsze wie, co robić. Miranda zaczynała wątpić w mądrość książki, która miała niedwuznaczny tytuł *jak zdobyć i pocałować! - faceta*.

Oparła się o czarną minilimuzynę, zaparkowaną w strefie towarowej na lotnisku miejskim Santa Barbara. Myślała o tym, jak bardzo była zachwycona, kiedy znalazła ten poradnik w sklepie. Spełniły się jej najskrytsze marzenia. Czowała, że czeka na nią jedyny możliwy scenariusz: I żyli razem długo i szczęśliwie. Kto nie chciałby się nauczyć „pięciu min, które odmienia twoje życie” czy „sekretów językowej tantry znanych tylko zawodowcom”? Ale po wykonaniu wszystkich ćwiczeń nie była jakoś przekonana co do sprawczej mocy uroczego uśmiechu czy ssania winogrona przez pół dnia. Nie po raz pierwszy zawiodła się na tego typu książkach. Przecież *Nic zwlekaj* i *Sama zdobądź przyjaciół* okazały się totalnymi niewypałami. Ta była jednak wyjątkowo dołująca, bo Miranda wiązała z nią takie nadzieje. I dlatego że - jak wytknęła jej najlepsza przyjaciółka, Kenzi - ktoś, kto zachowywał się w taki sposób w obecności chłopaka swoich marzeń, naprawdę potrzebował pomocy. Przeczytała kolejny akapit.

- Powtórz jego pytanie, sugestywnie unosząc brew. Albo rozpocznij rozmowę na nowo, posługując się zabawnym tekstem! Ty: Czy my jesteśmy w dziale z porcelaną? On: Nie, dlaczego? Ty: Bo jesteś taki wyrafinowany. Jeśli porcelana ci nie odpowiada, skorzystaj z innego przykładu, który nigdy nie zawodzi - Ty: Masz na sobie kosmiczne spodnie? On: Nie, dlaczego? Ty: Bo twój tyłek jest...

- Witam, panno Kiss.

Miranda uniosła głowę i jej wzrok padł na kwadratową szczękę i opaloną twarz sierżanta Caleba Reynoldsa.

Musiała być mocno zamyślona, skoro nie usłyszała nawet bicia jego serca, kiedy się zbliżał. Było charakterystyczne, przypominało rytm cza - czy (wiedziała, jak on brzmi z *Umiesz tańczy!*, kolejnego nieudanego zakupu) Sierżant pewnie będzie miał kłopoty z sercem na starość. Teraz, kiedy miał dwadzieścia dwa lata, nie przeszkadzało mu ono chodzić

na siłownię, przynajmniej sądząc po jego wyglądzie: klatce piersiowej, bicepsach, barach, przedramionach, nadgarstkach... *Przestań się gapić.*

Zawsze dostawała napadu szalonej paszczy, ilekroć próbowała rozmawiać z przystojnym facetem. A co dopiero z najmłodszym w Santa Barbara zastępcą szeryfa, który był ledwie cztery lata starszy od niej. Do tego każdego ranka surfował przed pracą i nawet nie wyglądał głupio w ciemnych okularach, choć dochodziła już ósma wieczorem.

- Cześć, sierżancie. Często pan tu przychodzi? Zmarszczył brwi.

- Nie.

- Nie? No pewnie, bo i po co? Ja też nie. W każdym razie niezbyt często. Może raz w tygodniu. Nie dość często, żeby wiedzieć, gdzie są toalety. Ha, ha! - Pomyślała, nie po raz pierwszy, że życie powinno być wyposażone w zapadnię. Taką małą klapę ewakuacyjną, przez którą można by się ulotnić, kiedy już zrobiło się z siebie kompletną idiotkę. Albo kiedy dostało się spontanicznej erupcji pryszczycy.

- Dobra książka? - zapytał, wyjmując ją z jej dłoni. Przeczytał na głos podtytuł: *- Przewodnik dla grzecznych dziewczynek, które (czasem) chcą być niegrzeczne.*

- To do referatu. Praca domowa. Na temat rytuałów godowych.

- Myślałem, że bardziej w twoim stylu są kryminały. Posłał jej jeden ze swoich półśmiechów; był za dużym luzakiem, żeby uśmiechać się jak należy. - Planujesz w najbliższym czasie udaremniać jeszcze jakieś napady na nocne sklepy? To był błąd. Oczywiście, nie zatrzymanie tych gości, którzy napadli na całodobowy market U Rona, ale to, że została na miejscu i dopuściła, by policja ją zobaczyła. Z jakiegoś powodu trudno im było uwierzyć, że tylko opierała się o latarnię. A ta po prostu przewróciła się na maskę samochodu rabusiów mknącego przez skrzyżowanie. To smutne, jacy ludzie są podejrzliwi, a już szczególnie ci w policyjnych mundurach. I szkolna administracja. Ale od tamtej pory wiele się nauczyła.

- Staram się ograniczać do jednego napadu w miesiącu - powiedziała, starając się przybrać lekki ton seksownej lisiczki.. Ha, ha, tak sobie tylko dowcipkuję! - Dzisiaj jestem w pracy, odbieram VIP - a z lotniska. - Miranda usłyszała, że jego serce zaczęło wystukiwać cza - czę trochę szybciej. Może uważał, że wożenie VIP - ów jest cool.

- W tej twojej szkole z internatem, Chatstworth Academy, wypuszczają was, kiedy chcecie, czy tylko w określone dni?

- W środy i soboty po południu, jeśli jest się w ostatniej klasie. Wtedy nie mamy lekcji - powiedziała i usłyszała, że jego serce jeszcze bardziej przyspieszyło.

- Wolne popołudnia w środy i soboty. Co wtedy robisz?

Czyżby ją zapraszał na randkę? Niemożliwe. Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe! *Flirtuj!* rozkazała sobie w duchu. *Uroczy Uśmiech! Powiedz coś! Cokolwiek! Bądź lisiczką! Natychmiast!*

- *A co ty wtedy robisz?* - powtórzyła mu jego pytanie, unosząc sugestywnie brew. Przez sekundę miał zaskoczoną minę, po czym powiedział bardzo sztywno:

- *Pracuję, panno Kiss. Droga publiczności, gorąco powitajmy Mirandę Kiss, naszą nową Miss Idiotek, pomyślała.*

- *Oczywiście. Ja też. To znaczy albo wożę klientów, albo jestem na treningu drużyny. Gram w Pszczólkach Tony'ego Bosina, w roller derby*. To dlatego to robię.* - Chciała wskazać limuzynę, ale zamiast tego walnęła w nią ręką. - *Żeby być w drużynie, trzeba być kierowcą w firmie Tony'ego, 5B Luxury Transport. Zwykle mecze mamy tylko w weekendy, ale trenujemy w środy, czasami też w inne dni...* - Szalona paszcza umilkła w pół zdania.

- *Widziałem Pszczółki w akcji. To zawodowa drużyna, prawda? Pozwalają grać licealistce?* Miranda przełknęła ślinę.

- *A, jasne. Oczywiście.* Spojrzał na nią znad ciemnych okularów.

- *No dobra, musiałam skłamać, żeby się dostać do drużyny. Tony myśli, że mam dwadzieścia lat. Nie powiesz mu, co?*

- *Uwierzył?*

- *Potrzebował nowej stoperki.* Sierżant Reynolds się roześmiał.

- *Więc to ty jesteś stoperką? Jesteś niezła. Już rozumiem, dlaczego zrobił wyjątek.* - Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę. - *Nigdy bym cię nie poznał.*

- *No cóż, nosimy peruki i złote maski na oczach, żeby wyglądać tak samo.* - To była jedna z rzeczy, które podobały jej się w tym sporcie: anonimowość, to, że nikt nie wiedział, kim jesteś i co potrafisz. Dzięki temu czuła się silna i bezpieczna. Absolutnie nic nie wyróżniało jej z grupy. Sierżant Reynolds zdjął okulary, żeby się jej przyjrzeć.

- *Więc nosisz taki czerwono - biało - niebieski satynowy kostium? Taki z krótką spódniczką i uroczą pelerynką? Chciałbym to kiedyś zobaczyć.* Uśmiechnął się do niej. Zmiękły jej kolana, a w głowie zaczęła się rozgrywać scenka z nim w roli głównej, bez koszulki, za to z dzbankiem syropu i wielką...

- *O, jest moja dziewczyna* - powiedział. - *Na razie.* - I odszedł. ...stertą naleśników. Miranda patrzyła, jak podszedł do kobiety po dwudziestce - z gęstymi jasnymi włosami, chudej, ale muskularnej - objął ją i pocałował w szyję. To była laska, której biustonosze miały

* Roller derby - amerykański sport kontaktowy. Zawodnicy na wrotkach zaliczają okrążenia po owalnym torze i przeszkadzają drużynie przeciwnej.

rozmiar 70C.

I nie były w obrazki z *Hello Kitty*. Usłyszała, jak sierżant mówi kusząco:

- *Poczekaj, aż będziemy w domu. Mam nowe niesamowite zabawki, coś specjalnie dla ciebie.* - Jego głos był ochryply, puls przyspieszony. Kiedy mijal Mirandę, kiwnal jej głową i powiedział:

- *Nie pakuj się w kłopoty.*

- *Nawzajem* - odpowiedziała Szalona Paszcza. Miranda miała ochotę walnąć głową o dach samochodu, żeby się ukarać za własną głupotę. Spróbowała wydać z siebie lekki śmiech (mina numer cztery z książki), ale tylko się zakrztusiła.

Kiedy tamci dwoje byli już po drugiej stronie parkingu, usłyszała, że kobieta zapytała o nią, a sierżant Reynolds odpowiedział:

- *To kierowca limuzyny.*

- *Ona?* - zapytała kobieta. - *Wygląda jak jedna z tych hawajskich stewardes, z którymi się kiedyś umawiałeś, tyle że młodsza. I ładniejsza. A wiesz, jak ci pada na mózg, kiedy rozmawiasz z ładnymi młodymi dziewczynami. Jesteś pewien, że nie muszę się martwić?* Miranda usłyszała, że się roześmiał, szczerze ubawiony.

- *Kotku, to tylko licealistka, która się we mnie podkochuje. Uwierz mi, nie masz się o co martwić. Zapaść się pod ziemię. Teraz. Proszę.* Czasami posiadanie supersłuchu było po prostu do kitu.

Miranda uwielbiała lotnisko Santa Barbara - meksykański styl, posadzki z chłodnej terakoty, niebiesko - złote kafelki ułożone w zawijasy, kępy bugenwilli wijące się na ścianach - wyglądało raczej jak jakaś knajpa w Acapulco niż jak oficjalny budynek. Było małe, więc samoloty lądowały na pasie i przystawiano do nich schody, a wysiadających pasażerów odgradzała tylko drucziana siatka.

Wyjęła z samochodu tabliczkę powitalną, sprawdziła nazwisko - Cuman - i uniosła ją. Podслуchała kobietę w złotym lexusie, cztery samochody dalej, która mówiła do telefonu: - *Jeśli wysiądzie z samolotu, będę wiedziała. Lepiej żeby miał przygotowaną książeczkę czekową.* - A potem przechyliła głowę, by skupić się na ślimaku pełznącym po ciągle jeszcze ciepłym chodniku w stronę kępy bluszczu.

Wciąż pamiętała moment, kiedy zdała sobie sprawę, że nie wszyscy słyszą to, co ona; że nie jest normalna. To było drugie półrocze siódmej klasy w szkole Świętego Bartłomieja. Niedawno wyświetlano im film pod tytułem *Kobiecość. Twoje ciało się zmienia*. Była zdumiona, o ilu zjawiskach w nim nie powiedziano, jak na przykład o niekontrolowanych napadach szybkości. Przypadkowym zgniataniu przedmiotów, które chciało się wziąć do ręki. O uderzaniu głową w sufit sali gimnastycznej przy wyskokach podczas gry w kosza czy dostrzeganiu drobinek kurzu na ubraniach ludzi. Ale kiedy siostra Anna odpowiedziała na jej pytania krótkim „Nie wygłupiaj się, dziecko”, Miranda uznała, że te sprawy są po prostu tak oczywiste, że nie warto o nich mówić. Dopiero kiedy próbowała zdobyć sobie dożgonną miłość Johnniego Voighta, zorientowała się, że jest uzdolniona inaczej. Ostrzegła go, żeby nie ściągał więcej od Cynthii Rile. Wynioskowała z odgłosów jej ołówka na kartce (a siedziała pięć ławek dalej), że dziewczyna zawsze wstawia złe odpowiedzi. Johnnie, zamiast paść przed nią na kolana i oznajmić, że jest jego boginią w dzieciennym biustonoszu i kraciastej spódniczce, nazwał ją frikiem, a potem wścibską suką i próbował ją pobić.

To wtedy się przekonała, jak niebezpieczne mogą być jej zdolności, i że mogą z niej uczynić wyrzutka. I że jest silniejsza od chłopaków w swoim wieku, a im się to nie podoba. Podobnie jak administracja szkoły.

Od tamtej pory stała się ekspertem w udawaniu normalności. Bardzo uważała. Opanowała swoją moc. A przynajmniej tak jej się wydawało, aż do pewnego epizodu sprzed siedmiu miesięcy, kiedy to...

Miranda odepchnęła to wspomnienie i skupiła się na ludziach na lotnisku. Na swojej

pracy.

Przez chwilę obserwowała dziewczynkę z blond loczkami, którą trzymał na rękach ojciec.

Stał nieopodal na chodniku. Dziewczynka machała do kobiety idącej w ich stronę z samolotu i wołała:

- Mamusiu, mamusiu, ale się stęskniłam!

Kiedy patrzyła, jak szczęśliwa rodzinka się ściska i wita, poczuła skurcz, jakby ktoś walnął ją w żołądek. Jednym z plusów chodzenia do szkoły z internatem było to, że koleżanki nie zapraszały jej do swoich domów. A ona nie musiała udawać, że też ma normalną rodzinę. Z jakiegoś powodu, ilekroć wyobrażała sobie rodziców i dzieci razem, zawsze siedzieli przy wspólnym śniadaniu.

Na szczęście tacy ludzie, z tak zwanych normalnych domów, nie chodzili do Chatsworth Academy, najlepszej placówki z internatem w południowej Kalifornii. Choć Miranda nazywała ją w duchu raczej przechowalnią dzieci - miejscem, do którego rodzice (czy, jak w jej przypadku, opiekunowie) oddawali swoje pociechy na przechowanie, dopóki nie będą im do czegoś potrzebne.

Bodajże jedynym wyjątkiem była jej współlokatorka. Miranda i Kenzi Chin mieszkały razem od czterech lat, od pierwszej klasy - dłużej niż z kimkolwiek innym. Kenzi pochodziła z idealnej, śniadaniowej rodziny, miała gładką skórę, idealne wszystko i Miranda pewnie by ją znienawidziła, gdyby Kenzi nie była przy tym tak lojalna i miła. I odrobinę kopnięta. Na przykład tego popołudnia, kiedy Miranda weszła do ich pokoju i zastała koleżankę stojącą na głowie, w samych majtkach. Jej ciało było umazane schnącym błotem koloru mięty.

- Będę musiała chodzić do terapeuty przez resztę życia, żeby usunąć z głowy ten obrazek - powiedziała Miranda.

- I tak będziesz musiała, żeby sobie poradzić z twoją pokręconą rodziną. Ja ci tylko daję trochę IM, żebyś miała o czym gadać. - Kenzi wiedziała o rodzinie Mirandy więcej niż ktokolwiek w Chatsworth. Oczywiście wszystko zmyśliła, ale że była pokręcona - to akurat było prawdą.

Kenzi uwielbiała też skrótowce i co chwilę wymyślała nowe. Miranda rzuciła torbę i klapnęła na łóżko.

- IM?

- Interesującego materiału. Nie wierzę, że nie idziesz na bal - dodała Kenzi. - Zawsze sobie wyobrażałam, że pójdziemy razem.

- Nie sądzę, żeby Beth była zachwycona. No wiesz. Że jest na doczepkę. Beth była

dziewczyną Kenzi.

- Nawet mi nie mów o tej kreaturze - powiedziała Kenzi, udając, że drży. - Cyrk Beth i Kenzi jest oficjalnie zlikwidowany.

- A od kiedy to?

- A która jest?

- Trzecia trzydzieści pięć.

- Więc od dwóch godzin i sześciu minut.

- A, czyli do balu wam przejdzie.

- Oczywiście.

Te „likwidacje” Kenzi zdarzały się mniej więcej raz w tygodniu i nigdy nie trwały dłużej niż cztery godziny. Kenzi uważała, że dramat zerwań i radość godzenia się utrzymywały świeżość związku. I to działało, bo ona i Beth były najszcześniejszą parą na świecie. Kolejny ideał.

- Ale nie próbuj zmieniać tematu. Myślę, że popełniasz ogromny błąd, nie idąc na bal.

- Tak, na pewno nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Ja mówię poważnie.

- Dlaczego? O co tyle zamieszania? To tylko wielka potańcówka z idiotycznym motywem przewodnim. Wiesz przecież, że jestem tańcolektyczką i nie powinnam być wpuszczana na parkiet, na którym są inni ludzie.

- Hold trójkolorowej fladze nie jest idiotyczny, jest patriotyczny, i całkiem dobrze sobie radzisz na parkiecie.

- Libby Geer chyba by się z tobą nie zgodziła. Gdyby nie miała zadrutowanej szczęki.

- Niech ci będzie, ale szkolny bal to nie jest tylko potańcówka. To rytuał przejścia w dorosłość. Chwila, w której przekraczamy granicę świata dorosłych, odrzucamy balast młodzińskich lęków, żeby...

- Się upić i może kogoś zaliczyć, jak będziemy mieć farta.

- Będziesz żałowała, jeśli nie przyjdiesz. Naprawdę chcesz być nieszczęśliwa i przepelniona żalem?

- Właśnie tak! A poza tym idę do pracy.

- Taa, jasne. Znowu zasłaniasz się pracą. Mogłabyś sobie wziąć wolne na jedną sobotę. Przynajmniej przyznaj uczciwie, dlaczego nie idziesz. Miranda zrobiła niewinne oczy, minę numer dwa z książki o całowaniu.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie patrz na mnie jak My Little Pony. Mam dla ciebie cztery litery: W - I - L - L.

- *A ja mam dla ciebie trzy: N - I - E. A i jeszcze parę: O - D - W - A...* Ale Kenzi mówiła dalej, ignorując ją, co potrafiła robić wręcz zawodowo.

- *To prawda, że Will powinien się zaszczepić czy przebadać po tym, jak chodził z Ariel, ale wierzyć mi się nie chce, że odpuściłaś.*

Will Javelin wypełniał jakieś dziewięćdziesiąt osiem procent snów Mirandy. Próbowała wybić sobie go z głowy, od kiedy dowiedziała się, że wybiera się na bal z Ariel West, tej od Cukrowni Westa i od słów: „Nazwałam piersi na cześć rezydencji mojej rodziny. A czy twoja też posiada jakieś posiadłości, Mirando? No tak, zapomniałam, że ty jesteś z domu dziecka”. W końcu, żeby uniknąć złej karmy, powiedziała:

- *W Ariel nie ma nic złego.*

- *Taa, nic, czego nie wypędziłyby egzorcyzmy.* - Kenzi wstała i sięgnęła po ręcznik. - *Przynajmniej obiecaj, że przyjdiesz na imprezę po balu. Do domu rodziców Seana na plaży. Przyjdiesz? Wszyscy tam idziemy. Będziemy oglądać wschód słońca. Pogadasz z Willem. No dobra, kiedy mi wreszcie powiesz, co zaszło między wami tamtego wieczoru? Dlaczego jesteś taka MJG w tej sprawie?* Miranda знаła ten skrót. Milczę jak grób.

- *Po prostu nie ma o czym opowiadać,* - Wzięła plik kartek z półki między łózkami i ułożyła je w porządną stosik.

- *Znowu to robisz. Udajesz, że sprzątasz, żeby uniknąć rozmowy.*

- *Może.* - Miranda patrzyła na kartki. Były to kserokopie artykułów z gazet z ostatniego pot roku. „Złodziej torebki zatrzymany przez tajemniczego dobroczyńcę. Przywiązany do płotu za pomocą jojo”, brzmiał tytuł pierwszego i najświeższego. Kolejny był sprzed paru miesięcy: „Sprawna akcja: Napad z bronią w ręku udaremniony, rabuś stracił kontrolę nad bronią. Świadek twierdzi, że automatyczny dozownik cukierków pojawił się znikąd i wytrącił pistolet z dłoni napastnika”. I wreszcie sprzed siedmiu miesięcy: „Bandyci zatrzymani po napadzie na sklep przez wywróconą latarnię; aresztowano dwie osoby”. Żołądek zwinął jej się w supeł. Na szczęście to tylko trzy z jakiegoś tuzina incydentów, powiedziała sobie. Ale nie poczuła się od tego lepiej. Nikt nie powinien łączyć ze sobą tych wydarzeń. Nigdy. Napad na sklep był pierwszy. Było ciemno, znad oceanu napływała mgła, latarnie rzucały światliste, zamazane kręgi. Jechała na trening jedną z bocznych uliczek, kiedy usłyszała groźby dobiegające z całodobowego marketu U Rona, i po prostu... zadziałała. Nie miała kontroli nad własnym zachowaniem, to było jak we śnie - jej ciało dokładnie wiedziało, co robić, dokąd uciekną bandyci, jak ich zatrzymać. To wszystko wracało do niej jak słowa ulubionej piosenki, nawet jeśli nie słyszało się jej od lat. Tylko że nie miała pojęcia, skąd to wszystko wie.

Kolejne trzy dni po tym incydencie spędziła w łóżku, zwinięta w kłębek, roztrzęsiona. Powiedziała Kenzi, że ma grypę, ale tak naprawdę był to napad paniki. Była przerażona tymi zdolnościami, które nagle przestała kontrolować.

Przerażona, bo używanie ich było takie wspaniałe, takie... słuszne. Jakby dopiero teraz naprawdę zaczęła żyć.

Przerażona, bo wiedziała, co będzie, jeśli ludzie się dowiedzą. Co stanie się z nią. I z... Pomachała kartkami w stronę Kenzi, pytając groźnie:

- Po co ci to?

- Rany, Kapral Kiss urządza musztrę - odparła Kenzi, salutując. - Z całym szacunkiem, proszę pani, ale, jak to mówią w wojsku, MST i KD. Nie uciekniesz od tego, zmieniając temat. MST i KD oznaczało, mówi się trudno i kocha się dalej. Miranda nie mogła się nie roześmiać.

- Gdybym chciała zmienić temat, jednoosobowa armio, zwróciłabym ci uwagę, że to coś na twoim ciele sypie się na dywan. Dekoratorka twojej matki szukała go na trzech kontynentach, bo rzekomo należał do Lucy Lawless. Ja naprawdę chcę wiedzieć, dlaczego interesuje cię uliczna przestępczość w Santa Barbara. Kenzi zeszła z dywanu na drewnianą podłogę.

- Nie uliczna przestępczość, a udaremnione napady. To do mojej pracy maturalnej z dziennikarstwa. Niektórzy ludzie twierdzą, że to działania sił nadprzyrodzonych. Może nawet sama święta Barbara wróciła do swojego miasta.

- Czy to nie może być zbieg okoliczności? Przestępcy wiecznie sprawiają kłopoty, nie?

- Ludzie nie lubią zbiegów okoliczności. I nie jest zbiegiem okoliczności fakt, że zmuszasz mnie do gadania. Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, co zaszło między tobą a Willem. W jednej chwili zanoszi się na to, że coś między wami się zaczyna, a w następnej siedzisz tutaj ze mną. Na dodatek, jeśli wolno mi dodać, rujnujesz mi romantyczny wieczór.

- Przecież ci powiedziałam - jęknęła Miranda. - Nic się nie wydarzyło. Kompletnie nic.

Teraz, oparta o limuzynę w wieczornym półmroku, Miranda pomyślała, że „nic” to było lekkie niedopowiedzenie. To było gorsze niż nic. Ten wyraz twarzy Willa - coś pomiędzy „masz jakieś zielone świństwo na zębach” a „rany, spotkałem wariatkę”, ta mieszanina przerażenia - kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, i...

Nagle coś ją uderzyło. Te artykuły na półce Kenzi pochodziły z czwartkowych wydań, i mówiły o tym, co się wydarzyło - z jej udziałem - w środy. „Wolne popołudnia w środy i soboty”, przypomniała sobie słowa Caleba. Oj, niedobrze. Bardzo niedobrze. Będzie musiała się przyznać.

Złoty lexus za jej plecami odbił od krawężnika. Miranda usłyszała kłótnię siedzącej w

nim pary, przytłumioną szumem klimatyzacji. Kobieta za kierownicą odwróciła głowę, żeby wrzasnąć na męża:

- *Nie kłam! Wiem, że byłeś z nią!* - I wdepnęła gaz do dechy, kiedy rodzina z jasnowłosą dziewczynką weszła na pasy...

Potem nikt nie był pewien, co się właściwie stało. W jednej sekundzie samochód pędził w stronę rodziny na przejściu, w następnej pokazała się jakaś zamazana smuga i rodzina stała na chodniku, osłupiała, ale bezpieczna.

Złoty lexus pędził w dal. A Miranda czuła adrenalinę buzującą w jej krwi. Jak zawsze, kiedy nagle kogoś uratowała. To uzależniało jak narkotyki. I było niebezpieczne jak narkotyki.

Chyba powinnaś kupić słownik. Wiesz, co to znaczy „przycząć się”? Bo na pewno nie to. Zamknij się, to był tylko mały przerzut i pchnięcie. Żaden wielki manewr taktyczny. Nie trzeba było tego robić. To zbyt ryzykowne. Nie jesteś niewidzialna. Ale nikt mnie nie widział. Nic się nie stało. Tym razem.

Miranda była ciekawa, czy każdy ma w głowie takie radio, w którym bez przerwy leci talk - show : *Jesteś totalną ofiarą. Co chcesz udowodnić? Myślisz, że możesz uratować wszystkich? Nie uratowałaś nawet...*

- *Zamknij się.*

- *Co?* - zapytał dziewczęcy głos; Miranda zorientowała się, że mówi na głos, a obok niej ktoś stoi.

Dziewczyna była mniej więcej jej wzrostu, ale młodsza - miała może ze czternaście lat. Ubrana, jakby studiowała wczesne klipy Madonny. Chciała udowodnić, że siatkowe koszulki, rękawiczki bez palców, tapir na głowie, czarny eyeliner, plastikowe bransoletki, halkowe spodnice, kabaretki i kozaczki znów są modne.

- *Przepraszam* - powiedziała Miranda. - *Mówiłam do siebie.* - Nie tak powinien się zachowywać poważny kierowca limuzyny.

- *Aha.* - Dziewczyna podała Mirandzie tabliczkę z nazwiskiem Cuman. - *To chyba twoje. I to* - dodała, wręczając jej małe sześcienne pudełko. Miranda wzięła tabliczkę, ale pokręciła głową, patrząc na pudełko.

- *To nie jest moje.*

- *Musi być. No i ja. Znaczący, ja jestem Sibby Curnan.*

- *Wskazała palcem na tabliczkę.*

Miranda schowała pudełeczko do kieszeni. Otworzyć tylne drzwi. Zastanawiała się, jacy rodzice pozwalają, żeby obca osoba odbierała ich czternastoletnią córkę o ósmej wieczorem.

- *Mogę jechać z przodu?*

- *Klienci wolą jeździć z tyłu* - odparła Miranda swoim najbardziej profesjonalnym tonem.

- *Tak naprawdę chcesz powiedzieć, że to ty wolisz, kiedy jeżdżą z tyłu. Ale jeśli ja chcę jechać z przodu? Czy klienci nie mogą robić tego, co chcą?* Firma 5B Luxury Transport została tak nazwana od pięciu powodów, wymyślonych przez jej . właściciela Tony'ego Bosuna: Bądź punktualna, bądź uprzejma, bądź usłużna, bądź dyskretna, bądź pewna, że dostaniesz pieniądze. Choć Miranda podejrzewała, że wymyślił je po pijaku późną nocą, starała się ich trzymać i była przekonana, że tu miała zastosowanie zasada bądź usłużna. Podeszła do drzwi z przodu, by je otworzyć. Dziewczyna pokręciła głową.

- *Nieważne. Zostanę z tyłu.*

Miranda się uśmiechnęła. Cóż za cudowny dzień. Jej klientka była minidemonem, facet z jej snów szedł na bal z kimś innym, a sierżant, w którym się kochała, nie tylko o tym wiedział, ale jeszcze żartował na ten temat z tamtą babką. Rewelacja. Ale przynajmniej gorzej już nie będzie. *No, teraz wykrakałaś. Zamknij się.*

Sibby Cuman zaczęła gadać, ledwie wyjechały z lotniska.

- *Od jak dawna wozisz ludzi?* - zapytała Mirandę.

- *Od roku.*

- *Wychowałaś się tutaj?*

- *Nie.*

- *Masz jakichś braci?*

- *Nie.*

- *A siostry?*

- *N... nie.*

- *Lubisz prowadzić?*

- *Tak.*

- *Musisz nosić ten drętwy czarny garnitur?*

- *Tak.*

- *Ile masz lat?*

- *Dwadzieścia.*

- *Oj, raczej nie.*

- *No dobra. Osiemnaście.*

- *Uprawiałaś już seks?* Miranda odchrząknęła.

- *To pytanie jest chyba nie na miejscu.* - Stwierdziła, że gada jak doktor Trope, wicedyrektor szkoły; takim tonem komunikował zwykle, że nie zamierza słuchać kolejnej wymówki, dlaczego się spóźniła. Że zasady wymyślono nie po to, żeby mogła je łamać dla zabawy. A skoro już mowa o spóźnieniach, to czy zdecydowała już, co będzie robić w przyszłym roku? Czy może zrezygnowała z miejsca w jednym z najlepszych college'ów. Do tego *naraża* na szwank dobre imię szkoły, a swoje jeszcze bardziej, i że on naprawdę nie wie, co w nią ostatnio wstąpiło. I gdzie podziała się Miranda Kiss, która chciała być lekarzem i ratować świat, która była chlubą szkoły i samej siebie, a teraz jest na prostej drodze, żeby wylecieć. Czy naprawdę tego chcesz, młoda damo? Poznała ten głos bardzo dobrze, bo od początku listopada wysłuchiwała go przynajmniej raz na tydzień.

- *Jesteś dziewicą* - oznajmiła Sibby.

- *To nie jest...*

- *Masz przynajmniej chłopaka?*

- Nie w tej...

- Dziewczyne?

- Nie.

- A masz w ogóle jakichś przyjaciół? Nie jesteś najlepsza w prowadzeniu konwersacji.

Miranda zaczynała rozumieć, dlaczego rodzina dziewczyny nie przyjechała po nią na lotnisko.

- Mam mnóstwo przyjaciół.

- Jasne. Już ci wierzę. Co robisz, kiedy chcesz się zabawić?

- Odpowiadam na pytania.

- Proszę cię, nie próbuj więcej być dowcipna. - Sibby pochyliła się do przodu. - Myślałaś kiedyś, żeby trochę podkreślić oczy? Dobrze by ci to zrobiło. Bądź uprzejma!

- Dziękuję za radę.

- Możesz kawalek podjechać?

- Ehm, stoimy na czerwonym świetle.

- Tylko kawaleczek do przodu... idealnie.

Miranda zerknęła w boczne lustro i stwierdziła, że Sibby opuściła szybę i rozmawia z chłopakami w dżipie.

- Dokąd jedziecie?

- Posurfować przy księżycu. Chcesz jechać z nami, bogini?

- Nie jestem boginią. Myślicie, że wyglądam jak bogini?

- Trudno stwierdzić. Może gdybyś zdjęła koszulkę.

- Może, jak mi dasz całusa. Miranda wcisnęła guzik, by zasunąć szybę.

- Co ty robisz? - zapytała gniewnie Sibby. - Mogłaś mi złamać rękę.

- Zapnij pas, proszę.

- Zapnij pas, proszę - powtórzyła Sibby, przedrzeźniając ją. - Ja tylko chciałam być towarzyska.

- Koniec z towarzyskim zachowaniem, dopóki nie dojedziemy na miejsce.

- Słuchałaś ostatnio samej siebie? Mówisz, jakbyś miała osiemdziesiąt lat, a nie osiemnaście. - Spojrzała na nią ponuro w lustro. - Myślałam że jesteś kierowcą, a nie klawiszem.

- Dbam o to, żebyś dotarła na miejsce bezpiecznie i punktualnie. To wszystko jest zresztą wydrukowane na wizytówce, którą znajdziesz w kieszeni fotela.

- To całowanie się z chłopcami jest niebezpieczne? Ciekawe dlaczego.

- Z miliona różnych powodów. A jeśli mają niewidoczną grzybicę ust? Albo martwą

wagę?

- *Nie ma czegoś takiego jak martwa waga.*

- *A jesteś pewna?*

- *Jesteś po prostu zazdrosna, bo ja umiem się zabawić, a ty nie. Dziewica.* Miranda przewróciła oczami, ale nie skomentowała tego. Za to zaczęła słuchać rozmów telefonicznych w samochodach z tyłu. Jakaś kobieta mówiła, że ogrodnik już jedzie. Facet rozmawiał nawiedzonym głosem: „Widzę tajemniczego nieznajomego, który jest coraz bliżej, nie wiem jeszcze, czy to mężczyzna, czy kobieta”. Jakiś inny mężczyzna rozmawiał z kimś, że chce usunąć tę sukę z testamentu, i nie obchodzi go, że to ulubiona suczka jego matki... Nagle przerwał jej krzyk Sibby:

- *Bar z hamburgerami! Musimy się zatrzymać. Bądź usłużna!*

Miranda pozwoliła Sibby złożyć zamówienie w okienku dla kierowców, ale pożałowała tego, gdy usłyszała, jak dziewczyna mówi do pracownika:

- *Dostanę rabat, jeśli pozwolę się pocałować?*

- *Okej, teraz zapytam poważnie: na jakiej planecie ty się wychowałaś? Dlaczego chcesz się ze wszystkimi całować?* - zapytała Miranda.

- *Tam, skąd pochodzę, nie ma wielu chłopców. I co ma do rzeczy, czy ich znam, czy nie? Całowanie jest świetne. W samolocie pocałowałam czterech. Mam nadzieję dobić do dwudziestu pięciu, zanim dzień się skończy.* Odbierając hamburgera, miała już na koncie kolejnych dwóch delikwentów.

- *Czy wszystkie hamburgery są takie pyszne?* - spytała, kiedy znów były w drodze. Miranda zerknęła na nią w lusterku.

- *Nigdy nie jadłaś hamburgera? Gdzie ty mieszkasz?*

- *W górach* - odparła pospiesznie Sibby i Miranda wyłapała lekkie przyspieszenie jej pulsu, sugerujące, że mała kłamie i nie ma w tym wprawy. Co wydawało się bardzo mało prawdopodobne, jak na kogoś z tak ostrym przypadkiem całusnego świra. Rodzice na pewno nie pozwalali jej ganiać po okolicy i...

Ale to absolutnie nie jest twoja sprawa, przypomniała sobie Miranda. Bądź dyskretna. Po drodze Sibby próbowała wyłudzić całusa jeszcze od czterech chłopaków. Były ledwie półtora kilometra od miejsca przeznaczenia i Miranda zaczynała myśleć, że ta jazda na szczęście zaraz się skończy, gdy Sibby pisnęła:

- *Bogowie, cukiernia! Pączka też zawsze chciałam spróbować. Możemy się zatrzymać? Proszę, proszę, proszę!*

Były spóźnione już prawie godzinę, ale Miranda nikomu nie potrafiłaby odmówić

pączka. Nawet komuś, kto mówił „bogowie”. Ale podjeżdżając, zobaczyła w środku grupkę chłopaków przy stoliku i uznała, że niebezpiecznie będzie dopuścić Sibby w ich pobliże, jeśli nie chciała tu spędzić czterdziestu minut.

- *Ja kupię pączki, a ty zostajesz w środku.* Sibby też zobaczyła chłopaków.

- *Nie ma mowy, idę z tobą.*

- *Albo twój tyłek zostanie w samochodzie, całująca bandytko, albo pączki zostają w cukierni.*

- *To chyba nie jest najgrzeczniejszy sposób zwracania się do klientów.*

- *Możesz skorzystać z mojego telefonu i złożyć na mnie skargę, kiedy ja będę w środku.*

Umowa stoi?

- *Dobra. A mogłabyś przynajmniej otworzyć okno?* - Miranda się zawahała. - *Słuchaj, babciu, obiecuję, że mój tyłek zostanie w samochodzie, ale nie chcę się udusić. Bogowie.*

Kiedy Miranda wyszła z cukierni, zobaczyła, że Sibby wisi w oknie, mocno zajęta całowaniem jakiegoś blondyna.

- *Przepraszam* - powiedziała Miranda, stukając go w ramię. Odwrócił się z trochę nieprzytomnym wzrokiem, i obejrzał ją od stóp do głów.

- *Cześć, dziewczyno moich marzeń. Ty też chcesz całusa? Z takimi wargami jak twoje mógłbym zrobić coś wyjątkowego. I to za darmo.*

- *Dziękuję, ale nie.* - Spojrzała na Sibby. - *Umówiliśmy się chyba...*

- *...że mój tyłek zostanie w samochodzie. Gdzie pozostał. Przekonaj się sama.* Miranda odwróciła się, żeby Sibby nie zobaczyła, jak wszystko się w niej gotuje. Podała dziewczynie pączki i wsiadła za kierownicę. Gdy tylko Sibby wcisnęła się z powrotem do środka, Miranda spojrzała w lusterko.

- *Płaciłaś chłopakom, żeby cię całowali?*

- *I co z tego?* - Sibby spojrzała na nią ze złością. - *Nie każdy może dostać całusa za darmo.* - Kolejne złe spojrzenie. - *Ty prawie nie masz cyczków. Nawet moje są większe. To nielogiczne.*

Sibby umilkła. Nie jadła pączków. Od czasu do czasu wzdychała tylko teatralnie. Mirandzie zrobiło się trochę przykro. Może faktycznie zachowywała się jak babcia. Spojrzała na *Jak zdobyć - i pocałować!* - *faceta*; książka leżała na fotelu obok niej. *Może jesteś zazdrosna, że ona jest cztery lata młodsza od ciebie i w jeden dzień pocałowała więcej chłopaków niż ty będziesz miała randek przez całe życie, nawet jeśli wstawisz sobie implanty i przeżyjesz dwa miliony lat.* Zamknij się. Powinna być miła, podtrzymywać rozmowę.

- *Ile już nzebierałaś całusów?* Sibby wciąż wbijała wzrok we własne kolana.

- Dziesięć. - Po chwili dodała: - *Ale zapłaciłam tylko za sześć. A za jednego dałam tylko ćwierć dolara.*

- *Nieźle.*

Miranda dostrzegła, że Sibby patrzy na nią podejrzliwie, jakby sądziła, że jest przedmiotem żartów. Chyba jednak uznała, że nie jest, bo zaczęła skubać pączka.

- *Mogę ci zadać pytanie?*

- *Nagle prosisz o pozwolenie?*

- *Naprawdę, przestań próbować być dowcipna. Aż żal tego słuchać.*

- *Dzięki za radę. Miałaś jakieś pytanie, czy...*

- *Dlaczego nie chciałaś pocałować tego chłopca? Tego, który ci to proponował?*

- *Chyba nie był w moim typie.*

- *A jaki jest twój typ?*

Miranda pomyślała o sierżancie Reynoldsie. Niebieskie oczy, kwadratowa szczęka, rozczochrane jasne włosy, co rano surfuje. Gość, który zawsze nosi ciemne okulary albo spogląda na ciebie spod zmrużonych powiek i jest zbyt zblazowany, żeby się uśmiechać. A potem wyobraziła sobie Willa, z jego skórą koloru syropu klonowego, z krótkimi loczkami, z szerokim chłopięcym uśmiechem, kiedy stał i rozmawiał z nią. Do tego bez koszulki, po treningu lacrosse'a, z ciałem błyszczącym w słońcu. A dźwięk jego śmiechu sprawiał, że czuła się jak wtedy, kiedy patrzyła na masło roztopiające się na idealnie przypieczonych gofrach.

Oczywiście potajemne wskakiwanie na dach laboratorium biologii morskiej, żeby sobie na niego popatrzeć, nie było jej stałym zwyczajem. Robiła to tylko raz w tygodniu.

- *Nie wiem, to raczej uczucie niż konkretne cechy* - powiedziała w końcu.

- *Ilu chłopaków pocałowałaś? Stu?*

- *Nie.*

- *Dwustu?* Miranda poczuła, że się czerwieni. Miała nadzieję, że Sibby tego nie widzi.

- *Zgaduj dalej.*

Zajechały pod wskazany adres godzinę i piętnaście minut później, niż powinny. Pierwszy raz zdarzyło jej się spóźnić z klientem. Kiedy Miranda otworzyła drzwi, dziewczyna zapytała:

- *Czy całowanie chłopca, który jest twoim typem, naprawdę się różni od przypadkowych całusów?*

- *To skomplikowane.* - Miranda była zaskoczona ulgą, jaką poczuła, gdy się zorientowała, że nie będzie musiała się przyznać przed tą małodumą, iż tak naprawdę nie ma

pojęcia. Budynek wyglądał raczej jak tajna rządowa kwatery dla świadków koronnych niż dom mieszkalny, stwierdziła, odprowadzając Sibby do drzwi. Był wręcz nijaki - szczególnie, że na trawniku jednego sąsiada królewna Śnieżka wraz z siedmioma krasnoludkami odgrywali scenkę Narodzenia Pańskiego, a u drugiego stała wielka pomarańczowo - różowa huśtawka. Jedyne, co rzucało się w oczy, to grube zasłony we frontowych oknach, przez które nie dało się zajrzeć do środka, i solidny dwumetrowy płot. Ulica pełna była odgłosów życia - Miranda słyszała skwierczenie mięsa na grillu, rozmowy, ktoś oglądał *Piękną i Bestię* po hiszpańsku - ale ten dom był cichy, jakby dźwiękoszczelny.

Wychwyciła tylko ciche buczenie dobiegające z wnętrza, trochę jak klimatyzator. Gdy spojrzała w górę, przekonała się, że do domu nie są podłączone żadne kable elektryczne. Więc generator. Ktokolwiek tu mieszkał, był niezależny od dostaw prądu. W sumie dom wyglądał całkiem przytulnie. Jeśli przytulnie równało się złowrogo i sekciarsko. A kobieta, która otworzyła drzwi? Dokładnie tak można opisać kogoś z sekty. Miała szpakowate włosy spięte w luźny kok, długą spódnice i bezkształtny sweter. Mogła mieć od trzydziestu do sześćdziesięciu lat; nie sposób było się zorientować, bo na nosie miała wielkie dwu - ogniskowe okulary w nieładnych prostokątnych oprawkach. Szklą powiększały jej oczy i zasłaniały pół twarzy. Wyglądała całkowicie niegroźnie. Jak nauczycielka, która poświęciła się opiece nad niedołączoną krewną. Lub jakby jedynym jej nałogiem była potajemna miłość do pana Rochester z *Jane Eyre*.

Albo prawie. Właśnie taki wygląd starała się uzyskać. Ale coś było z nią nie tak, jakiś drobiazg, który nie całkiem pasował do całości, jakiś szczegół nie na miejscu. *To. Nie. Twój. Interes.*

Miranda pożegnała się, wzięła dolara napiwku - *Bo naprawdę mocno się spóźniłaś, kochanie* - i odjechała.

Przejechała pół kwartału, zatrzymała samochód i pobiegła z powrotem.

Co ty wyprawiasz? Zapytała samą siebie. Pytanie było retoryczne, jako że siedziała już na drzewie w ogródku sąsiada z królową Śnieżką i siedmioma krasnoludkami i obserwowała dom, w którym zostawiła Sibby.

Już słyszę, jak mówisz glinom: „Tak, panie władzo, wiem, że to wtargnięcie na prywatny teren, ale ta kobieta wyglądała bardzo podejrzanie, bo miała sztuczne rzęsy”.

Do kostiumu nawiedzanej sekciary. Po prostu nie pasowały. A do tego miała dziurkę po kolczyku w nosie. I francuski manikiur.

Może ma bardzo rozszerzone pory! I zamiłowanie do niemodnych pazurów!

Nie była osobą, którą udawała.

Chodzi ci o to, żeby komuś pomóc, czy o pretekst, żeby nie zjawić się na balu i nie zobaczyć Willa wtulonego w puszyste, miękkie...

Zamknij się.

Miałam na myśli włosy Ariel.

To nie jest zabawne.

A ty jesteś tchórzem.

W ogródku siedziało przy stole dwóch gości; pochylali się nad książką leżącą między nimi.

Obaj byli w koszulkach, bojówkach i sandałach; jeden z nich miał okulary w grubych czarnych oprawkach, a drugi brodę. Wyglądali jak dwaj studenci grający w „Lochy i Smoki”, i tak też brzmiała ich rozmowa, kiedy ten w okularach powie - *To nie tak działa. W Księdze Praw jest napisane, że ona nie widzi własnej przyszłości, tylko innych ludzi. Wiesz, jak z dżinami i życzeniami. Nie mogą spełniać własnych.* - Tyle tylko, że każdy z nich miał wielki karabin automatyczny, a na płocie wisiały tarcze strzelnicze.

I co z tego? To uzbrojeni studenci. Może są tu, żeby chronić Sibby. Wracaj do domu. Sibby cię nie potrzebuje. Wszystko jest w porządku.

Jeśli wszystko jest w porządku, to dlaczego Sibby tu nie ma i nie próbuje pocałować tych dwóch?

Miranda wyteżyła słuch, by wylapać cokolwiek z wnętrza domu, ale z całą pewnością był dźwiękoszczelny. Przez rozsuwane drzwi na patio wyszło dwoje ludzi, spory kawałek od studenciaków. Kobieta paliła papierosa krótkimi nerwowymi pociągnięciami. Miranda omal nie spadła z drzewa, kiedy rozpoznała w niej sekciarę, tyle że bez okularów, spódnicy i swetra

i z rozpuszczonymi włosami.

Co nic nie znaczy. Kobieta szepnęła:

- *Byron, dziewczyna musi nam podać miejsce.*

- *Poda.*

- *Jeszcze tego nie zrobiła.*

- *Już ci mówiłem. Nawet jeśli ja nie potrafię jej skłonić do mówienia, to ogrodnik potrafi. Jest w tym dobry.* I znów kobieta:

- *Nie podoba mi się, że sprowadził współpracę. Nie taki był plan. Czy ona dostanie działkę...* Mężczyzna zwany Byronem przerwał jej.

- *Zgaś to i bądź cicho, mamy towarzystwo.* - Wskazał na studentów, którzy wstali od stołu i szli w ich stronę. Kobieta zgmiotła papierosa butem i kopnęła peta.

- *Czy ona dobrze się czuje?* - zapytał student brodac.

- *Tak* - zapewnił go mężczyzna. - *Odoczywa po swojej gehennie. Och, nie mogli mówić o Sibby. Gehenna? No co wy.*

- *Czy coś powiedziała?* - zapytał student okularnik Mężczyzna odparł:

- *Wyraziła tylko swoją wdzięczność, że jest tu z nami.* Miranda omal nie prychnęła.

Student brodac zapytał:

- *Czy będziemy mogli ją zobaczyć?*

- *Kiedy dojdzie do przekazania.*

Studenci odeszli rozanieleni, a Miranda uznała, że to była najdziwniejsza rzecz, jaką widziała w życiu.

Ale to dowodziło, że Sibby nic nie grozi. Ci ludzie najwyraźniej ją czcili. Co oznaczało, że pora się...

- *Tak właściwie to dlaczego mówią na niego Ogródnik?* - Sekciara zapytała Byrona.

- *Bo jest dobry w wrywaniu różnych rzeczy.*

- *Rzeczy?*

- *Zębów, paznokci. Stawów. W ten sposób skłania ludzi do mówienia.* Musi poszukać Sibby.

Miranda zeskoczyła z drzewa do sąsiedniego ogródka i stwierdziła, że patrzy w wylot lufy automatycznego karabinu.

Do góry - powiedział student okularnik - *Ręce, znaczy.*

Miranda zrobiła, o co prosił, bo jemu samemu tak latały ręce, że bała się, że postrzeli ją niechcący.

- *Kim jesteś? Co tu robisz?* - zapytał drżącym głosem.

- *Chciałam tylko na nią zerknąć* - odparłam mając nadzieję, że wypowiedam to odpowiednim tonem.

Zmrużył oczy.

- *Skąd wiedziałaś, że ona tu jest?*

- *Ogrodnik o nie wspominał, ale nie wiedziałam dokładnie, gdzie jest, więc wlałam na drzewo.*

- *Z którego bractwa jesteś?*

Wiedziałam, że to skończy się łzami. I co teraz, mądralo? Miranda uniosła brew i zapytała.

- *A z którego bractwa ty jesteś?* - I dodała dla lepszego efektu - *Na pewno zapamiętałabym takiego faceta, gdybym go widziała.*

Podziałało! Zobaczyłam, że przełknął ślinę; jego jabłko Adama podjechało w górę i opadło. Pomyślałam, że już nigdy nie zwątpię w *Jak zdobyć - i pocałować! - faceta.*

- *Ja też bym cię zapamiętał* - stwierdził okularnik. Uraczyła go dawką uroczego uśmiechu i zobaczyła, że jabłko Adama znów podskakuje.

- *Nie zastrzelisz mnie, jeśli podam ci rękę?* Roześmiał się i opuścił karabin.

- *Nie.* - Wciąż się śmiejąc, wyciągnął rękę. - *Jestem Craig.*

- *Cześć, a ja jestem Miranda* - powiedziała, chwytając jego dłoń. Po czym sprytnym, bezgłośnym przerzutem przewróciła go na plecy i ogłuszyła.

Przez sekundę patrzyłam osłupiała na swoją dłoń. Z całą pewnością nigdy wcześniej tego nie robiłam. I to było zajefajne.

Jeśli już uparłaś się, żeby być idiotką i zaryzykować wszystko, to możesz zrobić to, po co tu przyszłaś. No wiesz, zamiast gapić się na gościa, którego znokautowałaś. Schyliła się i szepnęła mu do ucha:

- *Przepraszam. Weź trzy aspiryny na ból głowy, kiedy się ockniesz. Na pewno pomogą.*

- Zaczęła się skradać pod ścianą domu.

Któreś okno musiało być otwarte, bo tutaj, z tak bliska, słyszała głosy. Mężczyzna,

który przedtem był na dworze, zapytał:

- *Wygodnie ci? I odpowiedź Sibby:*

- *Nie. Nie podoba mi się ta kanapa. Nie do wiary, że to najładniejsze pomieszczenie w domu. Wygląda jak pokój u babci. He, he.*

Idąc za głosem Sibby, Miranda stanęła wreszcie pod jednym z okien i przez szparę w granatowych zasłonach zajrzała do salonu. Były w nim staroświecka sofa, fotel i stolik do kawy. Sibby siedziała bokiem do Mirandy, a przed nią stał talerz z ciastkami. Wyglądała na całą i zdrową. Mężczyzna siedział na kanapie i mówił do Sibby z uśmiechem:

- *Więc gdzie mamy cię podrzucić?* Sibby wzięła ciastko i zjadła je.

- *Powiem wam później.* Mężczyzna wciąż się uśmiechał.

- *Chciałbym wiedzieć, żeby zaplanować trasę. Ostrożności nigdy za wiele.*

- *Bogowie, mamy jeszcze parę godzin do odjazdu. Chciałabym pooglądać telewizję.*

Miranda usłyszała, że serce mężczyzny przyspiesza; zobaczyła, jak zacisnął pięść, ale wciąż lekkim tonem powiedział:

- *Oczywiście.* - Po czym dodał: - *Jak tylko mi powiesz, dokąd mamy cię zawieźć.* Sibby spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- *Głuchy jesteś czy co? Powiedziałam, że dowiesz się później.*

- *Lepiej mi powiedz, bo inaczej będę musiał sprowadzić kogoś innego. Kogoś trochę mniej łagodnego.*

- *Okej. Ale kiedy będę czekać, mogę pooglądać telewizję? Macie kablówkę? Bogowie, jeśli nie macie MTV, to będę naprawdę wkurzona.*

Mężczyzna wstał z taką miną, jakby miał ochotę coś połamać, ale nagle odwrócił się do drzwi. Miranda usłyszała kroki w korytarzu, a z nimi znajomy rytm cza - czy. Dwie sekundy później do pokoju wpadł sierżant Caleb Reynolds. *Widzisz? Sibby nic nie grozi. Policja tu jest. Zmywamy się.* Sierżant Reynolds powiedział do mężczyzny:

- *Dlaczego to trwa tak długo?*

- *Nie chce mówić.*

- *Na pewno zmieni zdanie.* Jego serce przyspieszyło. Sibby spojrzała na niego.

- *Kim jesteś?*

- *Jestem Ogrodnikiem. To bardzo niedobrze,* uznała Miranda.

- *Trawnik od frontu nie robi najlepszego wrażenia* - powiedziała Sibby.

- *Nie takim Ogrodnikiem. To mój nick. Nazywają mnie tak, bo...*

- *Prawdę mówiąc, zupełnie mnie to nie interesuje. Nie wiem, co planujesz, Gnojarku...*

- *Ogrodniku* - poprawił ją, czerwieniejąc lekko.

- ...*Ale jeśli chcesz wiedzieć, gdzie czeka na mnie strażnik, to musisz mnie utrzymać przy życiu, nie? Więc nie możesz mi grozić śmiercią.*

- *Nie, śmiercią nie. Ale bólem.* - Zwrócił się do mężczyzny. - *Idź po moje narzędzia, Byron.* Gdy mężczyzna wyszedł z pokoju, Sibby westchnęła:

- *Nic wam nie powiem.* Sierżant Reynolds obszedł fotel i pochylił się nad nią, stojąc plecami do okna.

- *Posłuchaj mnie...* - zaczął; jego puls nagle zwolnił.

Miranda nie słuchała dalej. Wpadła przez okno, wybijając je nogami, i zanim zdążył się zorientować, ogłuszyła go kopniakiem z obrotu w szyję. Schyliła się, żeby szepnąć mu do ucha *przepraszam*, ale stwierdziła, że za karę nie powie mu o aspirynach. Złapała Sibby, pognęła do samochodu i odjechała z piskiem.

On nawet nie wiedział, że tam jesteś - powiedziała Sibby. - Nie miał pojęcia, kto go załatwił.

- Takie było założenie.

Siedziały w samochodzie zaparkowanym koło opuszczonej zajezdni kolejowej przy starej części torów. Budynek i plac były zupełnie niewidoczne z ulicy. Miranda zaczęła przychodzić tutaj siedem miesięcy temu, żeby pozbyć się energii i poćwiczyć rzeczy, których nie mogła trenować nigdzie indziej - roller derby było świetne, jeśli chodziło o szybkość, równowagę, pchnięcia i gimnastyczne sztuczki, ale na torze nie można było używać zaawansowanych chwytów dzudo. Czy broni.

Na ścianie budynku widziała ślady po ostatnim treningu z kuszą, a na ziemi wciąż leżał kawałek szyny kolejowej, który zgięła i zawiązała na supeł dzień po tym, jak Will ją odrzucił.

Nigdy nie widziała tu nikogo i była pewna, że ona i Sibby będą tu bezpieczne.

- Gdzie się nauczyłaś tak nokautować ludzi? - zapytała Sibby, rozciągnięta na tylnym siedzeniu. - Możesz mnie tego nauczyć?

- Nie.

- Dlaczego nie? Chociaż jeden ruch.

- Nie mam mowy.

- Dlaczego powiedziałaś, przepraszam, kiedy go walnęłaś? Miranda odwróciła się, by na nią spojrzeć.

- Teraz moja kolej na zadawanie pytań. Kto cię chce zabić i dlaczego?

- Bogowie, nie wiem. To może być cała masa ludzi. To nie jest tak, jak myślisz.

- Więc jak?

- To skomplikowane. Ale jeśli możesz mnie gdzieś przechować do czwartej rano, jest jedno miejsce, w które mogę jechać.

- To za sześć godzin.

- To mi da czas przynajmniej na dziesięć calusów.

- No tak, oczywiście. Co innego mogłabyś robić, kiedy ktoś próbuje cię zamordować, jeśli nie obcałowywać się z nieznanymi.

- Oni nie próbowali mnie zabić, tylko porwać. To zupełnie co innego. No chodź, chcę zrobić coś fajnego. Coś z chłopcami.

- *Lepiej tu zostańmy.*

- *Sluchaj, to, że jesteś założycielką sekty Zabić Radość, nie jeszcze, że reszta świata chce się zapisać.*

- *Nie jestem żadną założycielką sekty. Lubię się bawić. Ale...*

- *Zręda.*

- *...Pomysł chodzenia po ulicach, kiedy cała masa ludzi próbuje cię porwać, nie wydaje mi się szczególnie zabawny. A może chcesz się dostać do Księgi Rekordów Guinnessa pod hasłem: najgłupszy plan świata. A poza tym niewinni ludzie mogą ucierpieć, kiedy tamci cię znajdą.*

- *Jeśli, nie kiedy. A poza tym im zależy tylko na mnie.* Miranda przewróciła oczami i usiadła przodem do kierownicy.

- *Ktoś naprawdę może ucierpieć!*

- *Zostaw mnie. Mówię serio. Chociaż nie marzę o niczym innym niż o siedzeniu przez sześć godzin w aucie zaparkowanym w toalecie dla bezdomnych, z tobą do towarzystwa. Lepiej dla nas obu, żebym spróbowała szczęścia gdzie indziej. Na przykład w tej lodziarni, którą mijaliśmy po drodze. Widziałas usta tego za ladą? Były mityczne. Podrzucić mnie tam. Będę w raju.*

- *Nie ma mowy, nigdzie nie idziesz.*

- *Naprawdę? A słyszysz ten dźwięk? Sięgam do klamki.*

- *Naprawdę? A słyszysz ten dźwięk? Wciskam zabezpieczenie przeciwko dzieciom.*

Miranda zobaczyła w lusterku wściekle oczy Sibby.

- *Jesteś naprawdę wstrętna* - stwierdziła. - *Musiało cię spotkać coś strasznego, że zrobiłaś się taka wredna.*

- *Nie jestem wredna. Usiłuję tylko zapewnić ci bezpieczeństwo.*

- *Jesteś pewna, że to o mnie ci chodzi? Nie o jakiegoś trupa w twojej szafie? Jak na przykład wtedy, kiedy...* Miranda włączyła radio na cały regulator.

- *Wyłącz to! Ja teraz mówię, a jestem klientką.*

- *Już nie.*

- *Co się stało z twoją siostrą?* - wrzasnęła.

- *Nie wiem, o czym mówisz* - odwrzasnęła Miranda.

- *Kłamiesz.* Miranda nie odpowiedziała.

- *Zapytałam cię wcześniej, czy masz siostrę, a tobie zachciało się płakać.* - Sibby krzyczała prosto do jej ucha. - *Może mi powiesz, o co chodzi?* Miranda ściszyła radio.

- *A podasz mi trzy powody, dla których powinnam to zrobić?*

- *Może poczujesz się lepiej. Będziemy miały o czym gadać, póki tu siedzimy. Jeśli mi nie powiesz, zacznę zgadywać.* Miranda oparła się, spojrzała na zegarek i odwróciła głowę, by patrzeć przez okno.

- *Proszę bardzo.*

- *Tak ją dręczyłaś, że odeszła? Zanudziłaś ją na śmierć? Czy może wygoniłaś ją tym kijem, który potem połknęłaś?*

- *Przestań oszczędzać moje uczucia. Powiedz, co naprawdę myślisz.*

- *To rzeczywiście mogło być za mocne. Przepraszam.* - westchnęła Sibby. Miranda nie odpowiedziała.

- *Wcale nie połknęłaś kija. Bo nie mogłabyś prowadzić? Ha, ha?* Cisza.

- *Ale sama zaczęłaś. Nie jestem dzieckiem. Mam czternaście lat.* Znow cisza.

- *Powiedziałam, że przepraszam.* - Sibby klapnęła na tylne siedzenie i westchnęła. - *Dobra. Bądź sobie taka.* Cisza. Aż, sama nie wiedząc dlaczego, powiedziała:

- *Nie żyją.* Sibby poderwała się natychmiast i przechyliła w stronę jej fotela.

- *Kto? Twoje siostry?*

- *Wszyscy. Cała moja rodzina.*

- *Nie żyją przez ciebie?*

- *Tak, I dlatego, że czegoś nie zrobiłam. Tak myślę.*

- *Hej, to jest nielogiczne. W jaki sposób... Zaraz, tak myślisz? Nie wiesz, co się stało?*

- *Właściwie niczego nie pamiętam z tego okresu mojego życia.*

- *Chodzi o ten jeden dzień?*

- *Nie. Cały tamten rok. I rok później. Nie pamiętam prawie nic od dziesiątego roku życia do dwunastych urodzin. I mam jeszcze parę takich dziur.*

- *Mówisz o takich rzeczach, które są zbyt bolesne, żeby je wspominać?*

- *Nie, ich po prostu nie ma. Mam tylko przecucia. I sny. Naprawdę złe sny.*

- *Na przykład jakie?*

- *Na przykład takie, że nie było mnie tam, gdzie powinnam być. Coś się stało i zawiodłam wszystkich...* - Umilkła i machnęła ręką.

- *Zaraz, ty naprawdę myślisz, że mogłaś zapobiec temu, co ich spotkało? Sama? Kiedy byłaś parę lat młodsza ode mnie?*

Miranda czuła, że zaciska jej się gardło. Nigdy przedtem nie opowiedziała nikomu swojej historii. Nie rozmawiała nawet o tym z Kenzi. Nigdy. Przełknęła z trudem ślinę.

- *Mogłam próbować. Mogłam tam być i próbować.*

- *Bogowie, to jakieś umartwianie się? Aaa... Obudź mnie, kiedy skończysz.* Miranda

zagapiła się na nią w lusterku.

- Powiedziałaś ci, że nie chcę o tym mówić, ale wierciłaś mi dziurę w brzuchu, a teraz ci się nie podoba to, co mówię? - Znow przełknęła. - Ty mała...

- Nawet nie wiesz, co się stało! Jak możesz mieć wyrzuty sumienia? A poza tym jakim cudem to może być twoja wina? Po pierwsze, ciebie tam nie było, po drugie, miałaś tylko dziesięć lat. Moim zdaniem nie powinnaś się zadręczać czymś, co jest już historią starożytną, i chwytać dzień.

- Przepraszam, czy ty mi właśnie powiedziałaś, że mam chwytać dzień?

- Tak, no wiesz, zapomnieć o przeszłości i postarać się skupić na tym, co się dzieje teraz. Na przykład ta piosenka, która właśnie leci w radiu. Kicha. A dookoła jest całe miasto ślicznych chłopców, których nie całuję. - Miranda wzięła oddech, ale zanim zdążyła się wtrącić, Sibby mówiła dalej: - Wiem, wiem, mówisz przepraszam ludziom, których nokautujesz, ho nigdy nie mogłaś powiedzieć przepraszam swojej rodzinie, a teraz musisz mnie ochronić, bo ich nie zdołałaś ochronić. Teraz rozumiem.

- Wcale tak nie jest. Ja...

- Bla, bla, bla... Tu wstaw zaprzeczenia. Ale tak z innej beczki, dlaczego ochrona musi oznaczać siedzenie w tym samochodzie przez całą noc? Czy nie ma jakiegoś miejsca, gdzie mogłybyśmy się wtopić w tłum? Zamiast ukrywać? Ja świetnie potrafię się wtopić. Jestem jak masło.

- O tak, jesteś jak masło. W tym ubranku jesteś praktycznie niewidzialna. A tak przy okazji Madonna dzwoniła i chce z powrotem swój kostium z Borderline.

- Niezłe, Zrędo. No proszę, pojedźmy gdzieś. Miranda obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni na siedzeniu i powiedziała:

- Powtórzę ci to wielkimi literami. Ktoś. Próbuje. Cię. Zabić.

- Nie. Prawda. Ciagle to powtarzasz, ale przecież ci mówiłam. Nie mogą mnie zabić. Powinnaś popracować nad tą swoją obsesją śmierci. I muszę być z tobą szczerą. Zaczynam się nudzić. Co to za stacja w radiu? Nie ma mowy, żebyśmy siedziały w tym aucie przez sześć godzin.

Miranda musiała się z nią zgodzić. Bo gdyby tu zostały, była pewna, że sama zamorduje Sibby. I wtedy wpadło jej do głowy idealne miejsce, gdzie mogły pójść.

- Chcesz się wtopić w tłum? - zapytała.

- Tak. W tłum chłopców.

- Chłopaków - poprawiła ją Miranda.

- Co?

- *Normalne amerykańskie dziewczyny z tego stulecia nazywają ich chłopakami, nie chłopcami. Jeśli chcesz wiedzieć. Przez sekundę Sibby miała osłupiałą minę. Po czym uśmiechnęła się.*

- *A. Tak. Chłopaki.*

- *Taa, nie tak. Chyba że rozmawiasz z dorosłym.*

- *Taa.*

- *I mówi się: O Boże! Albo Boże! A nie bogowie.*

- *Czyja...*

- *Owszem. I nikt już nie mówi: chwytaj dzień.*

- *Jeszcze zobaczysz.*

- *Nie. W życiu. Aha, i płacenie za całusy. Nie musisz. Oni powinni się czuć szczęściarzami, że cię całują. Sibby zmarszczyła brwi.*

- *Dlaczego nagle jesteś taka miła i mi pomagasz? Nawet mnie nie lubisz.*

- *Bo wiem, jak to jest być daleko od domu i próbować się dopasować. I nie móc nikomu powiedzieć, kim tak naprawdę się jest. Po kilku minutach jazdy w milczeniu Sibby zapytała:*

- *Zabiłaś kogoś gołymi rękami? Miranda spojrzała na nią w lusterku.*

- *Jeszcze nie.*

- *Ha, ha.*

Jesteś nienormalna - powiedziała Sibby, kiedy weszły.

Oczy miała jak spodki.

- Powiedziałaś, że będzie do kitu. Nie jest do kitu. Jest fantastycznie. Miranda zadrżała.

Wśliznęły się do Wielkiej Sali Towarzystwa Historycznego Santa Barbara bocznymi drzwiami, które z okazji balu szkolnego były otwarte. Dzięki temu imprezowicze mogli w każdej chwili wymknąć na dwór i upalić. Rozglądając się, zrozumiała, dlaczego trawka była w tym miejscu nieodzowna. Ściany sali pokrywała niebieska satyna z naszytymi białymi gwiazdami. Cztery wysokie kolumny pośrodku były udekorowane czerwonymi i białymi wstążkami. Stoły z boku nakryto obrusami z nadrukiem amerykańskiej flagi, a na ich środku stały kuliste - akwaria, w których rybki jakimś cudem były czerwone i niebieskie. Wokół sali stały rekonstrukcje głównych amerykańskich symboli narodowych, góra Rushmore, Biały Dom, Statua Wolności, Dzwon Wolności i gejzer Old Faithful - a wszystko z kostek cukru. Dzięki uprzejmości ojca Ariel West. Poprzedniego dnia na apelu oznajmiła, że po balu wszystkie dekoracje zostaną podarowane głodującym, którzy potrzebują cukru. Miranda nie wiedziała, czy to przez balony uwiązane pod sufitem i podskakujące leniwie w górę i w dół, czy przez złe przecucia, ale jakby lekko ją zemdlilo. Sibby była w siódmym niebie.

- Pamiętaj, większość chłopaków przyszła tu z osobą towarzyszącą, więc nie bądź zbyt nachalna z tymi akcjami całującej bandytki.

- Taa, dobra.

- I jeśli usłyszysz, że cię wołam, to przychodzisz.

- Czy ja przypominam psa? - Miranda spojrzała na nią surowo. *- No dobra, okej, Zrędo* - dodała Sibby.

- A gdybyś miała wrażenie, że dzieje się coś dziwnego, to...

- Daję ci znać. Rozumiem. A teraz idź i sama się zabaw. A, no tak, pewnie nie umiesz.

Ale gdybyś miała wątpliwości, zadaj sobie pytanie: Co zrobiłaby Sibby?

- A mogę sobie nie zadawać? Sibby była tak zajęta rozglądaniem się po sali, że nie odpowiedziała.

- Rany, a co to za ciacho tam, w kącie? - zapytała. *- Ten chłopak w okularach?* Miranda rozejrzała się za ciachem, ale zobaczyła tylko Phila Emory'ego.

- Ma na imię Phillip.

- Helo - rzuciła Sibby, obierając kurs prosto na niego. Miranda upchnęła swoją torbę

ze sprzętem wrotkarskim pod stół i stanęła pod ścianą, między Białym Domem i Old Faithful, po części, żeby mieć Sibby na widoku, a po części, żeby nie zauważył jej nikt z grona pedagogicznego. W łazience przebrała się z garnituru w jedyny strój, który miała przy sobie, i choć był on czerwono - biało - niebieski, nie sądziła, by kostium z roller derby był odpowiednią kreacją na szkolny bal. W torbie ze sprzętem miała dwa kostiumy: jeden do gry „u siebie” - biały, satynowy top bez ramion, z niebieską pelerynką i spódniczką w trójkolorowe paski (jeśli coś, co miało piętnaście centymetrów długości i wymagało dopinanych majtek można było nazwać spódniczką) - i wyjazdowy, na gościnne mecze. Taki sam, tyle że niebieski. Uznała, że biały będzie bardziej formalny, ale była pewna, że włożenie go do czarnych pantofli na płaskich obcasach nie dodaje mu szyku.

Stała tak przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, jak to jest, że wszyscy oprócz niej mogą tańczyć, nie robiąc nikomu krzywdy, kiedy nagle usłyszała dwa serca, których bicie dobrze знаła, i zobaczyła Kenzi i Beth przemykające przez tłum w jej stronę.

- *Przyszłaś!* - powiedziała Kenzi, ściskając ją serdecznie. Jedną z cech, które Miranda u niej uwielbiała, było to, że Kenzi zachowywała się, jakby wzięła ecstazy, nawet kiedy nie wzięła; mówiła ludziom, że ich kocha, ściskała ich i nigdy się tego nie wstydziła. - *Tak się cieszę, że jesteś. Bez ciebie było nudno. Więc jak, jesteś gotowa wyzwolić się z kajdan młodzieńczych lęków? Gotowa wziąć w ręce swoją przyszłość? Kenzi i Beth wyglądają zabójczo*, pomyślała Miranda. Kenzi miała na sobie obcisłą niebieską sukienkę odsłaniającą plecy, na których kazała sobie namalować czarną panterę z szafirowym okiem. Beth była w satynowej miniówce i miała na ramieniu bransoletę w kształcie węża, z dwoma rubinami w oczach (a przynajmniej Miranda zakładała, że to rubiny, jako że rodzice Beth byli największymi gwiazdami Bollywood). Dla nich dorosłość była jedną wielką, kręcącą się imprezą z doskonałym didżejem, na którą dostawali się tylko goście z listy VIP - ów. Miranda spojrzała na swój kostium wrotkarski.

- *Powinnam wiedzieć, że kiedy przyjdzie czas, żebym wzięła w ręce swoją przyszłość, będę ubrana jak statystka w rewii na lodzie.*

- *No coś ty, wyglądasz fantastycznie* - powiedziała Beth. Miranda uznałaby to za sarkazm, gdyby nie fakt, że Beth należała do ludzi, którzy urodzili się bez ironii.

- *Serio* - dodała Kenzi. - *Jesteś TSK.* - Totalnie seksowny kociak. - *Widzę wspaniałe rzeczy w twojej przyszłości.*

- *A ja widzę w twojej wizyte u okulisty* - przepowiedziała Miranda. W oddali dostrzegła, jak Sibby ciągnie Phillipa Emory'ego na parkiet. Spojrzała na Kenzi.

- *Uważasz, że jestem ponuraczką? Zrędką?*

- *Ponuraczką? Zrzedą?* - powtórzyła przyjaciółka.

- *O czym ty mówisz? Znowu się uderzyłaś w głowę na treningu?*

- *Nie, pytam poważnie. Jestem rozrywkowa?*

- *Tak* - odparła solennie Kenzi.

- *Tak* - poparła ją Beth.

- *Z wyjątkiem chwil, kiedy robisz MJG* - uzupełniła Kenzi. - *I kiedy masz okres. I w okolicy urodzin. A, i był jeszcze taki jeden dzień...*

- *Nieważne.* - Miranda znów zerknęła na Sibby, która utworzyła już węza na parkiecie.

- *Żartuję* - powiedziała Kenzi, odwracając jej twarz w swoją stronę. - *Uważam, że jesteś bardzo rozrywkowa. No bo kto inny przebrałby się za Detektywa Magnum na Halloween?*

- *Albo wpadł na pomysł, żeby zabawić dzieci na onkologii, odgrywając Jezioro Marzeń figurkami z Disneya?* - dodała Beth. Kenzi kiwnęła głową.

- *No właśnie. Nawet dzieci walczące z rakiem uważają, że jesteś rozrywkowa. I nie tylko one.* To ostatnie zdanie Kenzi wypowiedziała takim tonem, że Miranda nagle się zaniepokoiła.

- *Co zrobiłaś?*

- *Była genialna* - powiedziała Beth. Miranda wystraszyła się jeszcze bardziej.

- *Gadaj.*

- *Nic, tylko takie małe śledztwo* - odparła Kenzi.

- *Co jest grane?* - Dopiero teraz Miranda zauważyła, że Kenzi ma jakieś notatki na przedramieniu.

- *Z Willem i Ariel* - *Wcale ze sobą nie chodzą.*

- *Zapytałaś go?*

- *To się nazywa wywiad* - pochwaliła się Kenzi.

- *Nie. O nie. Powiedz, że żartujesz.* - Czasami współlokatorka z zadatkami na dziennikarkę bywała niebezpieczna.

- *Spokojnie, niczego nie podejrzewa. To wyglądało jak zwykła rozmowa* - odparła Kenzi.

- *Była świetna* - potwierdziła Beth. Miranda znów zatęskniła za zapadnią w podłódze.

- *No więc zapytałam wprost, dlaczego Ariel zaprosiła go na bal, a on stwierdził* - Kenzi zerknęła na notatki - *"Żeby ktoś był zazdrosny". Więc zaczęłam drążyć temat, kto? A on na to: „Ktokolwiek. Ariel żeruje na ludzkich uczuciach”. Czy to nie spostrzegawcze? Szczególnie jak na faceta?*

- *Jest inteligentny* - wtrąciła Beth. - *I miły*. Miranda kiwnęła półprzymtomnie głową, szukając Sibby na parkiecie. W pierwszej chwili jej nie zauważyła, ale potem dostrzegła w ciemnym kącie z Phillipem. Rozmawiającą z nim, a nie całującą się. Z jakiegoś powodu to wywołało jej uśmiech.

- *Popatrz, jest szczęśliwa!* - powiedziała zadowolona Kenzi. Miranda nie chciała jej wyprowadzać z błędu.

- *Dzięki, że się tego dowiedziałas.* - odparła. - *To dla mnie...*

- *Nie słyszałaś jeszcze najlepszego* - ciągnęła Kenzi. - *Zapytałam, dlaczego w takim razie przyjął zaproszenie Ariel, a on powiedział - znów zerknęła na rękę - „Bo nikt nie złożył mi lepszej oferty”.*

- *Ze znaczącym uśmieszkiem* - przypomniała jej Beth.

- *Tak, ze znaczącym uśmieszkiem. I kiedy to mówił, spojrzał mi prosto w oczy. Mówił o tobie!*

- *Jasne.* - Miranda uwielbiała swoje przyjaciółki, nawet jeśli miały urojenia.

- *Przestań na mnie patrzeć, jakbym wpadła do wariatkowa na lobotomię* - powiedziała Kenzi. - *Mam rację. Podobasz mu się i jest do wzięcia. Przestań myśleć i bierz go. ChD.*

- *ChD?*

- *Chwytaj dzień* - rozwinęła Beth. Mirandzie opadła szczęka.

- *Nie wierzę.*

- *W co?* - zapytała Kenzi.

- *Nieważne.* - Miranda pokręciła głową. - *Nawet jeśli jest wolny, to wcale nie znaczy, że chciał się umówić ze mną.* Kenzi spojrzała na nią spod zmrużonych powiek.

- *A te kliwne gadki, niby od niechcenia, jaka to jesteś fajna i inteligentna... A poza tym patrzyłaś ostatnio w lustro?*

- *Ha, ha. Uwierz mi...*

- *Cześć!* - powiedziała Beth, przerywając jej w pół zdania i odciągając Kenzi. - *Na razie!*

- *I nie zapomnij! ChD!* - dodała Kenzi przez ramię. - *I bierz go!*

- *Dokąd wy...* - zaczęła Miranda, ale nagle usłyszała tuż obok bicie serca i obróciła się gwałtownie. I omal nie walnęła ramieniem o klatkę Willa.

Hej! - zawołał wesoło.

- *Ho!* - Boże. Boże. Czy choć raz nie mogła odezwać się normalnie? Dzięki, szalona paszczo. Will uniósł brew.

- *Nie wiedziałem, że przyjdiesz.*

- *No bo... Zmieniłam zdanie w ostatniej chwili.*

- *Ładnie wyglądasz.*

- *Ty też.* - Co było niedopowiedzeniem. Wyglądał jak podwójna sterta naleśników z jabłkami i cynamonem, z dodatkiem bekonu i placków ziemniaczanych (super - chrupkich). Jak najlepsza rzecz, na jaką kiedykolwiek patrzyła.

Zorientowała się, że się gapi, więc odwróciła wzrok, czerwona jak burak. Minęła chwila milczenia. I kolejna. Nie pozwalaj, żeby minęły cztery sekundy, przypomniała sobie. Musiała minąć już przynajmniej jedna; zostały trzy, teraz już dwie, powiedz coś! Powiedz...

- *Masz na sobie kosmiczne spodnie?* - zapytała go.

- *Słucham?* Jak to szło dalej? A, tak.

- *Bo masz wyrafinowany tytek.* Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby brał miarę na kaftan bezpieczeństwa.

- *Zdaje mi się...* - zaczął, po czym umilkł. Ewidentnie miał problemy z mówieniem. Trzy razy odchrząknął, zanim wreszcie powiedział: - *Ten tekst powinien chyba brzmieć: „Bo twój tytek jest niezemski”.*

- *A. To rzeczywiście ma większy sens. Rozumiem. Bo widzisz, wyczytałam to w takiej jednej książce o tym, jak poderwać takiego faceta jak ty, i tam było napisane, że ten tekst jest niezawodny, ale ktoś mi przerwał w połowie... A poprzednia gadka była o porcelanie, no wiesz, takiej eleganckiej. I tam pewnie było o wyrafinowaniu. No i mi się pomieszało.* - Will milczał. Przypomniała sobie inną radę z książki: „Kiedy masz wątpliwości, coś mu zaproponuj”. Sięgnęła, a raczej złapała pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w rękę, podstawiła mu pod nos i zapytała: - *Orzeszka?* Zrobił minę, jakby za chwilę miał się zakrztusić. Znów odchrząknął parę razy, wziął od niej orzeszki, odstawił z powrotem na stół, podszedł bliżej, tak że ich nosy prawie się dotykały, i powiedział:

- *Czytałaś książkę na ten temat?* Miranda nie słyszała nawet bicia jego serca, bo jej własne tłukło się zbyt głośno.

- *Tak. Najwyraźniej nie robiłam tego jak należy. No bo jeśli pocałujesz chłopaka, a on*

się odsuwa i patrzy na ciebie, jakby twoja skóra zrobiła się fioletowa i oślizgła, to ewidentny znak, że trzeba się trochę doksztalcić...

- Mówisz więcej, kiedy jesteś zdenerwowana? - Przysunął się jeszcze bliżej.

- Nieprawda. To absurd. Ja tylko próbuję ci wyjaśnić...

- Czy ty się denerwujesz?

- Nie. Wcale nie.

- Trzęsiesz się.

- Zimno mi. Przecież prawie nic na sobie nie mam. Spojrzał na jej usta i znów w oczy.

- Zauważyłem. Miranda głośno przełknęła ślinę.

- Posłuchaj, powinnam... Złapał ją za nadgarstek, zanim zdążyła odejść.

- Ten pocałunek to był najbardziej odjazdowa rzecz w moim życiu. Odsunąłem się, bo się bałem, że nie dam rady się powstrzymać i zedrę z ciebie ciuchy. A to nie wydawało mi się właściwym zakończeniem pierwszej randki. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że tylko na tym mi zależy.

Gapiała się na niego. Znów zapanowało milczenie, ale tym razem nie martwiła się, czy nie trwa za długo.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - zapytała w końcu.

- Próbowałem, ale za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, ulatniałaś się. Miałem wrażenie, że mnie unikasz.

- Nie chciałam, żeby było niezręcznie.

- Tak, nie było niczego niezręcznego w chowaniu się za rośliną w donicy, kiedy przyszedłem w środę do jadalni.

- Ja się nie chowałam. Ja oddychałam. No wiesz. Tlenem. Z rośliny. Takie powietrze jest bardzo natlenione. Wsadź głowę do mikrofalówki. Teraz.

- Oczywiście. Powinienem był się domyślić.

- To dla zdrowia. Niewiele osób o tym wie. I zostaw ją tam, aż się dopieczę.

- Nie, z pewnością... Miranda wypaliła:

- Mówiłeś poważnie? Że ci się podobało, kiedy cię pocałowałam?

- Naprawdę. Bardzo.

Ręce jej się trzęsły. Chwyciła go za kłapy i przyciągnęła do siebie. W tej chwili muzyka umilkła. Zapaliły się znaki wyjść ewakuacyjnych i blaszany głos oznajmił przez głośnik:

- Proszę kierować się do najbliższego wyjścia i natychmiast opuścić budynek. Miranda i Will zostali rozdzieleni przez tłum płynący do drzwi, kierowany przez czterech mężczyzn w

kaskach i kamizelkach kuloodpornych. Komunikat powtarzał się raz po raz, ale Miranda nie słyszała ani tego, ani Ariel West, wrzeszczącej, że ktoś zapłaci za zrujnowanie jej balu. Ani jak ktoś mówi naćpanym głosem, że to najbardziej odlotowy sposób zakończenia imprezy. Słyszała tylko znajome raz - dwa - trzy i cza - cza - cza. To było serce sierżanta Reynoldsa, odrobinę przytłumione przez kamizelkę kuloodporną. To nie były ćwiczenia.

- *To przez nas, prawda?* - spytała Sibby, która przybiegła natychmiast i stanęła obok Mirandy. - *To po nas przyszli ci antyterrorysty.*

- *Tak.*

- *Miałaś rację. Powinnam była siedzieć w ukryciu. To moja wina. Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda. Po prostu oddam się w ręce tych ludzi i będą musieli zostawić w spokoju...* Miranda przerwała jej.

- *Po tym wszystkim? Kiedy zostały tylko trzy godziny? I to mówi dziewczyna, która wtapia się w tłum jak masło? Nie ma mowy. Jeszcze nie jest po wszystkim. Możemy się stąd wydostać.*

Próbowała mówić to pewnym głosem, ale była przerażona. *I co ty znowu wyprawiasz?* Zapytał głos w jej głowie. *Nie mam pojęcia.* Sibby spojrzała na nią z nadzieją w oczach.

- *Naprawdę? Znasz jakieś wyjście?* Miranda przełknęła ślinę i powiedziała do Sibby:

- *Chodź za mną. A do siebie: Błagam, nie nawal.*

Wszystko udało się doskonale. Prawie. Wyjść pilnowało sześciu gości, a przy drzwiach stało kolejnych czterech. Sprawdzali wszystkich wychodzących. W sumie dziesięciu. Mieli na sobie stroje antyterrorystów i maski. I cierpliwie wyjaśniali, że był alarm bombowy i trzeba jak najszybciej wszystkich ewakuować. Nikt nie pytał, dlaczego są uzbrojeni w automaty, którymi popychali tłum. Nikt, z wyjątkiem doktora Trope'a, który podszedł do jednego z nich i powiedział:

- Młody człowieku, proszę cię, żebyś trzymał broń z daleka od moich uczniów - i zajął go na wystarczająco długą chwilę, by Miranda i Sibby zdążyły zgubić się w tłumie. Udało im się minąć pierwszych dwóch funkcjonariuszy; zostało jeszcze dwóch, kiedy Ariel wrzasnęła:

- Doktorze Trope? Doktorze Trope? Niech pan popatrzy, tam jest Miranda Kiss. Mówiłam, że to ona zepsuta bal. Jest tam, w samym środku. Niech pan... Czterej mężczyźni z karabinami odwrócili się jak na komendę i zaczęli przepychać między uczniami. Miranda szepnęła do Sibby:

- Schyl się - i zanurkowały w tłum. Na czworakach wróciły do Wielkiej Sali. Gdzieś z tyłu usłyszała głos doktora Trope'a:

- Gdzie ona jest? Gdzie się podziała? Nie wyjdę stąd, póki została tu moja uczennica. Jeden z policjantów zaczął nalegać:

- Proszę, sir, musi się pan ewakuować. Znajdziemy ją. Proszę się nie martwić. Miranda pomyślała, że jeśli wyjdzie z tego żywa, będzie miłsza dla doktora Trope'a. Jeśli. Pociągnęła Sibby za gejzer z cukru i powiedziała:

- Właź do środka. Szybko.

- Dlaczego nie mogę się schować w Białym Domu? Dlaczego muszę wlaźć do wulkanu?

- Mogę potrzebować części Białego Domu. Proszę cię, zrób to i nie gadaj. Nie zobaczą cię, jeśli mają noktowizory.

- A ty? Jesteś ubrana na biało.

- Ja pasuję do dekoracji.

- Rany, ty jesteś w tym naprawdę dobra. W tych taktycznych zagrywkach. Gdzie się nauczyłaś...

Miranda zastanawiała się nad tym samym. Była ciekawa, jakim cudem, ledwie usłyszała komunikat, jakaś część jej mózgu zaczęła szacować odległość do wyjść, rozglądać

się za bronią, obserwować drzwi. Stwierdziła z ulgą, że jej zmysły zaczęły pracować w trybie awaryjnym; to oznaczało, że jej moce zaczęły działać. Ale czy naprawdę była dość silna, by unieszkodliwić dziesięciu uzbrojonych mężczyzn? Przedtem załatwiała najwyżej trzech naraz. A tamci nie byli uzbrojeni w karabiny maszynowe. Potrzebowała taktyki, a nie bezpośredniego starcia. Powiedziała do Sibby:

- *Daj mi buty.*

- *Po co?*

- *Chcę się pozbyć chociaż części konkurencji, żebyśmy mogły się stąd wydostać.*

- *Ale ja je naprawdę lubię...*

- *Dawaj. I gumową bransoletkę.*

Miranda zastawiła pułapkę i wstrzymała oddech, gdy jeden z policjantów zaczął się zbliżać. Usłyszała, jak mówi przez krótkofalówkę:

- *Południowo - zachodni filar. Mam jedną.* - Zobaczyła, że wstążki się poruszają, kiedy odsunął je kolbą karabinu.

- *Co jest, do...* - usłyszała. I wystrzeliła cukrowy nos Jerzego Waszyngtona z procy wykonanej z gumowej bransoletki Sibby i widelca. Trening w strzelaniu do celu się opłacił. Trafiła faceta dokładnie w miejsce, w które chciała. Mężczyzna poleciał na twarz i gruchnął o podłogę na tyle mocno, że kiedy wiązała mu ręce i stopy wstążkami z dekoracji, nadal był oszołomiony i całkiem potulny.

- *Bardzo mi przykro* - powiedziała, kneblując jego usta kawałkiem bułki. Uśmiechnęła się.

- *O, cześć, Craig. To nie jest twój najlepszy dzień, co? Mam nadzieję, że głowa cię już nie boli. Co? Boli? Do wesela się zagoi. Spróbuj wetrzeć trochę maści rozgrzewającej w nadgarstki i kostki, kiedy cię rozwiążą. Pa.* Złapała botki, których użyła na przynętę, ale usłyszała kolejnego goryla, szybko zbliżającego się do niej. Rzuciła w niego butem i usłyszała, jak ten pada na ziemię. Dwóch leży, jeszcze ośmiu.

Przepraszała właśnie tego, którego ogłuszyła kozaczką - miło wiedzieć, że kozaczki do czegoś się nadają - kiedy odezwała się krótkofalówka przy jego pasku.

- *Leon, tu Ogrodnik. Gdzie jesteś? Podaj pozycję. Odbiór.* Miranda wzięła urządzenie i powiedziała:

- *Myślałam, że nazywasz się Caleb Reynolds, sierżancie. O co chodzi z tym Ogrodnikiem? Czy może mam cię nazywać Gnojarkiem, jak moja przyjaciółka?* Trzaski. I głos sierżanta Reynoldsa.

- *Miranda? To ty? Gdzie jesteś? Miranda?*

- *Tutaj* - szepnęła mu prosto w ucho. Podkradła się do niego, a gdy się odwrócił, oplótła mu szyję ręką, celując w grdykę obcasem botka.

- *Czym ty mnie dźgasz?* - zapytał.

- *Niech ci wystarczy, że to coś zada ci sporo bólu i pewnie spowoduje paskudną infekcję, jeśli mi nie powiesz, ilu tu jest ludzi i co planują.*

- *W środku jest dziesięciu, a jeszcze pięciu pilnuje wyjść na zewnątrz. Ale ja jestem po waszej stronie.*

- *Doprawdy, Ogrodniku? Nie tak to wyglądało w domu.*

- *Nie dałaś mi okazji porozmawiać z dziewczyną.*

- *Będziesz musiał się bardziej postarać. Nie jestem śrubką, nie dam się wkręcić.*

- *Masz w ogóle pojęcie, czym ona jest?*

- *Czym jest? Nie bardzo. Jego tętno przyspieszyło.*

- *Jest prawdziwą, żywą wyrocznią. Sybillą Kumańską. To jedna z dziesięciu osób, które podobno znają i są w stanie kontrolować przyszłość świata.*

- *Rany. Myślałam, że to tylko wkurzająca czternastka z szalejącymi hormonami.*

- *Sybillą posługuje się różnymi ciałami. A przynajmniej oni tak uważają. Ci ludzie, których rozpracowuję. Popaprańcy. Udają, że ją chronią, żeby jej przepowiednie nie wykorzystano w złych celach, ale moim zdaniem chodzi im o zwykłe wymuszenie. Słyszałem, jak jeden z nich mówił, że mogą uzyskać za dziewczynę okup z siedmioma zerami.* - W miarę jak mówił, jego tętno zwalniało. - *Miałem się dowiedzieć o miejsce jej kolejnego przerzutu, gdzie miała zostać odebrana. Chcieli posłać tam kogoś i zmusić strażnika do wypłacenia okupu.* Miranda nie wierzyła w ani jedno słowo.

- *Ale ty nie miałeś zamiaru tego zrobić?*

- *Oni są w chciwi. A ten cały kult to tylko przykrywka. Odrażające. Byłem gotów ich powstrzymać, ale ty...* - Znow się zdenerwował, jego puls przyspieszył. - *Wszystko popsulaś.* Miranda wiedziała, że jest zły.

- *Jak chciałeś ich powstrzymać?*

- *Miałem od niej wydobyć informację, tak? Kiedy wpadłaś do środka, właśnie zamierzałem jej powiedzieć, co ma robić. Zadanie było proste. Miała im podać miejsce, które wybraliśmy z oddziałem antyterrorystów. Ci wariaci wpadliby prosto w łapy policji. A tymczasem ja zawiózłbym bezpiecznie Sybillę na prawdziwe miejsce spotkania. Ale ty wszystko spieprzyłaś. Miesiące policyjnej pracy poszły na marne.* - Jego puls znow był powolny i równy. Miranda go puściła.

- *Przepraszam* - powiedziała.

Odwrócił się i spojrzał na nią chmurnie, ale zmienił groźną minę w półśmiejch, kiedy zobaczył, w co jest ubrana.

- *Ładnie ci w tym.* - Milczał przez sekundę. - *Ale wiesz co, jest sposób, żeby to się udało. Masz drugi taki strój?*

- *Kostium wrotkarski? Mam. Ale nie identyczny. Niebieski.*

- *To nieważne, byle byt podobny. Kiedy będziecie ubrane jak bliźniaczki, wmówimy im, że to ty jesteś Sybillą. Odwrócimy w ten sposób ich uwagę, a prawdziwą wyrocznię umieścimy w bezpiecznym miejscu. Mówił szybko, przedstawiając resztę swojego planu.*

- *Będzie lepiej, jeśli założymy też peruki i maski* - zaproponowała Miranda. - *Żeby kamuflaż był kompletny.*

- *Masz rację. Doskonale. Idź do wyjścia dla personelu, tego, którym tu weszłyście. Przy zewnętrznych drzwiach jest strażnik, ale po lewej są drzwi, których nikt nie pilnuje. Prowadzą do gabinetu dyrektora. Ja pogadam z tymi facetami, a potem przyjdę...*

Przestał mówić, uniósł broń i strzelił za jej plecy. Miranda odwróciła się i zobaczyła, że zastrzelił jednego z przebranych policjantów.

- *Widział nas razem* - wyjaśnił. - *Nie mogłem pozwolić, żeby jeden z tych drani powiedział o nas reszcie. Ja odwrócę ich uwagę, zatrzymam ich tutaj. Ty weź Sybillę, przebierz ją i czekaj na mnie w gabinecie.* Miranda ruszyła we wskazaną stronę, ale nagle zatrzymała się i zapytała:

- *Jak nas znaleźliście?* Jego puls zwolnił.

- *Rozesłałem list gończy za twoim samochodem.*

- *Powinnaś była o tym pomyśleć* - powiedziała Miranda. Kiedy odchodziła, usłyszała, jak rozmawia przez krótkofalówkę:

- *Mamy rannego. Mamy rannego.* Wróciła do rozgorączkowanej Sibby.

- *Co się stało? Postrzelili cię?* - zapytała dziewczyna.

- *Nie. Załatwiłam nam bezpieczny transport.*

- *Jak?*

Miranda wyjaśniła jej wszystko, kiedy się przebierały. Zaczęły przemykać się do gabinetu dyrektora. Po drodze słyszała, jak Reynolds wyszczekuje rozkazy gorylom, dając im zajęcie w innych częściach sali. W pewnej chwili rzucił:

- *Nie, nie zapalajcie światła, to im da przewagę!*

W następnej rozległo się bolesne sieknięcie kogoś, kto został ogłuszony. Była pod wrażeniem. Dotarły do gabinetu bez przeszkód. Sibby usiadła w fotelu za biurkiem. Miranda chodziła niespokojnie po pokoju, stawiając kroki w rytm tykania wielkiego zegara stojącego

na półce nad kominkiem. Podnosiła i odkładała z powrotem różne przedmioty - kryształową kulę, pudełko z papeterią - i ważyła je w dłoni. Rodzinne zdjęcie mężczyzny, kobiety, dwóch chłopców i psa, siedzących na pomoście na tle zachodzącego słońca. Pies miał na głowie czyjaś czapkę - pełnoprawny członek rodziny. Nagle czyjaś dłoń zasłoniła zdjęcie i pomachała jej przed nosem.

- *Halo, Mirando? Spytałam cię o coś.* Miranda odstawiła zdjęcie.

- *Przepraszam. Co?*

- *Skąd wiesz, że nie mylisz się co do niego?*

- *Po prostu wiem. Zaufaj mi.*

- *Ale jeśli się mylisz...*

- *Nie myślę się. Zegar tykał. Miranda chodziła. Sibby powiedziała:*

- *Wkurza mnie ten zegar. Tik - tak. Krok.*

- *Nie wiem, czy dam radę to zrobić* - szepnęła Sibby. Miranda zatrzymała się i spojrzała na nią.

- *Oczywiście że dasz radę.*

- *Nie jestem taka dzielna jak ty.*

- *Słucham? I to mówi dziewczyna, która wyludziła całusa od... ilu to już chłopaków?*

Dwudziestu trzech?

- *Dwudziestu czterech.*

- *No widzisz. Jesteś dzielna.* - Miranda się zawahała. - *A wiesz, ilu ja pocałowałam?*

- *Ilu?*

- *Trzech.* Sibby zagapiła się na nią i wybuchnęła śmiechem.

- *Bogowie, nic dziwnego, że jesteś taka zdolowana. Lepiej, żeby to się udało, bo okaże się, że miałaś bardzo smutne życie.*

- *Dzięki.*

Osiemnaście minut później sierżant Caleb Reynolds stał przed drzwiami gabinetu dyrektora i patrzył przez szparę. Przygotowanie wszystkiego zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał, ale był zadowolony i pewny, że wszystko się uda. Szczególnie teraz, kiedy patrzył na dwie dziewczyny w kostiumach roller derby - w obcisłych spódniczkach i topach, a nawet w maskach i perukach. Były identyczne, tyle że jedna była niebieska, druga biała. Jak laleczki. Miło było myśleć o nich w ten sposób. Jego dwie laleczki. Drogie laleczki. Niebieska powiedziała:

- Jesteś pewna, Mirando, że to, iż masz ochotę go pocałować, nie wpływa na twój osąd?

A biała na to:

- Kto mówi, że mam ochotę go pocałować? To ty jesteś całującą bandytką.

- Kto mówi, że mam ochotę go pocałować? - zaczęła ją przedrzeźniać niebieska laleczka.

- Błagam. Naprawdę powinnaś się w końcu zabawić. Chwytaj dzień.

- Może to zrobię, kiedy się ciebie pozbędę, Sibby. Niebieska laleczka pokazała język; o mało się nie roześmiał. Były razem takie urocze. Niebieska powiedziała:

- Ja mówię poważnie. Skąd wiesz, że możemy mu ufać?

- Ma w tym własny interes - wyjaśniła biała. *- I ten interes pokrywa się z naszym.* W tej chwili naprawdę musiał stłumić śmiech. Nie miała pojęcia, jak słuszne jest jej rozumowanie. Jego pierwsza część.

I jak błędna jest druga.

Pchnął drzwi i obie odwróciły się, patrząc na niego jak na bohatera.

- Jest pani gotowa, panno Cuman? Niebieska laleczka kiwnęła głową. Biała laleczka powiedziała:

- Dobrze się nią opiekuj. Wiesz, jaka jest ważna.

- Bądź spokojna. Przekażę ją komu trzeba i wrócę, żeby wykonać drugą część operacji. Nie otwieraj tych drzwi nikomu z wyjątkiem mnie.

- Jasne.

Wrócił po niecałej minucie.

- Wszystko się udało? Sibby jest bezpieczna?

- Poszło gładko. Moi ludzie byli na pozycjach. Nie mogło być lepiej.

- *Okej. To kiedy mam uciekać?* Podszedł do niej i przyparł ją do ściany.

- *Nastąpiła mała zmiana planów.*

- *Co, dodałeś do nich calusa? Zanim zacznę udawać Sibby i doprowadzę bandytów do pułapki antyterrorystów?*

Podobało mu się, jak się uśmiechnęła, kiedy to mówiła. Uniósł ręce, by pogłaskać ją po policzkach, i powiedział:

- *Niezupełnie, Mirando.* - Jego dłonie zsunęły się na jej szyję.

- *O czym ty mówisz...*

Nim zdążyła dokończyć, przycisnęła ją do ściany. Wisiała trzydzieści centymetrów nad ziemią, a on trzymał ją za gardło. Jego dłonie zacisnęły się odrobinę mocniej.

- *Teraz jesteśmy sam na sam. Wiem o tobie wszystko, Wiem, kim jesteś. I co potrafisz.*

- *Naprawdę?* - wykrztusiła.

- *Tak, naprawdę. Księżniczko.* - Zobaczył, że jej źrenice się rozszerzają. Poczuł, jak przełknęła ślinę. - *Wiedziałem, że to cię zainteresuje.*

- *Nie wiem, o czym mówisz.*

- *Wiem o nagrodzie za twoją głowę. Miranda Kiss, poszukiwana żywa lub martwa. Pierwotnie mój plan był taki, że pozwolę ci trochę pożyć i oddam cię im po kilku tygodniach, ale niestety musiałaś się wtrącić. Trzeba było pilnować własnych spraw, zamiast wtrzytnąć się w moje, Księżniczko. Teraz nie mogę ryzykować. Nie przeszkodzisz mi.*

- *W porwaniu Sibby? Więc to ty chcesz tych pieniędzy. To ty zdradziłeś innych i kazałeś im myśleć, że z nimi współpracujesz. Tak jak zdradziłeś nas.*

- *Bystra dziewczynka.*

- *Zabijesz mnie, porwiesz ją i zgarniesz pieniądze? O to chodzi?*

- *Tak. Zupełnie jak w Monopolu, Księżniczko. Przechodzisz przez start, dostajesz dwieście dolarów. Tyle że w tym przypadku to jest pięćdziesiąt milionów. Za dziewczynę.*

- *Rany.* - *Była pod wrażeniem.* - *A ile dostaniesz za mnie?*

- *Martwą? Pięć milionów. Żywa jesteś warta więcej. Pewni ludzie uważają cię za jakąś nastoletnią Wonder Woman obdarzoną supermocami. Ale ja nie mogę ryzykować.*

- *Już to mówiłeś* - wychrypiała.

- *Co, nudzę cię, Mirando?* - Znów odrobinę zacisnął ręce. - *Przykro mi, że to zakończenie nie jest bardziej bajkowe* - powiedział z uśmiechem. Dusił ją, patrząc jej w oczy. Widział, że walczy o oddech.

- *Jeśli zamierzasz mnie zabić, to się streszczaj? To dość niewygodne.*

- *Co, moje ręce? Czy uczucie, że okazałaś się do niczego...*

- *Nie jestem do niczego.*

- *...znowu. Splunęła mu w twarz.*

- *Masz jeszcze w sobie trochę ognia. Naprawdę podziwiam to w tobie. Myślę, że ty i ja moglibyśmy stworzyć niezły zespół. Niestety, nie ma na to czasu.* Szarpnęła się po raz ostatni. Włożyła w ten ruch wszystkie swoje siły. To było inspirujące, jak dzielnie walczyła. Ale w końcu jej pięści opadły bezradnie. Pochylił się tak blisko, że poczuła jego oddech.

- *Jakieś ostatnie słowo?*

- *Jedno. Miętówki. Mógłbyś w nie zainwestować.* Roześmiał się i mocniej zacisnął dłoń, aż palce mu zbieleły.

- *Żegnaj.*

Przez sekundę patrzył na nią przenikliwie. Potem usłyszała ostry trzask i na jego głowę spadło od tyłu coś ciężkiego. Zatoczył się do przodu, puścił ją i nieprzytomny padł na ziemię.

Nawet nie wiedział, czym dostał w głowę, pomyślała niebieska laleczka, wciąż ściskając zegar, którym go walnęła. Ani od kogo.

Miranda, ubrana w niebieski kostium, odepchnęła mężczyznę, którego właśnie walnęła w głowę, by dostać się do Sibby. Ciągle miała na nadgarstkach kajdanki. Trzęsły jej się ręce. Delikatnie podniosła nieprzytomną dziewczynę.

- *Sibby, no, otwórz oczy.*

To nie miało trwać tak długo. Plan był prosty: ona i Sibby zamienią się kostiumami. Kiedy sierżant Reynolds przyjdzie wykonać swój zdradziecki plan - a wiedziała, że to zrobi - przekaze swoim ludziom Mirandę, przekonany, że oddaje im Sibby. A przynajmniej tak to miało wyglądać.

- *No dobra, Sib, budzimy się* - powiedziała Miranda, niosąc dziewczynę. Przyciskała ją mocno do piersi. Biegła tak szybko, jak się dało. Słyszała bicie serca Sibby, ale było słabe i powolne. Coraz słabsze. *To się nie dzieje naprawdę.*

- *Pobudka, Sibby* - powiedziała łamiącym się głosem. - *Świta nowy dzień.* Miranda nie spodziewała się, że będzie na nią czekać pięciu siepaczy sierżanta Reynoldsa - czy ktoś nie powinien był zostać w samochodzie? - a już na pewno nie spodziewała się, że kobieta, którą odebrał z lotniska, będzie miała mosiężny kastet wysadzany kryształami górskimi. Cios tym cackiem w głowę trochę ją osłabił, więc pozwoliła przykuć się do rury. Trwało to jednak dłużej, niż powinno. W końcu uśpiła ich serią kopniaków i błyskawicznych nożyc. Potem zerwała kajdanki i uwolniła się. Przez to sierżant Reynolds zbyt długo zaprzyjaźniał się z tchawicą Sibby.

O wiele za długo.

Bicie serca słabło, coraz trudniej było je usłyszeć.

- *Tak mi przykro, Sibby. Powinnam wrócić wcześniej. Staralam się jak mogłam, ale nie dałam rady zerwać tych kajdanek, i byłam taka słaba. Zawiodłam cię...* - Miranda zorientowała się, że płacze. Potykała się, ale biegła dalej.

- *Sibby, musisz dojść do siebie. Nie możesz umrzeć. Jeśli się nie ockniesz, to przysięgam, że już nigdy się nie zabawię. Ani razu.* - Bicie serca było ledwie szeptem. Dziewczyna w jej ramionach była blada jak duch. Miranda stłumiła szloch. - *Boże, błagam...* Powieki Sibby się poruszyły. Kolor wrócił na jej policzki, serce przyspieszyło.

- *Udało się?* - szepnęła.

Miranda przełknęła wielką gulę w gardle i oparła się pokusie, żeby ją zmiażdżyć w uścisku.

- *Udało się.*

- *A czy...*

- *Dałam mu w łeb zegarem, wedle życzenia.*

Sibby uśmiechnęła się, pogłaskała Mirandę po policzku i znów zamknęła oczy. Nie otworzyła ich, dopóki znów nie były w samochodzie; a budynek Towarzystwa Historycznego nie został za nimi. Wyprostowała się w fotelu i rozejrzała.

- *Jadę z przodu.*

- *Specjalna okazja* - wyjaśniła Miranda. - *Nie przyzwyczajaj się.*

- *No tak.* - Sibby poruszała szyją na wszystkie strony. - *To był dobry plan. Ta cała zamiana strojów. Myśleli, że ty jesteś mną, a ja tobą.*

- *Ale i tak się postarali.* - Miranda odepchnęła pelerynkę. - *Zerwałam kajdanki, ale ciągle tkwią na moich nadgarstkach.* Przypomniały jej się słowa Kenzi na balu: Jesteś gotowa wyzwolić się z kajdan młodzieńczych lęków? Gotowa wziąć w przyszłość w swoje ręce?

- *Co się stanie z Gnojarkiem?*

- *Dałam anonimowy cynk policji. Powiedziałam, gdzie szukać jego i ciał ludzi, których zastrzelił. Pewnie jest już w drodze do aresztu.*

- *Skąd wiedziałaś, że on próbuje nas oszukać?*

- *Potrafię poznać, kiedy ludzie kłamią.*

- *Jak?*

- *Dzięki różnym rzeczom. Drobnym gestom. Głównie słuchając bicia ich serca.*

- *To znaczy, że serce bije szybciej, kiedy ktoś kłamię?*

- *Z każdym jest inaczej. Trzeba wiedzieć, jak ktoś reaguje, kiedy mówi prawdę. Serce kłamcy bije wolniej, równo, jakby starał się być szczególnie ostrożny.* Sibby przyjrzała jej się uważniej.

- *Słyszysz bicie ludzkich serc?*

- *Słyszę dużo różnych rzeczy.* Sibby myślała o tym przez chwilę.

- *Kiedy Gnojarek mnie dusił, bo myślał, że jestem tobą, nazwał mnie Księżniczką. I powiedział, że niektórzy ludzie uważają, że masz supermoce, jak jakaś nastoletnia Wonder Woman.* Miranda poczuła, że robi jej się duszno.

- *Tak?*

- *I powiedział, że jest nagroda za twoją głowę. Żywą lub martwą. Chociaż muszę z przykrością stwierdzić, że jestem warta dziesięć razy więcej od ciebie.*

- *Nieladnie się chwalić.*

- *To prawda? Jesteś Wonder Woman?*

- *Może brak tlenu uszkodził ci mózg, ale Wonder Woman to postać z komiksu. Wymyślona. Ja jestem normalną żywą osobą.* Sibby prychnęła.

- *Z całą pewnością nie jesteś normalna. Jesteś totalną neurotyczką.* - Chwila milczenia. - *To nie była od powiedź. Naprawdę jesteś Księżniczką obdarzoną supermocami?*

- *A ty naprawdę jesteś wyrocznią, która wie, co się wydarzy?* Spojrzały sobie w oczy. Żadna się nie odezwała.

Sibby przeciągnęła się i rozłożyła wygodniej w fotelu, a Miranda włączyła radio i jechały dalej, nic nie mówiąc. Obie się uśmiechały. Kilka kilometrów dalej Sibby powiedziała:

- *Umieram z głodu. Możemy się zatrzymać na hamburgera?*

- *Tak, ale nie mamy wiele czasu, więc żadnego całowania obcych chłopaków.*

- *Wiedziałaam, że to powiesz.*

Miranda siedziała w samochodzie i patrzyła, jak motorówka znika za horyzontem, wioząc Sibby tam, dokąd miała jechać. *Nie masz czasu na odpoczynek*, powiedziała sobie.

Sierżant Reynolds może i pójdzie do więzienia, ale ciągle umie mówić, a dobrze wiesz, że skłamał, wyjaśniając, jak cię znalazł. A to znaczy, że ktoś w Chatsworth coś wie. No i jest jeszcze kwestia, kto wyznaczył nagrodę za twoją głowę i...

Zadzwoiła komórka. Miranda sięgnęła na tylne siedzenie po marynarkę i spróbowała wsunąć rękę do kieszeni, by wyjąć telefon, ale bransoletka kajdanek ciągle zahaczała się o materiał.

Miranda odwróciła marynarkę do góry nogami i wytrząsnęła zawartość kieszeni na swoje kolana.

Odebrała w ostatniej chwili.

- Halo.

- Miranda? Tu Will. Jej serce się zatrzymało.

- Cześć - odparta spłoszona. - *Dobrze się bawiłeś na balu?*

- *Przez chwilę, owszem. A ty?*

- *Ja też. Przez chwilę.*

- *Szukałam cię po alarmie bombowym, ale jakoś nie znalazłam.*

- *Tali, okazało się, że mam sporo rzeczy do załatwienia.* Przez chwilę; panowała cisza i nagle oboje zaczęli mówić jednocześnie. Will powiedział:

- *Ty pierwsza.*

- *Nie, ty.* - Oboje się roześmiali. W końcu Will zaczął:

- *Słuchaj, nie wiem, czy wybierałaś się do Seana na imprezę. Wszyscy tu są. Jest fajnie, i w ogóle. Ale...*

- *Ale?*

- *Ale tak się zastanawiałem, czy nie wolałabyś może zjeść śniadania. W barze z goframi? Tylko my dwoje?*

Miranda przestała oddychać.

- *Byłoby fantastycznie.* - Przypominając sobie, że nie powinna być za bardzo napalona, dodała: - *To znaczy, chyba w porządku.*

Will roześmiał się tym swoim śmiechem jak masło wsiąkające w gofry i powiedział:

- *Ja też uważam, że byłoby fantastycznie.*

Rozłączyła się i zauważyła, że ręce jej się trzęsą. Była umówiona na śniadanie z chłopakiem.

I to nie z byle chłopakiem. Z Willem. Z chłopakiem, który nosił kosmiczne spodnie. I uważał ją za superlaskę.

Za mocno walniętą. A te kajdanki raczej nie poprawią twojego wizerunku.

Jeszcze raz spróbowała rozerwać kajdanki dłońmi, ale nie dała rady. Albo to nie były normalne kajdanki, albo załatwienie dziesięciu osób jednej nocy - nie no, w sumie ośmiu, bo dwóch znokautowała dwa razy - było granicą jej możliwości. Cóż, a więc jej możliwości mają granice. Musiała się o nich jeszcze wiele nauczyć. Ale później.

W tej chwili miała pół godziny, by uwolnić się od tych kajdanek. Zaczęła upychać rzeczy leżące na jej kolanach z powrotem do kieszeni marynarki, ale znieruchomiała, widząc nieznaną pudełko.

To było to samo pudełko, które dała jej Sibby, kiedy się poznały - czy to naprawdę mogło być ledwie osiem godzin temu? Co ona wtedy powiedziała? Coś dziwnego. Miranda przypomniała to sobie teraz. Sibby podała jej tabliczkę z nazwiskiem i pudełko i powiedziała:

„To musi być twoje”. Ale jakoś dziwnie, z naciskiem na „musi”.

Miranda otworzyła wieko. W środku, na czarnym aksamicie, leżał kluczyk do kajdanek.

Jesteś gotowa wziąć przyszłość w swoje ręce?

Cóż, warto spróbować.